BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 310

OLBRACHTOWI RYCERZE

POWIEŚĆ

przez

Zygmunta Kaczkowskiego

z przedmową

W. Jabłonowskiego.

Część I.

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA
Redakcya i Administracya
14. Warecka 14.

1904.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie . (52 tomy)	rs. 10	Rocznie. . . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie . (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie . (12 tomów)	„ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.			

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	. . .	rs. 6 kop.	—
Półrocznie . (za 26 tomów)	. . .	„ 3 „	—
Kwartalnie. (za 13 tomów)	. . .	„ 1 „	50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc: Jul. Granowski

Redakcya i Administracya: Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 88.
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47.

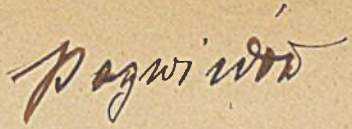

Pozwiedź

OLBRACHTOWI RYCERZE.

ZYGMUNT KACZKOWSKI.

OLBRACHTOWI RYCERZE.

POWIEŚĆ

z przedmową

W. JABŁONOWSKIEGO.

Biblioteka Państwowego Liceum Pedagogicznego w Gliwicach
BIBLIOTEKA Państwowego Liceum Pedagogicznego w GLIWICACH Nr. 837

Część I.

WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy-Świat 47.

Państwowe Liceum Pedagogiczne w Gliwicach
Biblioteka
Kacz
olbr.
~~837~~
8-3
Studium Nauczycielskie Gliwice
Biblioteka

Дозволено Цензурою.

Варшава, 17 Декабря 1903 года.

SN 21131
Politechnika Śląska Kolegium Pedagogiczne
BIBLIOTEKA

PRZEDMOWA.

Powieść Zygmunta Kaczkowskiego „Olbrachtowi Rycerze", wydana po raz pierwszy w 1889 r., napisana została na schyłku lat znakomitego powieściopisarza i jest ostatnią jego pracą beletrystyczną. Tej ostatniej pracy wszakże dostało się najzaszczytniejsze miejsce w szeregu licznych dzieł Kaczkowskiego. Zgodna opinia poważnych krytyków naszych,—że tu przypomnę zdanie prof. Chmielowskiego, wypowiedziane w studyum jego o Z. Kaczkowskim — uważa „Olbrachtowych Rycerzy" za najlepszą powieść ich autora, za dzieło będące dojrzałym i wspaniałym owocem jego twórczości. Jak „Krzyżacy" Sienkiewicza dają nam rozległy i dokładny obraz, wielostronnie rozważonej przeszłości naszej z początku XV w., tak „Olbrachtowi Rycerze" odtwarzają różnorodność objawów bytu naszego społeczeństwa na schyłku tegoż stulecia. Staranność w malowaniu tła epoki, obfitość szczegółów, charakteryzujących dobitnie rozmaite jej sprawy i czyny, procesy i dążności, ideały i usposobienia, powołanie do życia ogromnej ilości postaci pełnych wyrazu, reprezentujących różnolite sfery społeczne i towarzyskie, wszelkie warstwy i stany, rozmaite stopnie kultury, różne rodzaje pracy, zawodów i powołań, wreszcie odczucie głębokie ducha czasu, jego sprężyn i pobudek, jasnych i mrocznych stron,—wszystko to wy-

różnia „Olbrachtowych Rycerzy" w ogóle wśród naszych powieści historycznych.

Wartość artystyczna „Olbrachtowych Rycerzy", jest również niepospolita. Uderza nas tu przedewszystkiem równomierne rozmieszczenie efektów na całość dzieła; autor unika nadużywanego często sposobu skupiania ich na jednym punkcie, nie stara się na jakiemś jednem miejscu, scenie, fakcie wyjątkowym zatrzymać głównie uwagi czytelnika, nie wytęża jej niepomiernie w jednym kierunku. W powieści jego niema punktu kulminacyjnego, niema spadków gwałtownych, ani rac strzelających nagle i oślepiających. Tu wszystko trzyma się, mniej więcej, na jednym poziomie, jednostajnem światłem jest oświetlone. Nie korzysta Kaczkowski nawet z takich momentów, z których bez wielkiego wysiłku dałoby się wydobyć sporo efektów, podbijających wyobraźnię czytelnika. Tem się tłumaczy np. to, że klęska Bukowińska, chociaż przedstawiona świetnie, nie odcina się zbytnio od innych ogniw utworu, nie tłumi mocy i świetności innych scen.

Rozwijają się one potoczyście, po szerokim gościńcu, postępują poważnie, krokiem miarowym i pewnym. Autor wyprowadza każdą w porę, do każdej potrafi jednakowo zainteresować.

Krzyżuje się tu wiele dróg, przeciągają po nich swoi i obcy, wielcy i mali, szczęśliwi i doświadczani od losu. Każdy występuje we właściwych sobie ramach, jest symbolem swego środowiska, tonem odrębnym ogólnego chóru.

W powieści swojej wyprowadził Kaczkowski na widownię te wszelkie czynniki dziejowe, społeczne, kulturalne i towarzyskie, które wytwarzały ówczesny byt Rplitej. Kmieć, kupiec, rycerz, duchowny, dostojnik dworu królewskiego, wreszcie sam król, — wszyscy są tu wplątani w życie szersze bądź ściślejsze, w domowe i rodzinne, zarówno jak i publiczne, ogólniejszego znaczenia. Nikt nie został

pominięty, nic nie zostało zbyte charakterystyką ogólnikową.

Stąd też całość imponuje nietylko szerokością rozmachu i rozmiarami, lecz i sumiennem opracowaniem części poszczególnych.

O ile strona dziejowa jest ściśle odtworzona, o tyle zmyślona, fikcyjna rozwija się swobodnie, jest pełna szczęśliwych pomysłów, bawi i zaciekawia mnóstwem przygód osobliwych, masą zdarzeń wyjątkowych, zawsze jednak naturalnych i nieprzesadzonych. Obiedwie one zresztą harmonizują ze sobą doskonale. Z tych też powodów rzecz cała nosi znamię wielkiego zrównoważenia władz twórczych, zapanowania nad olbrzymim materyałem, wreszcie niepospolitej pewności ręki w kreśleniu pojedyńczych postaci, zarówno jak i w zręcznem wiązaniu i rozwiązywaniu węzłów powieściowych.

W. Jabłonowski.

Sie hören nicht die folgenden Gesaenge,
Die Seelen, denen ich die ersten sang;
Zerstoben ist das freundliche Gedraenge,
Verklungen, ach! der erste Wiederklang.
Mein Lied ertönt der unbekannten Menge,
Ihr Beifall selbst macht meinem Herzen bang;
Und was sich sonst an meinem Lied erfreuet,
Wenn es noch lebt, irrt in der Welt zerstreuet.

Goethe

WSTĘP.

Pomiędzy rzekami Stryjem a Dniestrem, w kraju dziś sławnym nieprzebranemi bogactwy olejów skalnych, o trzy mile naprzestrzał od staro-ruskiego miasta Drohobycza, a o sześć mil od szczytu Bieszczadów, w dolinie zaklęsłej a rozramienionej pomiędzy grzbietami gór, sterczą szeroko porozrzucane olbrzymie skaliska, które od wieków są dziwowiskiem podróżnych, a zarazem siedzibą potwornych podań ludowych.

Skaliska te, znane powszechnie pod nazwiskiem „Kamienia w Uryczu", dzielą się na dwie odrębne gromady, nie zdradzając napozór żadnego związku ze sobą.

Jedna z nich, leżąca po drugiej stronie doliny, składa się też wistocie z kilkudziesięciu większych i mniejszych kamiennych brył, poprzerastanych czarnym jodłowym lasem, leszczyną i jałowcami; było ich przed wiekami zapewne więcej, ale z czasem przykryły je ziemia, mchy i dzikie krzewiny.

W tej gromadzie widać nieład natury, jakoby pobojowisko po jakiejś gwałtownej rewolucyi żywiołów: ręka ludzka nie zostawiła tam żadnego śladu po sobie.

Natomiast druga gromada, więcej skupiona, a stercząca ze stoku góry nad bezdenną przepaścią od północnego wschodu, uderza na pierwszy rzut oka widokiem jakby ruin ogromnego i bardzo starożytnego zamczyska.

Skalisty ten potwór, piętrzący się w chmury swemi pozostałemi basztami, a z jednej strony jakby nad samą paszczą piekielną zwieszony, w którejkolwiek dnia dobie widziany, przejmuje podziwem i grozą. Tu bowiem, obok olbrzymich tworów natury, pnących się w niebo z zuchwalstwem niczem nieokiełznanych żywiołów, a zarazem głęboko wbitych w wnętrzności ziemi, widoczne są ślady, że tutaj niegdyś mieszkali ludzie.

Dość rzucić okiem na te skaliska, ażeby dostrzedz, że kiedyś, zapewne jeszcze w wiekach zamierzchłych, człowiek opanował tę w puszczach leśnych zatopioną dzikich zwierząt siedzibę i pracą wielu lat i wielu tysięcy rąk ludzkich zamienił w zamek obronny. Albowiem na najwyższych szczytach tych skał widać izby wewnątrz wykute i wschody do nich wiodące a opatrzone kamiennemi gankami; gdzieindziej zaś wyglądają z pod mchów i krzewin sążniste mury z cegły i wapna, które z wiekami także zlały się w kamień.

Z tych skał ogromnych, które się zwycięzko oparły zniszczeniu wieków, a wyglądają jak baszty lub wieże w gruz zapadłego zamczyska, dzisiaj jeszcze pozostały cztery. Dwie mniejsze, sterczące od północy w odległości kilkunastu stóp jedna od drugiej, stały widocznie swojego czasu na straży głównego wjazdu i obejmowały pomiędzy sobą bramę zamkową. Pomiędzy nie wchodzi się w obszerny dziedziniec, dziś trawą i chwastem zarosły, lecz bezwątpie-

nia naturalną i jednolitą płytą kamienną nakryty. Pod dziedzińcem musi być próżnia, zapewne ludzkiemi rękami wykuta, nawet prawdopodobnie do dalszych prowadząca podziemi, bo za uderzeniem w posadzkę głuche odzywa się echo, powtarza się kilkakrotnie w oddali i dopiero po chwili ucicha. W jednym rogu dziedzińca jest studnia w skale wykuta, dziś zasypana gruzami. Po lewej ręce ciągnie się mur skalisty, którego posady wszakże dojrzeć nie można, zwiesza się bowiem nad bezdenną przepaścią, która tak jest głęboką, że rosnące po jej brzegach wiekowe jodły szczytami swemi zaledwie dosięgają poziomu dziedzińca. Przepaści tej, na której dnie leżą trupy drzew przedwiekowych i olbrzymie kawały skał, a na nich znowu pnie zmurszałych jodeł, jeszcze nigdy promień słońca nie przedarł i nigdy stopa ludzka nie dotknęła. Nad nią, w rogu dziedzińca, wznosi się najwyższa baszta zamkowa.

Jest to wieża skalista, mierząca sto kilkadziesiąt stóp wysokości, rozdwojona u szczytu i piętrząca się dwiema iglicami ku niebu. O kilkanaście stóp poniżej iglic znajduje się izba w skale wykuta, opatrzona resztkami krużganku. Z tego krużganku, na który jeszcze niedawno wejść było można po kamiennych, chociaż już bardzo oślizganych progach, również w skale wykutych, przepyszny nawet gołemu oku przedstawiał się widok. Obejmował on bowiem kilkadziesiąt mil kraju, bogatego jak róg obfitości, we wszystkie dary natury, płynącego od wieków mlekiem i miodem, a przerżniętego srebrnemi wstęgami Tyśmienicy i Stryja, Świcy i Dniestru i wielu innych rzek mniejszych, wijących się między tłustemi łąkami i cienistemi dąbrowy Po prawej ręce widziałeś miasto Stryj, śpiące spokojnie na rozległej dolinie; przed tobą roił się handlowy gród starej Rusi, Drohobycz, cokolwiek dalej na lewo gubił się w sinawej mgle Sambor, ze wspaniałemi

wieżami swoich kościołów i cerkwi, z białemi jak śnieg ulicami, otoczony dokoła pysznemi sadami drzew owocowych i złotemi łanami pszenicy, a siedzący na brzegu uciekającej przed twojem okiem równiny, która jest niby pierwszym kobiercem stepów podolskich, ścielącym się pod nogi apostołom ludzkości i oświaty, przybywającym z zachodu...

Czwarta nakoniec baszta, cokolwiek niższa od poprzedzającej, a stojąca w rogu zachodnim dziedzińca, lecz także niegdyś mieszkalna, dzisiaj zaś w różnych miejscach poprzerywana u szczytu, w dziwnych przedstawia się kształtach, które zdają się być jakoby ruchome i w wyobraźni przybierają rysunek ludzkich postaci.

Tak z jednej strony, gdzie skała chyli się ku wschodowi, widzisz jakoby stojącego na jej szczycie rycerza, który na hełm i zbroję kaptur mnisi zarzucił, i stoi tak nad przepaścią, jak gdyby się w nią chciał rzucić, a przed śmiercią ostatniem dumnem spojrzeniem grozi pogardzonemu przez siebie światu. Z drugiej strony, gdzie skała się zwiesza ku dziedzińcowi, widzisz jakoby dziewicę z załamanemi z rozpaczy rękami, która chciałaby z miejsca się ruszyć i zstąpić w dziedziniec—a nie może, bo jest skamieniałą.

Kiedy warstwa mgły białej położy się na tych ruinach, co się często zdarza w tych górach, tak, że tylko wierzchołki tych skał nad nią się wznoszą i zdają się wisieć w powietrzu, wtedy postacie te rysują się daleko wyraźniej, natenczas i dumnie w przepaść spoglądającego rycerza, i skamieniałą w swym ruchu dziewicę, widać jakby żywe — i jest to widowisko wspaniałe i groźne, przy którem oczy twoje się otwierają szeroko i oddech zapiera się w piersi. Widok ten wszakże staje się strasznym i przejmującym wśród jasnej nocy; natenczas bowiem postacie te malują się czarno na niebios błękicie, duch w nie wstępuje, zdają się ruszać na

swoich kamiennych podstawach—a kiedy wyobraźnia usiłuje przeczuwać ich myśli i czyny z tych czasów, kiedy żyły na ziemi, w piwnicach zamku głuche odzywają się echa, w głębiach zaś tej przepaści, gdzie stare pnie leżą przysypane drzazgami skał, słychać szumy i jęki przytłumione, niknące w dali, ale tak przeraźliwe i takie nieziemskie, że ktokolwiek je słyszał, uczuł drżenie w głębi swej duszy i uwierzył powieści ludowej, że tam mieszkają duchy pokutujące. Toż jeszcze nikt tam nocy nie przespał w tych strasznych ruinach, a kto przypadkiem po zmroku się zabłąka, żegna się krzyżem świętym, popędza konie i mija je jaknajprędzej...

Pomiędzy ludem okolicznym krążą wielorakie, lecz dziwnie zamglone i poplątane z sobą podania o tem starem zamczysku. Najdawniejsze z nich sięgają tego pomroku dziejów, z którego, na podstawie jakiejś ustnej lub pisanej wieści o jakimś chanie albo carzyku, o niezliczonych hordach, którym hetmanił, o wielu zamkach, które posiadał, o złotych skarbach, które zakopał, tak samo bajarze gminni, jak i piśmienni, wysnuwają mniej albo więcej potworne baśnie, nie mające żadnego wiarogodnego świadectwa za sobą. Podania te, krążące po chatach sąsiednich bojków, a uporządkowane cokolwiek przez ludzi piśmiennych, mówią co następuje:

Przed tylu a tylu wiekami, kiedy jeszcze Rusi nie było, a góry te były zamieszkane przez szczep słowiański Wełotów, zwących się także Wilkami, jeden wielki Zupan Weletów, który sam się wilkiem nazywał, mając duchy nieczyste na swoje usługi, zmurował z tych skalisk odwieczny zamek obronny i kazał pod nim wykuć obszerne piwnice, w których chował swe skarby, a które podziemnym kanałem, idącym popod rzekę i staw, łączyły się z ową drugą gromadą skał, leżącą po tamtej stronie doliny. Weletowie, szczep milionowy i bardzo

waleczny, pociągnęli dalej ku północnemu zachodowi, zalewając sobą wszystkie kraje, opierające się o morza północne i sięgające nawet do wysp, za temi morzami leżących. Wilk wszakże tutaj pozostał, żyjąc z swą młodą żoną na swoim zamku w szczęściu i dostatkach, które za pomocą duchów nieczystych ustawicznie pomnażał. Biesiady, muzyka i tańce trwały po całych nocach na jego zamku aż do świtania; wszakże kiedy jednego zarania, nie dosłyszawszy piania kurów, złamał zawartą z duchami umowę, duchy zburzyły zamek i zamieniły jego i jego żonę w owe poprzerywane skały, które jeszcze dziś stoją na ruinach zamkowych Jakato była umowa, podanie nie wie, lecz opowiada dalej:

W wiele lat potem Tatarzy zaleli powstałe tymczasem księztwo halickie, a na ich czele szedł ich chan owoczesny, Szełudywy Buniak, pół-człowiek, pół-demon, z czupryną wichrowatą, jak strzecha, z brodą sięgającą do ziemi, którą jego czeladź na rozkaz podnosiła złotemi widłami, z brzuchem otwartym i koszlawemi nogami, i podstąpił pod miasto Bycz, zbudowane nad rzeką Tyśmienicą, gdzie dziś leży wieś Tustanowice. Mieszczanie Byccy, ufając wałom i częstokołom, któremi było otoczone ich miasto, mając przytem dostatek broni, zawarli się w mieście i postanowili stawić opór Tatarom. Buniak oblegał ich długo daremnie, aż wreszcie użył fortelu. Wyprawił posły do miasta z zapewnieniem, że od oblężenia odstąpi, a przyjmie okup i żąda niewiele: z każdego dymu tylko jednego gołębia. Byczanie zaraz na tę umowę przystali i posłali mu po jednym gołębiu z każdego dymu. Lecz chytry Buniak poprzyczepiał każdemu gołębiowi zatloną hubkę pod skrzydła i puścił je wolno. Gołębie wróciły, każdy do swego dymu pod strzechę, a w chwilę potem całe miasto stanęło w płomieniach. Tatarzy skorzystali z pożaru, napadli na miasto, złupili je i zniszczyli tak, że kamień na kamieniu nie został,

mieszkańców zaś w części wymordowali, a w części wzięli w niewolę. Tymi niewoluikami Buniak założył inne miasto, drugi Bycz, dzisiejszy Drohobycz. Sam zaś ze swym dworem osiadł na zamku Uryckim, który nanowo odbudował, basztami i strzelnicami opatrzył i napełnił nieprzebranemi skarbami. Podanie dodaje z naciskiem, iż w osadach zamkowi podległych pozakładał warsztaty tkackie, na których wyrabiano parczowe jedwabie i sędy ze złota i srebra, tkając z nich przepyszne kamchy, aksamity i złotogłowia, które sprzedawał w mieście Tustaniu, w Drohobyczy i we Lwowie. Tym trybem nagromadził wielkie bogactwa, które chował w piwnicach. Przy nich żył hucznie i szumno, wśród biesiad i tańców, ale bez muzyki, bo nie miał grajków pomiędzy swoimi Tatary. Była wieść głucha, że dyabeł, z którym był w zmowie, zakazał mu grania na zamku, tylko mu śpiewać pozwolił. Aż jednego dnia przyszli muzykanci pod zamek, przyszli wierzchem Starego-horbu, wracając z wesela ze Schodnicy, a była ich sotnia, albo i więcej. Tatarski burgrabia dał o tem znać swemu panu, a Buniak ich przyjął z ochotą. I kazał zwołać cały swój dwór i wyprawił wielką biesiadę z tańcami, przy której wina i miody lały się strugami. Ale muzykanci tylko udawali, że piją, w rzeczy zaś leli wino w zanadrze; toż kiedy Buniak tak się upił ze swym dworem, że wszyscy leżeli bez duszy, muzykanci spuścili się do piwnic, zabrali skarbów, co mogli, a wychodząc obładowani, pozostawili zatlone wióry przy beczkach prochu, przechowywanych w piwnicy. Kiedy już wszyscy wyszli szczęśliwie poza ostatnie okopy zamku, straszliwy huk dał się słyszeć, prochy się zapaliły i zamek wyleciał w powietrze.. Szeludywy Buniak, ile że sam był czarnoksiężnikiem, oszukał dyabła i ocalał, a wsiadłszy na złotą koleśnicę, do której zaprzągł skrzydlate konie, ujechał do Węgier. Ale dyabeł dopędził go na szczy-

cie Bieszczadu, zrzucił woźnicę z kozła, sam wziął lejce do ręki i koleśnicę w jar głęboki wywrócił, gdzie się razem z Buniakiem zapadła pod ziemię. Wszelako i muzykanci nie uszli bezkarnie, bo starszy murza Buniaka, którego podanie także zwie Wielkim, zebrał Tatarów, leżących po wsiach obozem, zgonił ich, skarby odebrał i uszy poobcinał; potomkowie ich żyją do dziś dnia we wsi Kruszelnicy, nazywają się Czeluczewicze i noszą imionisko Bezuszków.

Są jeszcze inne podania z cokolwiek późniejszych czasów, w których na miejscu chana carzyk panuje na zamku, zabiera drugiemu carzykowi żonę i na zamek przywozi; zaś jego rywal, przyzwawszy dyabła na pomoc, zdobywa zamek i carzyka zwodziciela zabija, a dyabeł burzy zamek za pomocą ogniów piekielnych.

Jednak w tych wszystkich podaniach występuje ktoś, zwany wielkim, i powtarza się z rozmaitemi zmianami powieść o dyable, o muzyce i o zburzeniu zamku nadnaturalnemi siłami. Gdzie we wszystkich podaniach, zmieniających swe formy z wiekami, lecz przywiązanych do jednego miejsca, pewna treść stała się ciągle powtarza, tam w tej treści bywa zazwyczaj cokolwiek prawdy.

Dlatego, napatrzywszy się dosyta tym olbrzymim skaliskom i zagadkowym ruinom i wysłuchawszy wszystkich powieści o carzykach i chanach, którzy w wyobraźni ludowej w nich niegdyś mieszkali, ciekawy podróżny wchodzi jeszcze raz na dziedziniec i szuka bądź śladów architektury, bądź jakichkolwiek napisów, z którychby mógł jakieś pewniejsze zbudować wnioski tak o epoce, w której ten zamek był zaludniony, jak o jego mieszkańcach.

Ale z architektury owego czasu niemasz dziś prawie żadnego śladu; ani jednego filaru ani jednego odłamka sklepienia, ani jednego gzymsu nie można się doszukać w nastroszonych w dziedzińcu

Państwowe Liceum Pedagogiczne
Biblioteka
17

drzazgach tej starożytnej budowy. Widać tylko resztki sążnistych murów z cegły i wapna, a mury takie mogą pochodzić z każdego wieku. Powykuwane w naturalnych skałach izby, krużganki, schody, nieprzemierzone pod dziedzińcem piwnice i dla gęstego powietrza dziś całkiem niedostępne pieczary, każą się tylko domniemywać, że są to roboty z czasów przedhistorycznych, z czasów takich, gdy praca ludzka nie miała wartości, bo ją można było wygwałcić; ale epoki ich nikt nie oznaczy. Znajdywane różnemi czasy w tutejszych dziuplach okruchy kamiennych posągów dziwotwornej postaci i kształtów, rozmaite kruszcowe i kamienne narzędzia, których użytku już nie można odgadnąć, wygrzebywane wreszcie kociołki z pieniędzmi, o których wieść niesie, pozwalają przypuszczać, że dziwne te schowki i pieczary służyły niegdyś poganom jako świątynie i że może niejednokrotnie przechowywali się tu opryszki, których w tych górach po wszystkie wieki nie brakło. Na tem się kończą wszystkie ślady widoczne z tych czasów, które następne wieki przykryły swym pyłem.

Są wszelako napisy na ścianach skalistych. Przed laty blizko czterdziestu, kiedyśmy te ruiny po kilkakrotnie zwiedzali, było takich napisów, jakkolwiek już wtedy mocno zniszczonych i trudnych do odczytania, jeszcze bardzo wiele. Mianowicie na owej olbrzymiej skale, u której szczytu znajdowała się izba z krużgankiem, była jedna ściana, bardzo obszerna i dosyć gładka, która niemal cała była zasiana napisami, nawet w takiej wysokości, że ci, którzy po niej ryli żelaznem narzędziem, musieli używać drabiny. Powyżej tej ściany znajdowała się głęboka szczelina z progiem tak szerokim, że na nim nadzwyczaj gęste powyrastały krzewiny. Pomiędzy niemi bujały przedewszystkiem dzikie róże i powoje, których krzaczaste gałęzie zwieszały

Biblioteka Nauczycielska
Biblioteka

się na dół i zakrywały wyższą część ściany. Krzewy te utrzymywały cień i wilgoć przy ścianie, zkąd poszło, że nawet dosyć głęboko wyryte litery zarastały mchem i ulegały zniszczeniu.

Nowsze napisy, których zresztą i po innych miejscach była mnogość niemała, nie mogą nikogo zajmować. Z najdawniejszych można było jeszcze wyczytać: *Ewar... Kuropat...* zapewne Ewaryst Kuropatnicki, znany geograf i zbieracz z końca XVIII wieku. *Zaklika Tarło. 1512. Herburth z Fulsztyna... 1585.* Byli to bezwątpienia ciekawi podróżni z bliższych okolic. W innem miejscu widać było bardzo wiele myśli nasuwający napis w tych słowach: *Veni et vidi, nunc Credo. J. F. Comes de Kergor..*: trzy albo cztery litery nieczytelne, a dalej rok 1500. Tuż zaraz pod nim napis już wcale zagadkowy: *Pax tibi, amice Auctus.* Obok tych dwóch inny równie niejasny: *Na pohybel...* potem kilka słów całkiem zatartych, a pod niemi podpis bardzo trudny do wyczytania: *Biłowus Kniaż.*

Wszelako jedna część tej ściany była nakryta obszernym napisem, który, lubo najwięcej zniszczony, był jednak najwięcej zajmującym. Wyglądał on jakby nagrobek albo też napis na nagłówku kościoła, z czego powszechnie wnoszono, że w tem miejscu, we wnętrzu skały znajdowała się kaplica, a pod nią zapewne groby familijne. U góry bowiem, na parę sążni wysokości, widać było wyryte trzy wielkie litery: *D. O. M.*, ponad któremi wyżłobiony był krzyż, prawie pół sążnia wysoki. Pod literami były wyryte dwa wiersze łacińskie, ale tak zniszczone, że tylko z wielką trudnością można się było domyśleć tych słów: *Piae membriae... illustris... Domine... ex stirpe Kmythorum.* Pod temi słowami znowu krzyż mniejszy, a pod nim cztery wiersze polskie. Wiersze te były niegdyś bardzo starannie i dosyć głęboko wyżłobione w piaskowcu, a nawet, o ile się zdaje, zapuszczone jakąś smołą, zapewne w celu zacho-

wania ich od zniszczenia; mimo to jednak zniszczały więcej niż inne, prawdopodobnie skutkiem pęknięcia skały w tem miejscu od prawej ręki u góry ku lewej na dole, przez co się utworzyła zaklęsłość, ściągająca wilgoć ku sobie. Wiersze te były jeszcze dlatego bardzo trudno do odczytania, ile że ten, który je rył, pomieszał litery gockie z łacińskiemi, jak to niejednokrotnie w rękopisach owego czasu widzimy, tak, że pozostałe fragmenty, zwłaszcza przy tamtoczesnej, całkiem dowolnej pisowni, stały się prawdziwemi hieroglifami. Toż z tego czterowierszowego hieroglifu można było jakokolwiek wyczytać tylko te słowa:

Duscha moya ... .
Zyemsską ssthrza .. .. roża
Nath zytsyem . . .. Panye,
Day ....

Pod temi wierszami był rok, z którego wszakże tylko trzy pierwsze cyfry zostały *M D C*, dalsze nieczytelne.

Z tych kilku napisów, chociaż tylko w maleńkiej cząstce zdecyfrowanych, zwłaszcza, jeśli je porównamy z podaniami krążącemi pomiędzy ludem, w których koniecznie musiało być jakieś ziarnko prawdy, zdaje się niewątpliwie wynikać, że zamek ten, chociaż jego początki giną może w czasach zamierzchłych, istniał i był zamieszkanym jeszcze w wieku XV. Jeszcze natenczas mieszkali tu jacyś ludzie rycerscy, wrzały tu jakieś wielkie namiętności, odgrywały się jakieś sceny gwałtowne i zapewne tragiczne, po których nastąpiły, w sposób niezwykły, a silnie działający na wyobraźnię, zniszczenie zamku i śmierć jego mieszkańców. Zaś po ich śmierci zostali ludzie, którzy, wiedzeni ciekawością, wiarą i niewiarą, miłością i nienawiścią, odprawiali tutaj pielgrzymki i zostawiali po sobie napisy.

Jakiżto był ten zamek, którego okruchy, toczone rdzą tyle wieków i roznoszone wichrami, mają jeszcze dziś tak ogromne rozmiary? Jacy to byli ci ludzie, którzy takich olbrzymich skalisk potrzebowali na swoje mieszkanie? Jakie to były te wrzące namiętności, te wielkie cnoty lub zbrodnie, co sprowadziły gwałtowne zniszczenie zamku, a może i ludzi, wtenczas się tam znajdujących? Jakaż to wreszcie była ta nadludzka potęga, która z takich olbrzymich skał zbudowane zamczysko rozbiła w gruzy, a jego szczątki porozrzucała po całej dolinie?

Za tem niejeden uczony grzebał cierpliwie po zapleśniałych pergaminach i księgach i nic nie wygrzebał. Nad tem niejeden zbieracz starych pamiątek, badając słowo za słowem wszystkie podania i składając głoskę do głoski ze wszystkich napisów, bardzo mozolnie rozmyślał—i nic nie wymyślił Tu, pod tą olbrzymią skałą, która swojemi niebotycznemi iglicami porze przelatujące chmury, śród uroczystej ciszy tego cmentarza wspomnień dziejowych, niejeden młodzieniec, rozmiłowany w narodowej przeszłości, długie godziny przemarzył — i nic nie wymarzył.

Ale jest człowiek, który to wie i tobie opowie, twoim polskim językiem, prostym, a przezroczystym, ażeby ci się rozjaśniła ta przeszłość, szarą mgłą zapomnienia nakryta, i ażeby ci się zdawało, żeś sam żył wtedy i wszystko to widział własnemi oczyma, jak to wyczytasz poniżej.

I.

ZAMEK TUSTAŃ.

Ruiny zamku, które się dziś nazywają Kamieniem w Uryczu, w dawniejszych wiekach nie nosiły tego nazwiska. Wieś Urycz, leżąca nad Zgniłą Li-

pą, została założona dopiero przed dwustu kilkudziesięciu laty, a dawniej nie było tu żadnej osady, noszącej podobną nazwę. Zamek tu stojący od najdawniejszych czasów, nazywał się Tustań. Nawet te skały, nim jeszcze je zamieniono na mieszkanie dla ludzi, a raczej cała tutejsza okolica, nosiły prawdopodobnie to samo nazwisko, o czem są także głuche wieści w podaniach ludowych.

Skały te w owej przedhistorycznej dobie, kiedy ludność tutejsza nie znała jeszcze chrześcijańskiej nauki, służyły za świątynię poganom, w której bałwochwalcze odprawiały się nabożeństwa; nawet i później, kiedy tutejsze bojki, szczep mieszańców krwi słowiańskiej i wołoskiej, co jeszcze dziś widać po ich budowie i rysach twarzy, przyjęli chrzest pod naciskiem swych książąt, a w gruncie serca hołdowali jeszcze pogaństwu, w tutejszych głębokich pieczarach kryli się ich kapłani i odbywały się bałwochwalcze ofiary. Owe okruchy bożków kamiennych i rozmaitych narzędzi nieznanego dzisiaj użytku, które jeszcze niedawno tu znajdowano, z tamtych pochodzą czasów.

W XIII wieku, kiedy Tatarzy pod wodzą Batu-chana po raz pierwszy rozpuścili swoje zagony w Ruś owoczesną, pędząc jak burza piekielna wzdłuż Wisły w kraje polskie, na Kraków, na Szlązk i do Węgier, zrabowawszy Ruś całą do szczętu, pozostawiali za sobą załogi, które pilnowały skarbów zabranych. Ruś była wtedy jednym z najbogatszych krajów południowo-wschodnich; prowadząc nadzwyczajnie ruchliwy handel z Grecyą, z całym Wschodem, a nawet lądową drogą z Indyami, nagromadziła bogactw wszelkiego rodzaju bez miary; liczni jej wówczas mieszkańcy, nietylko po miastach i grodach, ale i po wsiach opływali w złoto, srebro i najpyszniejsze tkaniny wschodnie: dla przechowania tych cennych łupów, nimby mogły być przewiezione w kraje tatarskie, potrzeba było schowków obszernych

i jakokolwiek obronnych Otóż więc wówczas Tatarzy, osadzając swoimi ludźmi co bezpieczniejsze zamki po kraju, opanowali tamże te skały tustańskie i wymurowali tu zamek swoim obyczajem, który tem pewniej mógł stawić czoło jakimkolwiek napadom, ile że broniły go już od natury wzniesione, niedostępne skaliska. Wtedy też niewolnikami, których w kraju zniszczonym i zupełnie bezbronnym mogli mieć tysiącami, powykuwali te izby obszerne w skałach, porozszerzali dawniejsze pod skałami pieczary i przekopali kanał podziemny, wiodący pod rzekę i staw aż do owej drugiej gromady skał, którą jeszcze dziś widać po tamtej stronie doliny, a gdzie zbudowali drugie, również obronne schronisko.

Tatarzy ci jednak, którzy tu osiedli, zdaje się, że jeszcze po ustąpieniu Batuchana z Węgier w swe stepy zapadłe, przez długie lata tu siedzieli, albowiem wtedy opodal od zamku powstało ludne i bardzo ruchliwe miasteczko, które także nazwało się Tustań. Miasteczko to, którego ludność była mieszana ze skłonnych do handlu Tatarów i równie przemyślnych bojków, bardzo szybko się rozwinęło i przyszło do pewnego znaczenia. Mieszkańcy jego trudnili się głównie tkactwem, wyrabiając płótna z lnu i konopi, które wysyłali na Wschód, sprowadzając natomiast ztamtąd bogate tkaniny wschodnie i skóry barwione. Czy miasteczko to jeszcze wtedy nazywali Rusini Bycz, jak utrzymuje podanie ludowe, czy była tu przedtem osada pod nazwą Chorostków, jak chcą kronikarze, tego dziś dociec nie można; wiemy tylko, iż z końcem owego wieku było ono otoczone obronnemi murami i było bogatsze aniżeli Stryj i Drohobycz, a jego składy towarów były sławne na całej Rusi. W tym czasie nie było już wszakże Tatarów ani w mieście, ani na zamku. Bogaci mieszczanie zapewne ich w części strawili pomiędzy sobą i przerobili w Rusinów, a zresztą wykurzyli z zamku za pomocą swych książąt. Wtedy też zamek opustoszał, a tylko miasteczko zostało.

Pod owe czasy zagnieździli się w zamku czarnoksiężnicy, którzy rozmaitemi gusłami ściągali do siebie lud okoliczny. Widywano tam wtenczas duchy, błądzące po nocy pomiędzy murami; czasem na najwyższych szczytach zamkowych baszt zjawiały się nieludzkie postacie, ziejące ogniem wokoło siebie, a wtedy i z okien zamku wyskakiwały płomienne języki i czarne dymy z iskrami, które zapach siarki słały po całej dolinie; innym razem słychać było huk głośny w zamkowych podziemiach, jakgdyby kucie młotów w hamerni. Byli-to zapewne potomkowie Tatarów, albo może opryszki, którzy w dzień zabawiali się gusłami, aby odwrócić uwagę od swego rzemiosła, a w nocy przekuwali złoto i srebro, zrabowane pomiędzy ludźmi. Wielu ludzi rozumnych, których i wtedy nie brakło, było tego mniemania; wszelako żaden z książąt ruskich, ani wołoskich o ten zaczarowany zamek się nie pokusił — i zamek dalej pustoszał.

Dopiero Kazimierz Wielki, zabrawszy Czerwoną Ruś, zwrócił nań swoją uwagę, jako na budowę, z natury i z położenia silnie obronną, tak przeciw Węgrom albo Wołochom, jak przeciw nawale tatarskiej; nie bojąc się zaś ani duchów, ani czarnoksiężników, kazał go nanowo oprawić. Tak w owym czasie, kiedy za mądrą radą tego niespracowanego króla-murarza wzniesiono z gruntu albo poodnawiano zamki we Lwowie, w Sanoku, w Przemyślu, w Lubaczowie, w Trębowli, w Haliczu i Włodzimierzu, odmurowano także zamek w Tustaniu i postawiono go w stanie doskonałej obrony.

Wówczas, gdzie dziś stoją ostatki dwóch baszt, od północy stała ogromna brama żelazna, obracająca się na żelaznych wrzeciądzach; nad nią zaś między dwiema basztami wznosiła się obszerna strażnica, opatrzona zewnątrz i wewnątrz kamiennym krużgankiem. Naokoło obszernego dziedzińca wznosiły się zabudowania zamkowe, z muru gru-

bego na sążeń, a na dwa piętra wysokie. Na dole znajdowały się stajnie, wozownie, lamusy, kordegarda i inne izby dla sług i żołnierzy, na pierwszem piętrze wysokie komnaty mieszkalne, na drugiem zaś mnóstwo izb mniejszych dla fraucymeru i gości. Kilka schodów kamiennych prowadziło do komnat, z których główne, znajdujące się naprzeciw bramy wjezdnej, były szerokie na kilka sążni i zaczynały się już na dziedzińcu, gdzie były opatrzone podwójną balustradą kamienną i ogromnemi kolumnami, na których spoczywał szeroki krużganek pierwszego piętra. Na tych schodach czekali zwykle żołnierze i goście postronni co pośledniejsi, nim zostali wpuszczeni do pańskich pokojów. Z tych schodów także pan zamku miewał przemowy i wydawał rozkazy zgromadzonym w dziedzińcu żołnierzom, mieszczanom lub chłopom.

Dwie baszty narożne, z których pozostały jeszcze do dziś dnia takie olbrzymie szkielety, były podówczas jeszcze daleko grubsze i wyższe, obiedwie zaś opatrzone strzelnicami. W czasach późniejszych uzbrojono je w śmigownice, których było po cztery na każdej, zaraz powyżej zębatych dachów zamkowych. Najwyższa zaś baszta skalista, w której jest izba wykuta, była opatrzona szerokim kamiennym krużgankiem, na którym można było siedzieć wygodnie i cieszyć się owym wspaniałym widokiem na okoliczne miasta i kraje. Ten krużganek basztowy, jak go też nazywano, był tak wysoki i tak górował nad wszystkie inne baszty i mury, że można zeń było widzieć jakby na dłoni, kto wchodził lub wjeżdżał w główną bramę zamkową. Natomiast nie można było patrzeć na dół pod basztę na zewnątrz, tam bowiem znajdowała się owa przepaść, dziś drzazgami skał i zmurszałemi drzewy zasypana, a przepaść ta tak wtedy była głęboka, że nikt w niej nie mógł zapuścić wzroku, każdy dostawał zawrotu głowy i musiał się zaraz oprzeć o poręcz

i oczy odwrócić. W tej baszcie, narówni z poziomem zamku, znajdowała się kaplica, a pod nią groby, ale próżne po wszystkie czasy, bo panowie tutejsi, chociaż mieszkali za życia, nie chcieli się chować w tym zamku. Chowali się wszyscy w Drohobyczy pod cerkwią, za Władysłaga Jagiełły zamienioną na kościół. Obok wchodów do grobów zaczynał się kanał podziemny, wtedy wycembrowany nanowo, a wychodzący na powierzchnię ziem w tem miejscu, gdzie dziś widać drugą gromadę skał lasem jodłowym zarosłych. Wówczas znajdował się tam folwark zamkowy, zwany Posadą, w którym mało zajmowano się gospodarstwem rolnem, natomiast wszakże w bardzo obszernych stajniach i szopach chowano konie, bardzo piękne, silne i rosłe, które też na bujnych i tłustych pastwiskach leśnych tak dobrze się udawały, że w niczem nie ustępowały sławnym naówczas koniom stada Buczackich.

Zamek razem z miasteczkiem i bardzo wielkim obszarem łąk, pastwisk i lasów dokoła, na którym jednak wtedy jeszcze niewiele było osad i wiosek, był własnością królewską—a że zbudowany był na to, ażeby stanowił ogniwo całego łańcucha zamków obronnych od granicy węgierskiej , więc nigdy nie został zamieniony w starostwo, a siedział na nim po wszystkie czasy rotmistrz, mianowany przez króla, należący do wojskowego dworu królewskiego i mający pod sobą załogę, złożoną z żołnierzy, utrzymywany sumptem królewskim. Był też zawsze zależnym tylko od króla i własną miał jurysdykcyę. Starostowie grodowi bliższych okolic, stryjscy, żydaczowscy, przemyscy, wodząc się ustawicznie za łby ze sobą o granice swych juryzdykcyj, niejednokrotnie wyciągali rękę po zwierzchnictwo nad zamkiem tustańskim. Ale tutejsi rotmistrze zawsze umieli im się obronić — a w razie potrzeby król stawał w obronie ich niezawisłości, bo każde-

mu królowi, zwłaszcza od czasu, kiedy rozzuchwalona szlachta w imię powszechnej wolności zaczęła władzę królewską coraz bardziej ukrócać, niemało zależało na tem, aby miał zbrojnych ludzi rozsianych po całym kraju, na którychby w każdym wypadku mógł liczyć. To też bywały niejednokrotne starcia pomiędzy tymi rotmistrzami a szlachtą; urzędnicy ziemscy i wojewódzcy ich nie lubili, a chociaż im się należał tytuł starostów, bo w urzędowych tytułowano ich *capitaneus*, przecież zwykle nazywano ich rotmistrzami.

Kazimierz Wielki miał obok siebie powiernika i przyjaciela, który się zwał Jan Suchywilk ze Strzelec, herbu Grzymała, a był najprzód dziekanem krakowskim, potem kanclerzem koronnym, aż go w końcu król przy śmierci mianował egzekutorem swego testamentu. Kiedy król zabrał Czerwoną Ruś, Suchywilk był niejako jego zastępcą do wszelkich spraw tych krajów zabranych, i dlatego powszechnie dawano mu tytuł kanclerza dla ziem ruskich. Korzystając ze swego owoczesnego wpływu, jakoto zawsze rad pomaga swój swemu, ksiądz kanclerz za łaską królewską osadził swojego brata na zamku tustańskim. Brat ten pisał się czasami Mikołaj, a czasem Nyczko de Strzelcze et de Baranów Suchywilk, Grzymalita. Grzymałowie narówno z Nałęczami byli oddawna jednym z najpotężniejszych rodów w Wielkopolsce — wszakżeż niebawem potem prowadzili wojny z sobą, które sam król Jagiełło musiał rozimać — ale byli też bardzo rozrodzeni i nie wszystkim wystarczało na suty kawałek chleba.

Mikołaj pochodził tylko ze Strzelec, ale ich nie miał; miał wprawdzie Baranów, w tłustych ziemiach leżący nad Wisłą, ale go musiał zastawić, bo bijąc się przez cały wiek młody po cudzych krajach, narobił długów, z których się nie mógł inaczej wydobyć: toż to starostwo w Tustaniu było dla

niego prawdziwym darem Opatrzności, który należało szanować i ile możności utrzymać. Jakoż stało się to niejako tradycyjnem przykazaniem w jego rodzinie: trzymać się Tustania, a Baranów wykupić. Potomkowie jego, chociaż niektórzy z nich byli już blizcy tego upragnionego celu, przecież Baranowa nie wykupili, bo zawsze, kiedy już grosz był uzbierany i mało co brakowało, to albo wojna wybuchła i dużo grosza napsuła, albo syna trzeba było w cudze kraje wyprawić, albo też córkom wypłacić posagi. Było też proroctwo w ich domu, które jakiś wędrowny rybałt im zostawił, napisawszy na szkaplerzu przyniesionym z Ziemi świętej te słowa: „Który z was Baranów wykupi, będzie ostatnim z rodu". Tak ten i ów możeby był mógł ten majątek wykupić, ale bał się proroctwa. Natomiast wszyscy trzymali się rękami i nogami Tustania — i stała się ta rzecz, dosyć dziwna pod owe czasy, że go przez króle węgierskie i książęta Opolskie i przeróżne matactwa duchowne i świeckie za Kazimierza Jagiellończyka przetrzymali, przez sto pięćdziesiąt lat blizko nie wypuścili z ręki i do dziś dnia na nim siedzieli. Tak skalistą i niepożytą była naówczas ta prześwietna krew wielkopolska, natchniona duchem świętym miłości ziemi przez Bolesława Chrobrego, a zaprawiona nieustającą walką z Niemcami. Ale też i Grzymalici Wilkowie, jak ich powszechnie nazywano w tym kraju, a do którego to nazwiska i podanie ludowe się przyczepiło, byli to ludzie twardzi, wytrwali i trzymający się ściśle swoich rodowych przykazań. Każdy z nich już z dziecka przykładał się do rycerskiego rzemiosła na zamku ojcowskim, wyrostkiem szedł na służbę do najprzedniejszych rycerzy w ojczyznie, młodzieńcem zaś wyprawiał się w cudze kraje, kędy właśnie wojny bywały, i tam się bijał z Maury, murzyny i Saraceny, aż póki nie wrócił z zaszczytnem świadectwy od królów postronnych na zamek krakowski. Wte-

dy żaden król nie śmiał mu odmówić sukcesyi po ojcu — a kiedy ten zamek odzierżał, podobno już nikomu i na myśl nie przyszło mu go odbierać, bo tych skalisk tutejszych niktby i zębami nie ugryzł.

Za króla Olbrachta siedział na tym zamku Lenard Suchywilk Grzymalita, piszący się zawsze de Strzelce et de Baranów, *Rothmahister Serenissimi Regis, Capitaneus in Castro Tustań.* Był to wtedy człek jeszcze młody, miał lat dwadzieścia sześć, albo mało co więcej, pięknego był wzrostu, ale nie nadto wysoki, a suchej kompleksyi, jak wszyscy jego przodkowie, z czego też i przezwisko Suchywilk jeszcze jego praszczurowi, owemu kanclerzowi ziem ruskich, przyrosło. Mimo to jednak kość miał potężną, muskuły silne, a taką sprawność w całej swojej postaci, że w pełnym rynsztunku wskoczyć na konia bez strzemion, albo się wdrapać na najwyższy cypel wieży, było mu prawie zabawką, do czego zresztą przedewszystkiem wprawiało się całe owoczesne rycerstwo. Twarz także miał chudą, cerę zlekka smagławą, lecz zdrową, nos chrząstkowaty i równy, oczy wyraziste i zwykle bardzo łagodne, lecz czasem dziko błyszczące, wąs niewielki i bródkę przystrzyżoną spiczasto; zaś swój włos ciemny, bogaty nosił w kędziorach spadających na plecy, tylko nad czołem krótko go przystrzygał, ażeby w bitwie, gdzie często piersią o pierś trzeba się zetrzeć, jaki wróg zapalczywy nie mógł go wziąć za czuprynę, co już dla knechta byłoby rzeczą bardzo szpetną, a dla rycerza wcale haniebną. Kiedy sam bywał w domu, ubierał się w kaftan łosiowy brunatny, przepasywał się pasem skórzanym, nosił buty wysokie powyżej kolan, pod kolanami rzemykiem spięte i opatrzone w srebrne ostrogi, a na głowie kapelusz pilśniowy z szeroką krezą i strusiemi piórami. Głowę nosił wedle humoru, który od chwili do chwili zmieniał się u niego. Czasem był cichy, spo-

kojny i zamyślony, a ludzie jego zauważali, że wtedy z duchami rozmawia. W takie dnie często wieczorami wykradał się z zamku i nikt nigdy nie wiedział, gdzie bywał... Lecz często głowę nosił wysoko, męczył swoich żołnierzy musztrami konno i pieszo, kazał występować załodze w miasteczku, opatrywał mury i baszty, burczał na wszystkich, tego i owego kazał wrzucić do turmy — a wtedy, choćby kto był kasztelanem lub wojewodą, musiał mu zmilczeć, zwłaszcza na jego terytoryum, gdzie też miał juryzdykcyę. To też w całej okolicy mówiono sobie, że to pan wielki, czuje króla i kardynała za sobą, i kiedyś przyjdzie do wielkich dostojeństw.

Wszelako, mimo tych zmiennych humorów, czy pogoda, czy słota, ba, nawet po mrozie trzaskającym, codziennie rano wsiadał na koń i jechał na folwark, gdzie w obszernych dziedzińcach konie ujeżdżał albo swoim pacholikom kazał je musztrować przed sobą. Albowiem zawsze miał kilku, a czasem i kilkunastu młodzieży przy sobie, którzy się u niego uczyli rycerskiego rzemiosła. Byli to synowie drobniejszej szlachty, bogatych kmieci albo i mieszczan i bliższych okolic, którzy szli chętnie na służbę do niego, bo w swojej szkole umiejętnej a twardej bardzo prędko ich wyuczał na knechtów, zaczem w czasie wojny mogli się tem łatwiej odznaczyć i pasowani być na rycerzy. Toż szkoła jego, chociaż dopiero od lat kilku tu mieszkał, była sławną na całej Rusi, lecz jeszcze sławniejszem jego stado, prowadzone przez jego ojców od blizko półtora wieku z wielką skrzętnością i znawstwem. Od najdawniejszych czasów dwa gatunki koni chowano w tem stadzie: jedne ogromne, niezmiernie silne i bardzo wyniosłe, które nosiły na sobie zbroję żelazną i których rycerz zażywał do bitwy — a drugie mniejsze, równie silne, lecz szybsze do biegu, a przeto dogodniejsze do podróży i pod pacholików. Tamte zwano *dextrarius* — i byłyto konie „bardzo rozumne, przytomne, wale-

czne, rozumiejące się z jeźdźcem, a często z nim razem walczące zębami i kopytami. Konie tej rasy, w Polsce chowane, były często już z urodzenia całkiem białej szerści i były znane i bardzo cenione w całych Niemczech i we Francyi, o czem niemało jest wspomnień w ówczesnych pamiętnikach tych obydwóch narodów. Suchywilk miał zawsze kilka takich ogierów (na klacze żaden rycerz owego czasu nie siadał), często całe dnie z niemi trawił i wyuczał je takich sztuk rozmaitych, że wszystkich niemi zadziwiał. To też lud okoliczny opowiadał sobie o nim, że się mowy końskiej nauczył i z koniem tak samo rozmawiał, jak z człekiem.

Młody Lenard, ówczesnym zwyczajem rycerskim, do siedmiu lat chował się w domu pod opieką matki, potem siedem lat strawił na dworze Kmitów na Sobniu, gdzie był bardzo kochany i jeszcze później czasem powracał, ztamtąd się dostał na dwór królewski na pazia, ale niebawem przeniósł się do dworu królewicza Fryderyka, gdzie przepędził lat kilka. Jednak już w dwudziestym roku życia poszedł w cudze kraje, gdzie w Niemczech, we Francyi i w Hiszpanii u rozmaitych książąt trzy lata przesłużył i dopiero w roku wstąpienia na tron króla Olbrachta do Polski powrócił. Wtedy, zyskawszy łaskę królewską, a zresztą za przyczyną królewskiego brata, który tymczasem został biskupem krakowskim, wszedł w komput armii królewskiej i był mianowany rotmistrzem. W tej służbie przepędził jakie pół roku — a kiedy właśnie jego ojciec umiera (matka już od lat kilku nie żyła), król mu oddaje Tustań po ojcu. Natenczas Wilczek — bo tak go nazywano jeszcze u Kmitów i to przezwisko na zawsze mu zostało — osiadł na zamku ojcowskim, objął komendę nad zamkiem i załogami, ale mało co zmienił w urządzeniach ojcowskich.

Załogi te w czasie pokoju były bardzo nieliczne. Na zamku było tylko czterdziestu czeladzi

konnej, razem ze starszyzną, których z niemiecka nazywano knechtami. Każdy z nich miał na sobie kaftan łosiowy, lekki pancerz na piersi z półpłaciem na plecach, łapki żelazne na rękach i hełmik bez piór; uzbrojony zaś był tylko w miecz krótki, w toporek i tarczę w blachę okutą Pióra na hełmie nosił tylko namiestnik, zaś obok niego tylko ci żołnierze, co pochodzili z rodzin szlacheckich

Nad nimi miał komendę pan Ramułt, który był zarazem burgrabią na zamku i rządcą całego obszaru i wszystkich włości, które należały do zamku. Był to szlachcic herbowy i mający własną posiadłość pod Drohobyczem (nagrobki jego potomków można jeszcze dziś widzieć w drohobyckim kościele), człowiek lat pięćdziesięciu, z pięknym wąsem szpakowatym i krótko podstrzyżoną czupryną, barczysty i słuszny, żołnierz doświadczony, lecz przytem gospodarz wyborny, umiejący łączyć zapobiegliwość z nieposzlakowaną zacnością. Bywał on zwykle milczący i chmurny, ale pod temi chmurami złote kryło się serce. Zamożny był zdawna, ale ponieważ jego przodkowie bywali burgrabiami na zamku i namiestnikami tamtejszych rotmistrzów, więc i on został w tej służbie. Wielce był niegdyś przywiązany do ojca Lenarda, więc czuwał także z miłością nad synem, chociaż nie zawsze był z niego zadowolony. Był żonaty i dużo miał dzieci; żona jego zawiadywała gospodarstwem kobiecem na zamku i często tu przebywała, ale daleko chętniej zdawała ten urząd na starą klucznicę, a sama się wymykała do swego dworku; wyjeżdżając zaś, zwykle mówiła na ucho swemu mężowi:

— A piłuj tam naszego pana, aby się kędyś ożenił, bo tak niedobrze.

Załoga w mieście powinna była wynosić sto ludzi, a między nimi dwudziestu łuczników konnych, reszta zaś kopijników pieszych, uzbrojonych włóczniami i toporami. Utrzymywanie tych ludzi

było właściwie obowiązkiem starosty, rezydującego na zamku, ale od czasu, jak miasto zaczęło się podnosić i urosło w bogactwa, wtłoczono ten ciężar na mieszczan, którzy wprawdzie mieli swojego burmistrza i radnych, ale magdeburgii nie mieli i byli podlegli tustańskiemu staroście. Starosta miał pewne powody nie obciążać mieszczan, a patrzeć na stan tej załogi przez szpary: toż zamiast ośmdziesięciu kopijników, chociaż wszyscy byli spisani i broń dla nich była w cekhauzie, błąkało się tam ledwie kilkunastu halabardników, których cała służba ograniczała się na chwytaniu złodziejów i straży nocnej. Natomiast wszakże musieli utrzymywać, wprawdzie także nie dwudziestu, ale dziesięciu łuczników konnych, bo nad tą miejską załogą miał komendę Biłowus, człek uparty i nieużyty. O piechotę nie dbał, ale tych konnych mieć musiał: proszony i podarunkami obsypywany przez mieszczan, z dwudziestu spuścił na dziesięciu, ale ci dziesięciu musieli koniecznie i zawsze mieć konie i całe uzbrojenie w porządku. Szczęściem, że z poszanowania dla dawnych tradycyj nie bronił zwierzchności miejskiej używać ich na posyłki i do innych służb miejskich, zwłaszcza podczas jarmarków — a tak ten wielki wydatek choć w małej części opłacał się miastu.

Wilczek, objąwszy rządy, zrazu był się zamachnął, aby Biłowusowi tę komendę odebrać. Nie chodziło mu o tę dziesiątkę łuczników, lecz o to, że w obrębie swego starostwa nie chciał cierpieć urzędu i urzędnika, niemianowanych przez niego samego. Prócz tego Biłowus sprawował urząd poborcy podatków we wszystkich osadach, należących do zamku — a ile razy się dowiedział, że Wilczek wyprawił którego ze swych knechtów z listami, zawsze się zjawiał u niego i natarczywie upominał się o to, ażeby tylko jego wyprawiano z wszelkiemi poselstwy, bo mu się to z dawnego prawa należy. Toż Wilczek przez blizko dwa lata ponawiał kilka-

krotnie swoje przeciwko niemu zamachy, a mianowicie za każdym razem, kiedy po kilkomiesięcznym pobycie w Krakowie albo we Lwowie powracał na zamek. Ale Biłowus nigdy nie dał się przemódz— a jak mu tylko o ustąpieniu wspomniano, skakał w oczy, jak gadzina, choćby samemu panu, a potem jeszcze i groził.

Rusin ten bowiem pochodził z Bojarów putnych —a to bywali ludzie twardzi jak krzemień. Dawnemi czasy, za książąt ruskich, niektórzy z nich byli prawdziwymi bojarami dumnymi, miewali znaczne posiadłości i własne drużyny, ale z czasem zmaleli; niektórzy dlatego, że zagony tatarskie zniszczyły ich mienie do szczętu, inni zaś z tego powodu, iż wobec zalewających te kraje Węgrów i Polaków nie umieli im kroku dotrzymać ani w sprawach rycerskich, ani w utrzymywaniu swoich majątków, ani w obronie praw swoich. Tak wielu z nich zeszło na bojarów putnych, którzy się utrzymywali tylko przy małych osadach, a których nowi panowie używali zazwyczaj do poboru podatków i ważniejszych posyłek z publicznemi pismami, za co im dawali jurgielty i podarunki.

O przodkach Biłowusa była wieść, że byli niegdyś bojarami dumnymi i posiadali w okolicach zamku wielkie obszary ziemi, na których ludne znajdowały się osady, lecz z czasem także podupadli, tak, że dzisiejszy Biłowus miał już tylko dwa łany ziemi, a na nich bardzo skromne budynki i maleńką forteczkę, i był tylko wójtem we wsi należącej do zamku. Wójtów we wsiach ruskich nazywano kniaziami, dlatego i on nosił ten tytuł. Został mu także urząd poborcy podatków, nie przynoszący wprawdzie miłości u ludu, ale cokolwiek dochodu, prawo rozwożenia listów starosty, które mu odebrano, i komenda nad miejską załogą, jak się już wyżej wspomiało, nadzwyczajnie zmalała. Teraz mło-

dy starosta chciał mu i to jeszcze odebrać. Biłowus się bronił pazurami i kłami i wtedy nieraz okrutnie wykrzykiwał po dziedzińcu zamkowym. — A szczoto! — wołał językiem mieszanym, ale tak głośno, że szyby w oknach brzęczały — z bojara mnie zgnietli na kniazia, z sotnika na desiatnika, z poborcy na draba, bo biedni ludzie nie mają czem płacić i trzeba ich grabić — a i to jeszcze chcą mi odbierać?! Ej! ty panie starosto! nie graj ty ze mną, bo ja chłopom podatki daruję i zburzę czerniawę—a wtedy patrz, abyś się ty na twoim zamku odzierżył. Ale nie zdzierżysz, powiadam tobie, nie zdzierżysz! — A tak hałasując, wykrzykiwania swoje i groźby powtarzał jeszcze z za bramy. Tak trwały te swary przez blizko dwa lata — a wtedy załoga zamkowa pomiędzy sobą mówiła, że wszystko to się na nic nie zdało, ile że starosta jest twardszy od Biłowusa, znosi mu jego opór do czasu, bo pewnie nie chce, aby mu kniaź chłopów poburzył; ale któregoś dnia, jak go gniew porwie, nietylko z miejskiej komendy, ale i z jego fortecy tak go wyrzuci, jakby kto jabłko strącił z jabłoni. Tak to starosta sam nieraz powiadał knechtom, kiedy z nimi po pracy na folwarku spoczywał...

Tymczasem, temu rok jakoś albo mało co więcej, starosta nagle dla Biłowusa się zmienił, ale tak nagle, jak gdyby czarownica rzuciła na niego uroki. Już odtąd nigdy ani jednego złego słowa nie wyrzekł o nim, owszem nieraz go chwalił przed służbą, mówiąc: — Staroświecki to żołnierz, ale waleczny i może być bardzo pożyteczny. Trzeba owych stu ludzi nazad postawić na nogi w mieście i oddać mu nad nimi komendę. — Jakoż i w rzeczy samej kazał miastu z jakich trzydziestu kopijników uzbroić, a Biłowusa wciąż pilił, aby ich dobrze służby nauczył. Wtedy też niemal co dwa tygodnie go wyprawiał z listami do Sambora, do Przemyśla, a nawet do Lwowa, tam zaś nie zaraz go odprawiano,

tak, że czasem i cały miesiąc był w drodze. Za czem szły zawsze sowite jurgielty od starosty na drogę, traktamenty od panów, do których jeździł z listami, a po powrocie znów podarunki, że się dobrze sprawił z poselstwem. Ludzie zamkowi bardzo się dziwowali tej szczodrobliwości, mówiąc: — Ot! jak to łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a nigdy nie wiedzieć, kiedy przyjedzie, a kiedy odjedzie.

Tylko pomiędzy babami, że to są zawsze ciekawsze od mężczyzn, rozmaite chodziły plotki. Tam i przy studni i przy kądzieli opowiadano sobie, że Biłowus ma córkę, bardzo piękną dziewczynę, której strzeże jak oka w głowie, bo ją chce wydać za jakiego bojara, któremuby mógł spuścić swoje majątki i swoje urzędy. Dziewka ta tak jest przezeń strzeżoną, że nawet da cerkwi sam ją prowadzi i sam odprowadza do domu. Ale jest przy niej jakieś stare babsko, którą powiadają jej ciotką, a której bardzo źle patrzy z oczu. A że to baba i dyabła oszuka, więc kto tam wie, co się tam dzieje...

Baba ta, tak to sobie opowiadano, ma kędyś pod Wisznią, niedaleko od jakiegoś cudotwórczego klasztoru, swoją własną osadę, gdzie też po wszystkie czasy mieszkała. Ludzie, którzy chodzili do klasztoru, prosząc księży o pomoc, kiedy księża im nie pomogli, szli do niej po radę — i z tem jej bardzo dobrze się działo. A przecież porzuciła własne obejście i przyszła do Biłowusa, gdzie z pani stała się sługą, swej woli nie ma, a często jeszcze od tego starego niedźwiedzia może szturchańca oberwie. Niechże to kto wytłomaczy. Nareszcie co świegotliwsze kobiety jeszcze i to dodawały, że wcale nie wiedzieć, kędy się wieczorami wymyka starosta, że go widziano jako przy płocie z tą starą babą rozmawiał, że nawet jednego wieczora zauważono, jako wszedł do Biłowusa chałupy i zniknął.

Ta stara baba nazywała się Marucha, dziewce zaś Biłowusowej było na imę Ofka — i takieto powieści o nich noszono po kątach zamkowych, z uszczerbkiem dobrej sławy może całe niewinnej dziewczyny i takiego możnego pana, jakim był młody starosta.

Powieści te nie dochodziły do uszu knechtów zamkowych, bo ci po całych dniach byli w pracy, a kiedy mieli jaką godzinę wolną, to się wymykali do miasta, gdzie między pięknemi mieszczkami każdy znalazł sobie lepszą rozrywkę, niżeli plotki o cudzych amorach. Ale był między nimi jeden pacholik, nazywał się Włostek i był synem zamożnego kniazia ze Synowódzka, który wielki handel prowadził suszonemi śliwkami, solą i winem, dorobił się grzecznej fortuny i chciał swego syna wyforytować na szlachcica albo i na rycerza. Włostek miał wtenczas lat prawie dwadzieścia, a że szedł z bojków, więc by nabity, włosy miał krucze, oczy czarne jak węgle, nos orli i cerę mocno smagławą. Nie umiał ani czytać, ani pisać, co jednak wtedy i wielkim panom się wydarzało; ale mimo to był to chłopak setny, serdeczny i śmiały, a do tego rozumny, bo grał na teorbanie i takie piękne piosnki śpiewał, że inni pacholikowie nie mogli się ich odsłuchać, a dziewki płakały.

Otóż ten Włostek, mając łatwiejszy przystęp do babskiej załogi, niż wszyscy inni, pierwszy dosłyszał owych pokątnych powieści, zaczem uszu naszczurzył — kiedy jednego dnia baby przy studni podsłuchał, jako je powtarzały, okrutnie je zjeździł, mówiąc z zaciśniętemi pięściami: — Niechże u was raz jeszcze takie klekotanie posłyszę o pannie Biłowusowej, to was strzaskam jak stare garnki, a wasze czerepy rozrzucę po całym dziedzińcu! A potem sam powiem staroście, niech mnie każe powiesić; ale podobno starosta każe jeszcze wasze bebechy pozbierać i rzucić psom na pożarcie, bo też

psia to jest robota! — Zaczem plotki cokolwiek przycichły.

A tymczasem Biłowus był kontent z siebie i ze swego starosty. Do swoich dziesięciu konnych dostał trzydziestu piechoty, mieszczanie go respektowali i kłaniali mu się niżej niż kiedykolwiek, aby nie naglił o uzbrojenie reszty, pieczone i warzone posyłano mu z miasta, ocierał się o burmistrza, komendantów i panów, kiedy jeździł z listami, pomiędzy szerokie grosze praskie zabłąkał się teraz nierzadko i złoty węgierski, a prócz tego miał już szeroką drogę otwartą do odzyskania dawnego znaczenia swych ojców. Czegoż mu więcej było potrzeba?

To też teraz często przychodził na zamek, szeroko się rozsiadał w kordegardzie zamkowej, w ożywionej rozmowie wyciął tego i owego knechta po ramieniu, niejednego pacholika nogą potrącił, a nawet i samemu namiestnikowi śmiało zajrzał w oczy, swojego skórzanego hełmu przed nim nie uchylił i często mu co takiego powiedział, za coby Ramułt nawet starszego knechta szlachcica był wsadził co najmniej na trzy dni do turmy. Jemu milczał, a jeno wzruszywszy ramionami, odchodził. Tylko raz jeden — a miało się już wtedy ku wiośnie — kiedy go zastał znów w kordegardzie, przechwalającego się bez żadnej miary swojemi u starosty łaskami, i kiedy rozzuchwalony Biłowus jemu samemu bryzgnął w oczy rzekomym wpływem, jaki miał na starostę, Ramułt przegiął się nad nim, uśmiechnął się prawie szydersko, splunął na ziemię i rzekł:

— Jakom żyw, jeszczem takiego durnia nie widział!

Śmiech głośny, chóralny wszystkich żołnierzy i pachołków, jakgdyby kto z kilkunastu muszkietów odrazu wystrzelił, zawtórzył tym słowom Ramułta — a wtedy i Biłowusowi jakoś się twarz prze-

ciągnęła, a język mu zdrewniał. Jakoż pobawił jeszcze tylko mrugnienie oka w kordegardzie, zaczem wyszedł milczący i zamyślony w dziedziniec i zniknął za bramą.

I dziwna rzecz, albowiem od tego czasu przez kilkanaście dni nie pokazał się na zamku.

A przez ten czas nowe plotki zaczęły chodzić po kuchniach i izbach kobiecych. Powiadano, że Biłowusa bies napadł. Szeptano sobie, że bił Maruchę i Ofkę i powytłukał wszystkie błony w chałupie. Inni mówili, że chciał je obiedwie wypędzić i już ich szmaty powyrzucał na drogę, ale go jakoś Marucha udobruchała. Szła także wieść, że kazał obydwom kobietom iść do starosty na zamek, ale Marucha i to mu wybiła z głowy.

Opowiadano sobie nareszcie, że te gniewy ztąd poszły, że Biłowus się niespodziewanie dowiedział, jakoby starosta wieczorami do chałupy przychodził i usiłował bałamucić dziewczynę, ale nic więcej—i dlatego nietylko żołnierze, ale i baby srodze potępiały tego starego niedźwiedzia, że takie gwałty wyprawia za taką rzecz marną...

Potem się jakoś uspokoiło w chałupie. Nazajutrz zaś Biłowus wsiadł na koń i w góry pojechał. Jest wielkie podobieństwo, że jeździł w głębokie Bieszczady i tam się radził czarownic, które w niedostępnych jarugach pomiędzy skałami mieszkają i umieją radzić na wszystko. I zdaje się, że czarownice dały mu dobrą radę i dobrą przyszłość mu wywróżyły, bo kiedy po kilku dniach wrócił, to był wcale uspokojony i tylko czasami jeszcze wykrzykiwał z zaciśniętemi pięściami, mówiąc: — Ale jak jej nie weźmie, to was obiedwie zbiję na proch i wyrzucę z chałupy!

Naówczas widywano także popa z miasteczka, jako kilka razy wchodził do jego zagrody i długie godziny tam bawił. Biłowus zapewne także i jego się radził, bo był to człek mądry. W budne dnie

szewctwem się bawił i szył buty tak piękne, że mu za nie bardzo drogo płacono, po trzy grosze za parę, a za trzewiki dwa grosze; zaś w niedzielę i święta, zwłaszcza gdy podpił, miewał takie kazania, że go się ludzie odsłuchać nie mogli. Ale i na tygodniu służył ludziom, gdy było potrzeba, a zawsze bardzo skutecznie, bo i chorobę zażegnał i dyabła wypędził z człowieka, a jeszcze i mądrą dał radę. Co jednak Biłowusowi poradził, tego się nie można było dowiedzieć.

Włostek co wieczór wymykał się z zamku i biegał do Biłowusowej zagrody; do chałupy nie wchodził, bo Biłowus żadnego żołnierza do siebie nie wpuszczał, ale zapewne się pod chałupę podkradał i podsłuchiwał. Raz nawet knechtowie, powracający z miasta, widzieli go rozmawiającego z Maruchą, ale nie mogli dosłyszeć ich całej rozmowy, bo też i nie godziło się podsłuchiwać ludziom rycerskim. Dosłyszeli tylko, przechodząc zwolna, jak Włostek mówił do Maruchy głosem, zalanym łzami: — Wiedźcież Marucho, że niemasz rzeczy, którejbym ja nie zrobił dla Ofki, choćby mnie ludzie wyśmiali. — A Marucha na to: — Nie gadaj tak, bo ty nie wiesz wszystkiego. Bądź, jakiś był, a tylko mnie jednej się zwierzaj, bo Ofka cię nie chce, a Biłowus kości by ci połamał, gdybyś tu przyszedł ze swatami. Niechajno się stary rozmówi ze starostą, a potem jaki czas minie, to wtedy ja tobie pomogę... Kiedy Włostek wracał do zamku, ten i ów trącał go łokciem i rozmaite zadawał pytania. Ale on nikomu nie odpowiadał i słowa. Zasiadał ze wszystkimi do wieczerzy, ale nie jadł i nie pił, zaś po wieczerzy zasuwał się w kąt — a kiedy inni hałaśliwie gwarzyli ze sobą, on ciężko wzdychał i milczał.

Tak minęło tych dni kilkanaście.

Tymczasem po zimie, która w tym roku 1496 była bardzo łagodną i prawie bez śniegu, bardzo

szybko zazieleniła się wiosna. Były to dopiero ostatnie dnie kwietnia, a lasy już wcale bujną się okryły zielenią, długie klucze żórawi było widać ciągnące ku Polsce, stada dzikich gęsi padały na stawy, bocian przechadzał się z wyciągniętym dziobem po rozległych moczarach, jaskółki budowały swe gniazda przy gzymsach zamkowych, jabłonie i grusze okryły się białemi kwiatami, bzy napełniły swoją ożywiającą wonią powietrze, a chaty w liściastych zanurzyły się sadach jak w lasach. Ciepło też było jak w lecie i od dni kilku jasna, tej pełną wiosną oddychającej ziemi, przyświecała pogoda.

Wilczek w te czasy wstawał o świcie, o wschodzie słońca już był na osadzie i tam do samego południa zabawiał się końmi, każąc je ostrzygać, podkuwać i przejeżdżać przed sobą. Rycerz ówczesny dbał bardzo o swoje konie i strzegł ich w domu i w polu jak oka w głowie, trzymając się hiszpańskiego, lecz między recerstwem wszech krajów upowszechnionego przysłowia: *Muerto el caballo, perdido el caballero.* Rycerz spieszony, mawiano u nas naówczas w Polsce, to posąg strącony. Toż pielęgnowano naówczas konie z nieznaną dziś starannością i uczono je z daleko większą cierpliwością niż dzieci, bo szła spadkiem od wieków w zamkach rycerskich nauka: że człowiek sam się może wyuczyć, a koń potrzebuje nauczyciela. Wszelako Wilczek i godziny popołudniowe trawił na Posadzie, bo kazał rzemienie, kulbaki, wędzidła i wszelkie wojenne przybory opatrywać, czyścić i w razie potrzeby naprawiać, ażeby wszystko było na zawołanie gotowe. Roboty te zwykle się odbywały z zaraniem wiosny, bo Tatarzy często już z bocianami zalewali te kraje i trzeba było być zawczasu przygotowanym na ich przyjęcie. Zaś wczas przed zachodem słońca wracał na zamek, bo i tutaj pacholikowie siedzieli w rynsztunkowej sali po całych

dniach nad czyszczeniem i naprawianiem hełmów, misiurek i wszelkiej broni — a pilnowali ich starsi żołnierze, którzy wszyscy pod owe czasy znali się na płatnerstwie i rusznikarstwie.

Włostek pomiędzy nimi celował, zwłaszcza w polerowaniu stali, i bardzo był rad, że miał zajęcie przez cały dzień, bo robota ta odpędzała odeń czarne myśli, które mu się wciąż naciskały. Toż był prawie wesół z innymi, tylko czasem zaklął na Biłowusa, nie wiadomo dlaczego, ale zapewne z tego powodu, że pobił Ofkę, o czem on się dopiero przed kilku dniami dowiedział.

Tego dnia Wilczek wrócił po południu jak zwykle, pobawił jakiś czas w zbrojowni, gdzie Ramułt pilnował roboty, a potem z nim razem przeszedł do przyległej komnaty, pierwszej od wejścia, gdzie najchętniej siadywał.

Komnata ta była duża, o bardzo wysokim pułapie, z wązkiemi a wysokiemi oknami, bardzo poważna, ale bez żadnych ozdób; ściany jej były drzewem wyłożone, niegdyś pięknie rzeźbione, ale dzisiaj już w wielu miejscach zmurszałe, sprzęty w niej grube, drewniane i bardzo niezgrabne, kilka poręczowych stołków stało przy stole, które niegdyś były skórą złoconą nakryte, ale dzisiaj złocenie było już starte, jakieś dwie malatury wisiały na ścianie w czarnych ramach drewnianych, zapewne i dawniej niebardzo do ludzi podobne, dzisiaj już wcale nie do rozeznania. Daleko wspanialsze, chociaż cokolwiek niższe izby znajdowały się na drugiem piętrze; były tam sprzęty złocone i adamaszki albo makaty na ścianach, ale tam Wilczek nigdy nie mieszkał.

Teraz siadł na stołku drewnianym przy stole pod ścianą, a przy nim stanął Ramułt i patrzył mu w twarz z ciekawością, albo też z niepokojem, jak jdyby się chciał czegoś od niego dowiedzieć, albo gak gdyby mu chciał coś ważnego powiedzieć i ba-

dał, ażali chwila potemu sposobna. Tymczasem Wilczek poprawił kapelusza, odetchnął z głębi piersi i rzekł:

— Jużem się też dzisiaj spracował jak wół, bo mi Wrony nie chciał statkować. Koń to silny jak niedźwiedź, mimo swego ciężaru szybki jak sarna, a rozumniejszy od niektórego chłopa, ale niekiedy ma swoje fochy, nie chce człowieka zrozumieć, zróbże z nim wtedy co chcesz.

— Nie bardzo ja trzymam za Wronym — rzekł na to Ramułt — niechby się tam kto inny nim bawił.

— Cóżeś sobie do niego upatrzył? — zapytał Wilczek — przecież i sam mi nieraz mówiłeś, że to najlepszy koń w całej stajni.

— Ale wrony — powiedział Ramułt — a taki koń szczęścia nie niesie.

— To prawda — odpowie Wilczek — ale ma wielką łysinę i wszystkie cztery nogi białe po same kolana, więc raczej srokacz jest, aniżeli awrony.

Ramułt pomyślał nad tem cokolwiek, a potem rzekł wesoło:

— Jużci i to prawda. Kiedyż wasza miłość myśli wyjeżdżać? Na podróż do Lwowa i do Krakowa jeszcze podobno za wcześnie.

— Ja też jeszcze o podróży wcale nie myślę— odpowiedział mu Wilczek.—W mojej skrzyni pusto, jak na tej wieży, gdzie puhacze mieszkają, a Kijas teraz pieniędzy nam nie da, chyba aż po jamarku, jak zwykle, a do jarmarku jeszcze dwa tygodnie z okładem. Jeszcze i towarów nie zabrał z Tustania, więc nawet nie wiedzieć, ile nam się będzie od niego należało. A potem, choćby i nie dał, to takżeby mi nie było dziwno, bom się już tak u niego zadłużył, że i sambym nie doszedł rachunku.

Ale na to się Ramułt uśmiechnął i rzekł:

— Nie wiem, co on tam waszej miłości o tych długach powiada, ale ja prowadzę dokładny ra-

chunek. Pilnuje on się w swym handlu, ale i ja jego pilnuję. Ot! i teraz od dwóch tygodni z okładem, odkąd drogi cokolwiek podeschły, dzień w dzień idą towary z Tustania do Lwowa, a u mnie i każda bryka jest zakarbowana i to, co było na bryce. Jak przyjdzie kiedyś dzień sądny, to się okaże, że nie jegomość jemu winien, ale raczej on nam co jeszcze dopłaci. O pieniądze jegomość się nie potrzebuje turbować...

— Prawdęż-to mówisz, mój stary? — zapytał go Wilczek śmiejącemi oczyma.

— Jakem wierny sługa waszej miłości.

— Kiedy tak, to i lepiej. Bo wiesz, żem ja w rachunkach nie mocen, nawet i wstręt mnie bierze mówić o pieniądze, bo to rzecz nie rycerska. Jużem też nieraz rozumiał, że Kijas za łeb mnie trzyma długami. Wierzę tobie, boś mnie nigdy nie okłamał; jeno tak nie mów, jakeś dopiero powiedział, bo między mną a Kijasem dnia sądnego nigdy nie będzie. Jam wdzięczność powinien temu zacnemu Ormianowi i nigdy się z nim nie pokłócę, a zwłaszcza też o pieniądze. Wiesz przecie, jakie on położył zasługi około naszego domu. Jeżeli nasze miasteczko jest dziś tak bogate i takie znaczne nam przynosi intraty, toż to jego robota. Już i dla mego ojca jego worek był zawsze otwarty, a cóż dopiero dla mnie? Małoż-to on mi pieniędzy dosyłał, kiedym sługiwał po wielkich dworach? Małoż mi on pomagał, kiedym wojował po Niemczech i Francyi? Małoż-to długów za mnie popłacił w Krakowie — a czyż i tutaj nie jest on moim nieomylnym podskarbim? Słuchaj mnie—Ramułt, kiedyby mi przyszło tego człowieka piersią moją zastawić, tobym chętnie to zrobił — a kiedyby mi przyszło zginąć za niego, to jeszczeby-to była śmierć nie najgorsza, bo też i on mnie kocha, jak syna i takżeby mnie bronił przed każdą napaścią. A ty? zaliż ty się możesz skarżyć na niego?

— Chowaj mnie Boże—rzekł Ramułt z pośpiechem sługi, który wchodzi w myśl swego pana — owszem, nie miałem z nim nigdy żadnego sporu.

— Więc czegoż mówisz o jakimś dniu sądnym?

— Takem to wspomniał — odpowie Ramułt trochę zakłopotany — bo mi się widzi, że na naszych mieszczanach i chłopach wielkie zbiera bogactwa i mógłby nam jeszcze daniny postąpić.

— Dajże mu pokój — zawołał Wilczek — na to kurka grzebie, aby coś wygrzebała. Niechże sobie zbiera bogactwa, tem lepiej dla nas, bo tem pewniej się znajdzie pomoc u niego w potrzebie. Ot! i tak mi już parę razy wspominał, że co roku coś tam odkłada na wykupienie Baranowa, a nawet podobno już dał jakiś zadatek.

— Coś i ja o tem słyszałem—rzekł Ramult— ale nie pora dziś o tem mówić. Pomówimy o tem kiedyś, jak się wasza miłość ożeni. A na to pora i wielka, bo dziwnie tu pusto w tym zamku, nigdy tu tak nie bywało. Ojcowie waszej miłości żenili się młodo, zawczasu postanawiali swe dzieci i dobrze z tem było.

— Jużci i mnie nieraz smutno samemu—rzekł Wilczek. — Z wychowanicą Kijasa chętniebym się był ożenił. Nie burzyła mi się krew na jej widok, ale cudnie wdzięczna była to dziewka: poczciwa, dobra, a nawet uczona, zaś przy tem wszystkiem wyniosłego umysłu, zgoła tak, jak przystało na żonę rycerza; byłbym mógł całe życie przeżyć z nią w niezamąconej przyjaźni, którą też i bez tego dla niej zachowam na zawsze. Ale cóż, kiedy Kijasowi uroiło się z nią swego syna ożenić. Para to taka dobrana właśnie, jak gdyby kto podłego kota zaprzągł do jednego wozu ze szlachetną lwicą; nie wiem też, jak jej tam do smaku z tym mężem, chociaż to jarzmo znosi cierpliwie i z wielką godnością. Mogłem ja potrzaskać te swaty, nawet już jednej nocy prawiem to był postanowił. Ale nad ranem

ta myśl mnie odeszła; widać, że mnie serce nie pociągnęło w tę stronę. A dziś sobie powiadam, że tak lepiej się stało, bo przecieby mi było wstrętno wodzić się za łby o dziewkę ze starym Kijasem, który mi prawie jest drugim ojcem.

— Szkoda to wielka — powiedział Ramułt — bo to panna wielkiego rodu i znaczne szły na nią w podolskiej ziemi puścizny. Ale Bóg nie chciał, więc trudno się skarżyć. Godzi się raczej kędy indziej obejrzeć...

A kiedy zacny namiestnik to mówił, wszedł pacholik służbowy i rzekł:

— Kniaź Biłowus przyszedł i prosi, aby się mógł jegomości pokłonić.

— Biłowus?—rzekł Wilczek i trochę się zmienił, ale i Ramułt się zmienił i powiedział prędko:

— A ja właśnie chciałem waszej miłości napomknąć, że z tym człowiekiem trzebaby rozumnie pogadać.

— Już ja z nim pogadam — rzekł Wilczek — niech wejdzie.

W małą chwilkę potem wszedł do komnaty Biłowus.

Był to człowiek mający wówczas już pięćdziesiąt lat z górą, niebardzo wielki wzrostem, przynajmniej tak się wydawał, bo miał plecy bardzo wypukłe, ale niezmiernie barczysty, ramiona tam były u niego jak u innych uda, a ręce i nogi jak u niedźwiedzia. Twarz miał szeroką, czuprynę i brodę kłaczyste i już siwiejące, a oczy siwe, okrągłe jak gałki. Był dzisiaj w wielkiej paradzie: miał na sobie cały pancerz z nagolennikami, ale wszystkie jego części z grubej bawolej skóry, krótki miecz w pochwie skórzanej u boku i hełm także skórzany, który jednakże zostawił w sieni. Rękawic także dzisiaj nie włożył, a swoje łapy brunatne niósł gołe przed sobą. Tak wszedł i kilkakrotnie się Wilczkowi pokłonił, uśmiechając się wdzięcznie.

W Wilczka, jak go tylko zobaczył, całkiem inny duch wstąpił. Dotąd łagodny jak dziecko i prawie tkliwy, wstał, naprężył się, głowę podniósł wysoko, twarz okrył surową powagą i oparł się o stół stojący pod oknem, rzekł jednak spokojnie:

— Cóż mi tam powiesz, Biłowus?

Na to Biłowus rozszerzył najprzód ramiona, potem klasnął zlekka w swoje szerokie dłonie, uśmiechnął się jeszcze raz i powiedział, rzucając wzrokiem na Ramułta:

— Chciałem waszej miłości coś powiedzieć na osobności.

— Mów śmiało — rzecze mu Wilczek — ja przed Ramułtem nie mam sekretów, a ty masz w nim przyjaciela.

— Tak i powiem — odpowiedział Biłowus a klaskając od czasu do czasu w swe dłonie i uśmiechając się ciągle, tak mówił dalej z ruska po polsku: — U nas tutaj na Rusi jest zwyczaj, że dziewki same posyłają swych swatów do pana młodego, którego z wolą rodziców sobie upatrzą. Owoż moja Ofka upatrzyła sobie waszą miłość, naszego starostę — a ja na to zezwolił. Ale żeby w to cudzych ludzi nie mieszać i że ja sam jestem w łasce u wielmożnego starosty, bo to nasze familie żyją z sobą w zgodzie od wieków, więc ja sam przyszedłem zaswatać moją dziewkę waszej miłości.

To rzekłszy, widocznie kontent był z siebie, bo jeszcze raz klasnął w dłonie i bardzo się wdzięcznie uśmiechnął.

Jakoż istotnie propozycya ta musiała być śmieszną, bo i Wilczek się także uśmiechnął i spojrzał śmiejącemi oczyma na Ramułta; ale Ramułt się nie śmiał, tylko patrzył bardzo groźnym wzrokiem na Biłowusa. Wszelako putny bojar wcale na to nie zważał, natomiast zaś prawie jak gdyby pewnym był swego, znów klasnął w dłonie i tak mówił dalej:

— Wiem ja dobrze, że panu staroście lackim zwyczajem ludzie będą raić jaką kasztelankę, ale moja familia idzie z bojarów dumnych, a nasz bojar prawdziwy dotrzyma rodem niejednemu lackiemu kasztelanowi, co tam na swoich piaskach mazurskich może sam chodził za pługiem, a tutaj zrobiono go senatorem. A fortuna kołem się toczy; jak Pan Bóg pobłogosławi, to prędko będzie bogacz z żebraka. A u Pana Boga ani pan lepszy, ani chłop lepszy, bo On błogosławi tylko ludziom uczciwym. Ot! tak, panie starosto, weźcie Otkę do zamku a ja wam pobłogosławię i będziemy sobie razem...

Tu wszakże Wilczek stracił cierpliwość i rzekł do niego już gniewnie, ale jeszcze się powstrzymując:

— Tobie, jak widzę, przewróciło się we łbie. Myślałem zrazu, że jakieś żarty chcesz stroić, ale jeżeliś z tem przyszedł naprawdę, to bądź kontent, jeżeli cię puszczę całego, i idź sobie do tysiąc dyabłów!

A wtedy i Biłowus twarz swoją nasrożył, nie klaskał już w dłonie, tylko powiedział surowo:

— Nie tak, nie tak, panie starosto!—ja z tem nie pójdę...

— Nie pójdziesz?! — zawołał Wilczek gwałtownie, a wtedy żyły mu zaczęły nabiegać na twarzy i dłonie mu się zacisnęły.

— Nie pójdę! — zawołał Biłowus — bo jestem ukrzywdzony na mojej sławie i plotki już chodzą o mojej dziewczynie.

— Któż ciebie ukrzywdził? — rzekł Wilczek, jeszcze panując nad sobą

— Wy, panie starosto!—zawołał Biłowus głosem chrypliwym i jakby łzami zalanym — bo pocóż wy się zakradacie do mojej chałupy? Pocóż wy bałamucicie moją niewinną gołąbkę...

A wtedy Wilczek już nie mógł się opanować.

Wszystka krew mu skoczyła do twarzy, z oczu posypały się iskry, wargi mu konwulsyjnie zadrżały i krzyknął:

— Ty!... mnie!... paszoł chłopie!...

I rzucił się, jak lew rozjuszony na niego, a porwawszy go swemi żelaznemi rękami, jak gdyby taranem wybił nim drzwi i wyrzucił do sieni. Poczem z progu zawołał:

— Hej, chłopcy! a doprawcie tam temu buntownikowi i wyjedźcie na nim za bramę... i żeby mi tu ślad po nim zaginął!

Ramułt krok w krok biegł za swym panem, trzymając w pogotowiu swe pięście, ażeby w razie potrzeby mógł dopomódz.

Tymczasem chłopcy, pracujący w zbrojowni, wylecieli do sieni, jak gdyby kto groch z worka wysypał. A jak tylko spostrzegli, o co chodzi, wszyscy na Biłowusa zawzięci, a Włostek najbardziej, w kilkunastu rzucili się na niego i waląc go w łeb, w kark i gdzie go który mógł dorwać, a krzycząc przytem: Paszoł! won! paszoł! prawie na rękach przez dziedziniec przenieśli i jakby snop zboża wyrzucili za bramę.

Poczem, wesoło gwarząc, wrócili z tryumfem w dziedziniec.

Wilczek, u którego gniew i wesołość, jak błyskawice występowały po sobie, stał już wtedy na ganku wychodzącym w dziedziniec i śmiał się, a rzekł do Ramułta, który stał za nim:

— Ot i pierzchnął pan teść, jakby świecę kto zdmuchnął. Każże im beczkę piwa do wieczerzy wytoczyć, ażeby się poweselili za fatygę.

A potem wrócił do swej komnaty.

Czy pop, czy czarownice dały Biłowusowi tę radę, aby starostę ze swoją córką zaswatał, o tem trudno się było dowiedzieć. Ale rada była dobra, bo Biłowus, zmłócony, jak snop zboża na toku, ledwie się dowlókł do swojej chałupy, a kiedy się do-

wlókł nareszcie, Marucha musiała mu warzyć gorzałkę z miodem, leźć po drabinie do jego fortecy, smarować go całego olejem i nakryć go, jak babę swoją pierzyną, aby się przez noc z tych opałów obaczył.

II.

RUSINI.

Zagroda Biłowusa, chociaż to był człek stosunkowo zamożny, wyglądała napozór bardzo ubogo. O kilkanaście kroków od drogi na lewo, a ledwie o jedno stajanie od zamku, stała tam chata dosyć obszerna, ale z nieociosanych kloców jodłowych bardzo niezgrabnie zbudowana. W szpary pomiędzy temi klocami nabito gliny z mchem pomieszanej i przybito tę masę drewnianemi kołkami, żeby w zimie ciepło nie uciekało z chałupy. Kołki sterczały ze ścian, a końce z kloców z każdego węgła; wzdłuż ściany frontowej biegła przyźba z gliny ulepiona i nizkim płotem podparta, ale także bardzo zaniedbana. Chata ta była nakryta strzechą, niegdyś z całych snopów żytniej słomy dosyć starannie utkaną, ale dziś wichry ją rozczesały i rozburzyły, poczem tu i owdzie przykryto ją dranicami, a przy nich pokładziono bryły kamieni, ażeby ją ochronić od wichrów. W chacie okna były małe i zakopconemi błonami nakryte, tylko w świetlicy i przyległej komorze były okna szklane, dosyć jasno umyte. W jednym trakcie z chatą szły obora i stajnia na konie, do której były przybudowane chlewy i kurnik. Za chatą stała jeszcze stara szopa nawpół otwarta, w której chowano koleśnice i trochę sprzętów gospodarskich drewnianych, ledwie tu i owdzie żelazem okutych, lecz dalej ża-

dnych zabudowań nie było; zboże i siano chowano w brogach. Zgoła widać było na pierwszy rzut oka, że Biłowus nie dbał o gospodarstwo, chociaż jego przodkowie musieli dbać o nie inaczej, bo cała ta dziś tak uboga zagroda tonęła w sadach bardzo bogatych i bujnych, gdzie ogromne jabłonie i grusze stały tak gęsto przy sobie, że ich gałęzie splatały się w dach nieprzebity, zwieszający się nad tym całym ogromnym sadem, a przed chatą od drogi, gdzie niegdyś zapewne był wał częstokołem zjeżony, łączyły się z sobą w taką samę gąszcz ogromne bzy liliowe i białe, berberysy, dzikie róże krzaczaste, winograd i głogi. U wchodu była szeroka furta drewniana, zawsze stojąca otworem, a cokolwiek wyżej między krzakami stał krzyż wysoki, trzymający pomiędzy swemi ramionami znamiona Męki Pańskiej, a obwieszony tu i owdzie strzępami szmat, które ubodzy ludzie, jako pobożne ofiary tam zawieszali.

Biłowus rzeczywiście niewiele dbał o swoję zagrodę i chatę. Było to według niego mieszkanie babskie, niewarte większego zachodu, bo żony nie miał, był wdowcem już od lat kilku, a córkę i tak ktoś weźmie i zaprowadzi do swojej zagrody. Dla siebie zaś nie potrzebował chałupy, bo jako żołnierz z dziada pradziada miał swoją fortecę.

O paręset kroków od zagrody, bliżej zamku, aniżeli miasteczka, stał dąb starożytny, istny potwór w rodzinie drzew, jakiego długo trzeba było szukać nawet w lasach ówczesnych, chociaż w nich tego rodzaju olbrzymów wcale nie brakowało. Dębowi temu liczono lat tysiąc, albo może i więcej, bo szła wieść między ludem, że ma tyle set lat, ile głównych konarów, a tych miał więcej, niż dziesięć. Cokolwiekbądź, był to dąb tak olbrzymi, że jego pień mierzył objętości około czterdziestu łokci kupieckich A musiał być bardzo stary, bo był wypróchniały i zaraz u dołu znajdowała się w nim izba

tak wielka, że Biłowus z niej zrobił stajnię. Chował też w niej swego konia przy drabinie i żłobie, a obok konia jeszcze dosyć miał miejsca na wszystkie kulbaki, łęki, munsztuki, czapraki i inne narzędy, których miał z dawnych lat bardzo znaczne zapasy, a które w wielkim porządku były porozwieszane po ścianach tej stajni. A i koń jego potrzebował także niemało miejsca, był to bowiem kałmuk prawdziwy, nie tak wielki, jak konie zbrojne rycerskie, ale duży, a tak niezmiernie szeroki w piersiach i krzyżu, że swoją budową był wcale do swego pana podobny.

Ogier ten (bo i Biłowus także na klacze nie siadał) miał łeb kwadratowy z chrapą rozdartą, oczy ogromne i dzikie, jak u morskiego potworu, grzywę kołtunowatą i długą, a ogon także rozczochrany i niezmiernej grubości, maści zaś był tak niepewnej, że trudno dla niej wynaleźć nazwę. Był bowiem właściwie żółtawo-płowy, ale na grzbiecie i nogach czarną okryty szerścią, a do tego jeszcze tu i owdzie miał çentki ciemnego koloru. Był to koń tak niesamowity, że nikt do niego nie mógł przystąpić, bo kąsał i bił nietylko zadem, ale i przedniemi nogami, jak niedźwiedź, toż i paść go nie było można swobodnie, tylko na linie, albo w oparkanionej zagrodzie. Ale Biłowus był z nim, jak z bratem; pokazywał nawet nieraz zdziwionym mieszczanom na rynku, jaki to koń spokojny i posłuszny, jak dziecko, i jak niesprawiedliwie go oczerniano; wtedy podłaził mu pod brzuch, podnosił każdą jego nogę zosobna, całował go w mordę, a kiedy mu co na rozum powiedział, to konisko stał sam przed domem, albo gospodą, kędy jego pan bawił, i z miejsca nie ruszył, choćby miał całą noc czekać na niego. Biłowus go dostał od panów braci z Paniowa, ówczesnych starostów na Stryju i Żydaczowie, którzy mało co przedtem siła takich koni na Tatarach zdobyli i rozpłodzili z nich całe stado

u siebie. Dostawszy go zaś źrebcem dwuletnim, sam go wychował i tak się z czasem do niego przywiązał, że gdyby już miał co stracić koniecznie, to prędzejby swoją zagrodę i wszystkie swoje urzędy, a może nawet i swoją córkę przebolał, aniżeli swego kałmuka.

Pień tego tak niesłychanie grubego dębu był tak wysoki, że nad stajnią jeszcze druga tak samo obszerna znajdowała się izba, w której Biłowus sam mieszkał. W izbie tej miał wązki tapczan jeleniemi i niedźwiedziemi skórami nakryty, około tapczana stał stół, na którym leżały rozmaite rusznikarskie narzędzia, popod ścianami na ławach leżały sajdaki, łuki, strzały, miecze i noże w pochwach skórzanych, a na ścianach wisiały tarcze, hełmy i siatki druciane, których sobie z czasem także nie mało uzbierał. Znał on bowiem wszystkie rodzaje broni, których wówczas była moc niezliczona, i umiał z nich każdą narabiać jak którykolwiek z rycerzy; ale prócz łuku, który miał zawsze w poszanowaniu, niewiele do nich przywiązywał wartości: jego ulubioną bronią była pałka i topór, pałka z samorodnego dębczaka starannie wystrugana i główkami graniastych gwoździ nabita, i topór krótki ale szeroki, opatrzony z jednej strony w młot, a z drugiej w siekierkę, mającą kształt półksiężyca. Kiedy ciągnął na wojnę, a nawet w dalszych podróżach w czasie spokoju, wsiadając na koń, brał pałkę na temlak, topór przywiązywał rzemieniem do kulbaki pod lewem kolanem, na plecach zaś zawieszał łuk z sajdakiem, a tak uzbrojony, wedle zwyczaju swych przodków, bywał strasznym żołnierzem.

W jednym rogu swej izby pod ścianą miał skrzynię dębową, mocno żelazem okutą, w której chował szerokie grosze praskie, półgroszki i skojce, zaś w osobnej mecherzynie złote floreny węgierskie— a jeżeli się tam czasem pomiędzy grosze prawdziwe, zwłaszcza przy poborze podatków, jaki „pioru-

nek" zabłąkał, to także go schował, bo przy sposobności dawał go Żydom, którzy puścili go w obieg. Nad skrzynią wisiały w pękach starannie związanych skórki kun, tchórzów, lisie i rysie, które także stanowiły majątek, bo niemi wówczas tak jak pieniędzmi płacono. Tak była ta izba jego sypialnią, zbrojownią i skarbcem — a były do niej trzy wchody: jeden po zwykłej drewnianej drabinie, która stała zewnątrz, a którą Biłowus tylko na noc w górę wyciągał, drugi również zewnątrz po sękach dębu, które stanowiły jakoby schody, a trzeci ze stajni po drabinie splecionej z wici, a która prowadziła do kryjomego wyłomu wewnątrz, łączącego wyższą izbę ze stajnią.

Nad izbą mieszkalną, pomiędzy licznemi konarami, z których każdy był jeszcze ogromnej grubości, znajdowała się jakoby platforma splotami drobniejszych gałęzi nakryta. Z tej platformy odkrywał się widok daleki na wszystkie strony, na miasteczko, na zamek, na nieprzebyte puszcze leśne ciągnące się ku zachodowi i na całą dolinę ku południowi, poprzerzynaną kosmykami lasów i chaszczów. Tam Biłowus w pogodne dnie, nawet zimowe, chętnie siadywał i bawił się polowaniem, posyłając ze swego łuku śmiertelne strzały sarnom, lisom i wilkom, kiedy który z nich się na pole wychylił, a nieraz i niedźwiedzia położył, który rad z lasu wychodził na owies albo na miodową ucztę do pasiek przyległych. Chłopcy ze wsi, w której Biłowus był wójtem, chociaż była odległą, bo dopiero na pół stajania od jego zagrody stały pierwsze jej chaty, wychodzili kupkami patrzeć, czy Biłowus siedzi ze swoim łukiem na wierzchu dębu. Wtedy czatowali cierpliwie dopóki jego strzała nie świśnie, kiedy zaś dostrzegli, że zwierza położył, przybiegali z krzykiem ku temuż i dobijali go pałkami. Tak chłopcy wiejscy mieli uczciwą zabawkę – a Biłowus swój dwór myśliwski, który go nic nie kosztował.

Biłowus miał syna, któremu wtedy było już lat dwadzieścia z okładem, a nazywał się Tymko, ale go nie trzymał przy sobie. Już siedmioletniem chłopięciem oddał go do młodych Kierdejowiczów, panów ruskich, którzy wtenczas odziedziczyli po ojcu starostwa na Trębowli i Pomorzanach, na służbę i naukę, bo chciał z niego zrobić rycerza. Młody Biłowus wcale nie był kontent z tej nauki na zamku Trębowelskim, bo Kierdejowicze, bez względu na jakieś tam pokrewieństwa z Biłowusami, dali go do diaka, a diak kazał mu gęsi paść tymczasem, nim do nauki podrośnie. Zdarzało się to wprawdzie wtenczas i synom rycerskim: ale młodemu Biłowusowi, któremu ojciec tem nabił głowę, że jest potomkiem bojarów, było to przykro, zwłaszcza, że ta niepoczesna nauka trwała lat parę, więc uciekł z Trębowli i wrócił o żebranym chlebie do ojca. Wszelako ojciec go przyjął bardzo niegrzecznie, bo obił go dębczakiem, a wsiadłszy na koń, odprowadził pieszo przy koniu napowrót do Trębowli, powtarzając mu ciągle przez drogę:—Znaj pesi synu, że ja pasł świnie za młodu u Lachów, możesz ty popaść gęsi czas jaki u naszych ruskich starostów.— Zaczem Tymko, chociaż się skruszył przed ojcem, poszedł do głowy po rozum, diakowi gęsi jedna po drugiej wydusił, udając zmyślnie przed diakiem, że przyszedł na nie pomorek—a kiedy już nie miał co paść, diak go wyuczył naprędce cokolwiek azbuki i jako już wyuczonego parobka oddał napowrót na zamek.

Tam Tymko musiał jeszcze ciężkie przebywać terminy, będąc przez kilka lat poturnakiem zamkowych żołnierzy, ale trwał stale w tej służbie, poduczył się rycerskiego rzemiosła, dostał z czasem sam ubiór i zbroję, a w końcu się wkręcił na służbę do pana Olizara Kierdejowicza, sławnego w tym czasie ruskiego rycerza, co wodził sto koni pod sobą, zwykle u króla polskiego, a czasem u ruskich książąt

sługiwał, kiedy zaś u nich wojny nie było, robił wyprawy na własną rękę na Tatary, na Wołochy i Turki, albo też i na dwory panów ruskich i polskich, kiedy się z nimi pokłócił. Wtedy Tymkowi już dobrze się działo, jakoż nieraz na jakie dni kilka wymykał się do ojca, przyjeżdżał na dobrym koniu ze swoim sługą, ubrany w pakłaki i uzbrojony dostatnio, miewał szerokie grosze w kalecie a czerwone złote w pochwie od miecza, traktował mieszczan tustańskich w ojcowskiej chałupie, a ojcu się grzecznie przymawiał, że chciałby przy nim pozostać na jego zagrodzie. Ale ojciec go słuchał tylko półuchem i odpowiadał zazwyczaj: — Jużci ja zagrody ze sobą nie wezmę, kiedy mnie Pan Bóg powoła do siebie, abym mu niebo oganiał od dyabłów. Dziewce dam garniec szerokich groszy i sorok skór do wyboru — a tobie się dostaną dąb, cała zagroda i wszystkie moje urzędy; ale to jeszcze na to czas.— Poczem zawsze palnął go w papę i dodał:—A służ wiernie twojemu panu i znaj pesi synu, że jak przyjdą skargi na ciebie, to i zagrody ci nie dam, jeno sto buków i napędzę do trzysta dyabłów, a na moich urzędach będzie zięć po mnie dziedziczył.—Więc Tymko i z tego był kontent, bo policzek to furda, chociaż Biłowus niedźwiedzie miał łapy, a wiele warta była mu pewność, że będzie dziedziczył po ojcu.

Tymko kochał swoją siostrę serdecznie i zawsze przywoził jej podarunki: raz sznurek korali i trzęsidła z szczerego złota, to znowu sztukę aksamitu i kamchy jedwabnej, a wreszcie poczwórny dukat węgierski i po trzy mniejsze po każdej stronie, a wszystko to nanizane na sznurek jedwabny do noszenia na szyi. Podarunki te mogły pewne podejrzenia obudzać, bo zkąd żołnierz ubogi miał brać takie klejnoty? Ale na wojnach ówczesnych nie trudno było o łupy, więc była ekskuza — a zresztą Ofka była to dziewczyna tak dobra i wdzięczna, że nawet i cudzy młodzieniec byłby zbrodnię popełnił, aby się jej przypodobać.

Toż w mieście Tustaniu nie było dostatniejszego parobka, któremuby się nie śniła po nocach, niektórzy z nich podkradali się wieczorami pod chatę i wieńce zielone zawieszali na furcie, a byli i tacy odważni, co nawet i swatów posyłali do ojca. Natenczas zaniesionym z Polski zwyczajem szlacheckim, którym chcieli zapewne Biłowusa pochlebić, przyjeżdżało trzech zacnych mieszczan konno przed chatę, na ich czele zazwyczaj poważny starosta w bogatej opończy; ten zsiadał z konia i pukał w okno świetlicy, wołając: — Hej! kniaziu Biłowus! podobno tam macie dziewkę w swej chacie, której czas za mąż. My zaś mamy młodzieńca, któryby się chciał postanowić i radby waszej dziewce posłużyć. Jeżeli wasza wola potemu, otwórzcie wrota, abyśmy się wam pokłonili i mogli z wami namówić. — Ale Biłowus zawsze im odpowiadał, otworzywszy okienko:—Niemasz tu dziewki w tej chacie, jedźcie z Bogiem.—A kiedy kilku odprawił tak stanowczą odmową, już potem nikt się nie zgłaszał, a w mieście powiadano sobie na ucho:—Obaczymy, jakito rycerz albo starosta zapuka kiedyś o Ofkę.

Ofka miała wtedy lat ośmnaście, włos lniany, oczy duże błękitne, usta jak wiśnie, zęby białe, jakby z kości słoniowej, a chociaż mieszkała w zadymionej chałupie, cerę miała tak jasną i przezroczystą, jak gdyby się w pańskich chowała komnatach. Do niedawna jeszcze bardzo żywe miała rumieńce, ale od niejakiego czasu cokolwiek przybladła, co byłoby wcale nie uczyniło ujmy jej nadzwyczajnej piękności, gdyby nie to, że mimo bladości na twarzy, miała postać zanadto okrągłą i jakoby ociężałą, co wcale nie licowało z jej ranną młodością. Osobliwie też od czasu, kiedy ojciec ją pobił, stała się bardzo smutną, osowiałą, milczącą, a po jej oczach widział kto nie chciał, że bardzo często płakała.

Stara Marucha była to bąba niegdyś zapewne

budowy potężnej, ale musiała już bardzo być stara, bo była chuda jak szczapa, plecy miała zgarbione, twarz pooraną zmarszczkami i włosy mocno już posiwiałe; tylko z pomiędzy jej ust przybladłych wyglądały zęby zdrowe i całe, a zielone jej oczy świeciły jak ślepie u kota. Pomimo starości, ubierała się schludnie: miała zazwyczaj na głowie czerwonokwiecistą chustkę zawiązaną z turecka i kaftan sukienny, szeroki, ze świecącemi guzami, że wyglądała zgoła jak mieszczka. Najczęściej bywała wesoła i gadatliwa, że się jej nie można było odsłuchać, toż ludzie słuchali jej z ciekawością i byliby nieraz przy jej powieściach, jak ow Buniak przy uczcie, przesłyszeli pianie koguta; ale kiedy nocą wracali do domu, to ich lęk brał po drodze, bo było w niej coś takiego, czego się nie widuje u innych ludzi. Rzeczy te bowiem, które opowiadała, działy się zawsze w krajach takich, jakich żaden człowiek, żyjący na tej ziemi, nie zaznał; nawet pątnicy, wracający z Ziemi Świętej, co tak okrutnie łgali, że im ledwie kto wierzył, takich krajów czarownych i takich duchów straszliwych nie umieli wymyśleć. Czasem zaś mówić wcale nie chciała, jeno zasuwała się w kąt i wpadała w takie zamyślenie, że żaden hałas jej nie mógł obudzić—a kiedy się przebudziła, przyznawała się sama, że rozmawiała z duchami, które ją nawiedziły. Kiedyindziej szła w las i dopiero z północy, a nieraz aż nad ranem wracała, i nikt nie wiedział, czego tam w puszczy szukała. Domyślano się tylko, że zbierała zioła lekarskie, które trzeba rwać po północy, aby były skuteczne, bo była zawołaną lekarką. Jednak leczyła chorych nietylko ziołami, bo czasem chłop przyszedł i skarżył się, że go tłucze zimnica, ona mu tylko w oczy spojrzała i rzekła: — Głupiś! ty nie masz zimnicy, jeno ci się przywidziało, idź sobie; — i chłop poszedł, a zimnica go opuściła. Innym przykładała rękę w to miejsce, gdzie gościec go trapił albo kolka

kłóła — i ból ustępował. Ale wszyscy opowiadali, że jej ręka piekła jak ogień — a byli i tacy, co pokazywali pięć palców jej ręki, wypieczonych na ich ciele, ten i ów był przekonany, że palce te widział, a kto nie widział, ten wierzył i skutek był jednakowy u wszystkich. Ofka zdawała się być mocno przywiązana do tej dziwnej kobiety, ale może tak tylko, jak tonący trzyma się ostatniej deski, która z jego czółna została. To też ten i ów się domyślał, że ta młoda dziewczyna, jak mało która do szczęścia stworzona, pomiędzy takim niedźwiedziowatym ojcem a taką niesamowitą babą nie musi być bardzo szczęśliwą.

Biłowus, wysmarowany olejem po guzach wczorajszych i pierzynami nakryty, przespał noc całą jak kłoda, a kiedy rano się zbudził i po całem ciele obmacał, to spostrzegł, że czuł daleko boleśniej obrazę honoru, niż guzy. Jakoż mocno się nad tem zamyślił i długo nie wychodził ze swej fortecy. Ale myśli jakoś nie szły mu ładem, bo często swoją kudłatą głową potrząsał, ręce zaciskał i mruczał pod nosem:

— Pan, bo pan... a ty sługa: cóż jemu zrobisz? Z nim wszystkie pany trzymają, a za tobą i pies nie zaszczeka. Ej! gdybym ja ciebie gdzie zaszedł we cztery oczy... jeszczebym ja tobie pokazał, że moja chłopska ręka mocniejsza, niżeli twoja, choć pańska. Ale ty zawsze otoczony twoimi drabami. Chybaby strzałę wypuścić na ciebie...

Jednak i to mu jakoś się nie zdawało, bo myślał jeszcze długo i bardzo mozolnie, aż wreszcie rzekł:

— Niech radzi Marucha.

Zaczem spuścił drabinę, zlazł po niej na ziemię i poszedł wolnym krokiem do chaty.

W chacie Marucha siedziała przy oknie, a Ofka za piecem, bo też od niejakiego czasu rzadko się pokazywała przy świetle, obydwie zaś były mocno

zasumowane. Zdaje się, że od rana rozmawiały ze sobą, a kiedy sobie już wszystko powiedziały, zmilkły. Zaczem znów po niejakim namyśle rzekła Marucha:

— Cóż! kiedy niema rady, to niema. Ale i tak nie zginiemy. Trzeba się rzucić do nóg staroście, aby się nad tobą zlitował i obmyślił ci jakie schowanie. Może się tego pan Ramułt podejmie, ja się zakradnę do niego. A jeśli starosta się nie zlituje, to musimy uciekać, bo ten bisnowaty Biłowus nas pozabija. Wymkniemy się nocą, a ja cię przechowam u siebie. Przeczą mi księża mojej zagrody, ale dopóki mój stary żyje, przecie mnie nie wyrzucą.

Na to zaś rzekła Ofka:

— On dobry, on się zlituje.

A wtedy wszedł Biłowus do chaty. Na Ofkę ani spojrzał, jeno stanął jak pień przed Maruchą i mówił chmurno:

— Świaszczennik i czarownice dobrą dali mi radę. Ja świaszczennikowi dębczakiem skórę wymłócę, a za grzech dam dwie woskowe świece do cerkwi. Czarownice z łuku wystrzelam jak borsuki, a w ich jamy ognia nałożę. A ty, Marucho, radź teraz, bo jak nie poradzisz, to was obydwie wytłukę jak gadziny i chałupę po was wykurzę. Ja za twoją radą od dziewki wszystkich swatów poodganiał, któż teraz ją weźmie, kiedy wszyscy już wiedzą, że do niej pan chodził? Chociażbym przysiągł przed carskiemi wrotami, że jest niewinna, kto temu uwierzy? Hańby tej nikt z niej nie zdejmie— a to ty temu winna, Marucho!

A na to powiedziała Marucha:

— Jam niczemu nie winna, ano tyś winien. Czemuż ty jak bocian mieszkasz na dębie, a nie jak ojciec przy córce? Czemuż ty twojej dziewce z dziecka nabił tem głowę, że ją wydasz za jakiego rycerza? Gdybyś ty był siedział w chałupie, a ludzi gościł u siebie jak inni, gdybyś był twoją dziewkę wodził

w gościnę do miasta, do burmistrza, do panów ławników, do kupców, tam szukał zięcia, a nie po zamkach rycerskich, to Ofka byłaby już dawno wydana i nie byłoby tego wszystkiego. A potem co? Pan tu był dwa albo trzy razy wszystkiego i gadał z Ofką przy furcie—a tobie zaraz ludzie łeb przewrócili plotkami. Siedź jeno cicho, ludzie jeszcze jaki czas pogadają, a potem zapomną.

Tak Marucha bardzo rozumnie starała się go uspokoić. I Biłowus zdawał się zrazu nad tem namyślać, jak gdyby się istotnie poczuwał do winy, ale w lot znowu się ocknął i rzekł gwałtownie:

— A ja tobie powiadam, radź, a z radą nie czekaj, bo starosta zawsze w drogę jedzie na wiosnę; a jak wyjedzie, to będziesz go szukać jak wiatru na stepie.

Natenczas zaś Marucha głośnym parsknęła śmiechem i zawołała:

— Jużeś ty, jak widzę, całkiem pozbył rozumu, Biłowus! Potrzeba, aby ci starościńscy żołnierze wsypali jeszcze dwa razy tyle kułaków, abyś choć trochę otrzeźwiał. Czy ty wciąż jeszcze rozumierz, że starosta się z Ofką ożeni?

Zaczem Biłowus znacznie złagodniał i rzekł, przymilając się babie:

— A czary od czego?

Marucha na to machnęła ręką, ale się prędko spostrzegła i dodała:

— Jeszcze czas na to.

Biłowus z tem wyszedł — a Marucha rzekła do Ofki:

— Z tym człowiekiem się nie dogadasz, do tygodnia nas tu nie będzie.

Wilczek, naśmiawszy się wczoraj z Biłowusa do syta, zaprosił sobie kilku swoich pancernych do wieczerzy, kazał wina nanosić, bawił się z nimi wesoło przez cały wieczór, a potem w najlepszej myśli spać się położył. Ale nie przespał całej nocy tak

twardo jak Biłowus. Zrazu zasnął jak zwykle, ale już w jaką godzinę się zbudził, a potem już przez całą noc tylko się z boku na bok przewracał. Widać go jakieś niepokojące myśli trapiły, o których sam tylko wiedział. Jakoż zaledwie pierwszy brzask w okna uderzył, zerwał się z łoża, ubrał się w lot, jak gdyby się pod nim paliło, i zaraz kazał Ramułta wołać do siebie.

— Ramułt — rzecze do niego — namyśliłem się w nocy. Jeszcze dziś w drogę ruszymy, nagotuj wszystko, abyśmy zaraz z południa mogli wyjechać.

Ramułt jak gdyby spadł z nieba, ale wiedząc dobrze, że temu młodemu panu w niczem się nie można sprzeciwiać, zapytał tylko:

— Dokądże wasza miłość wyrusza i na jak długo, bo według tego trzeba poczet zgotować.

— Najprzód pojedziemy do Lwowa—rzekł Wilczek;—tam zabawimy mało niewiele, wedle potrzeby i okoliczności, a ztamtąd ruszymy do Krakowa. Król pono teraz w Poznaniu, ztamtąd ma jechać w Mazowsze, ale nim dojedziemy, będzie z powrotem. Opatrz poczet tak, jakbyśmy mieli zabawić w podróży trzy albo cztery miesiące. Takie też chorążemu daj dyspozycye.

Ramułt się jakoś bardzo zamyślił; widać, że podróż ta wcale mu nie była na rękę, jakoż prawie w roztargnieniu zapytał:

— Ileż ludzi weźmiemy z sobą?

— Sześciu towarzyszów pancernych wraz z tobą, dwóch trębaczy i czterech żołnierzy; jeden wóz, a cztery konie juczne, to dosyć.

Ramułt z tem wyszedł i zaraz całą załogę zamkową pobudził, Wilczek zaś wsiadł na koń i z kilku żołnierzy na folwark pojechał, ażeby wybrać konie do tej podróży.

Odtąd zawrzało na folwarku i w zamku jak w kotle: wyprowadzano konie, czyszczono je, myto

i podkuwano, wynoszono ze zbrojowni broń, zbroje i inne wojenne przybory, z lamusów kulbaki, wojłoki, troki i rozmaite rzemienie; kowale, ślusarze, szewcy nie mogli nastarczyć roboty; zgoła hałas i tartas i wrzawa, jak gdyby przyszła wieść o Tatarach, bo pan surowy i prędki, gotów zabić za zwłokę, a zaraz z południa ma być wszystko gotowe.

Pomiędzy tymi żołnierzami i pachołkami, którzy się w takim pośpiechu po dziedzińcu kręcili, a do których z końmi i rozmaitem wojennem narzędziem wciąż przybywali nowi z folwarku, przechadzał się wolnym krokiem, ale ze swem bystrem okiem, stary chorąży, prawdziwa Opatrzność Boża nad żołnierzami, bo się znał na statku wojennym jak nikt w całym zamku, i gdzie spojrzał, tam niezawodnie mądrą dał radę, a gdzie ręką się dotknął, tam zaraz szła robota jak z płatka.

Chorąży był to najstarszy żołnierz na zamku, ba! może nawet na całej Czerwonej Rusi, bo mu lat ośmdziesiąt liczono, a jeszcze Jagiełłowe czasy pamiętał. Nazywał się Kukuć, niewielki był wzrostem, ale szeroki, a na starość się roztył; czuprynę miał gęstą jak szczotka, twarz rumianą, brodę z wąsami białą jak mleko, oczy błękitne, bystre jak u żbika, a nos ogórkowaty miedzianego koloru, bo lubiał na dno garnca zaglądać. Ale mimo to pamięć miał czerstwą i co kiedykolwiek widział w swem życiu, to doskonale pamiętał. A widział wiele, bo jeszcze za Warneńczyka stanął na służbę jako pacholik u pana Przedbora Koniecpolskiego, naówczas przemyskiego starosty, a w choragwi jego syna pierwsze swe żołdy czynił przeciwko Turkom po Węgrzech. Potem przeniósł się w służbę do dziada dzisiejszego swojego pana na zamek tustański i tak z nim, jak z jego synem daleko więcej bitew odprawił, aniżeli miał włosów na głowie. Był obecnym na koronacyi Kazimierza Jagiellończyka, gdzie książ-

żęta Opawscy, Raciborscy, Cieszyńscy hołd składali królowi polskiemu; w parę lat potem bił Tatarów pod Bełzem i Łuckiem, Krzyżaków pod Friedlandem, i uganiał się za bandami krzyżackich palaczy po Szlązku; później oblegał Wrocław z pospolitem ruszeniem i znów się borykał z Tatary około Zbaraża, aż w końcu, lat temu dopiero dwanaście, nie więcej, niósł swoją chorągiew w Multany, kiedy tamtejszego wojewodę Stefana Turcy ścisnęli, a Polacy z woli króla szli mu na pomoc. Był jeszcze z dzisiejszym, a wówczas królewiczem Olbrachtem na Węgrzech, ale już to była jego wyprawa ostatnia. Toż przez ten czas całą Polskę, ba i wiele krajów postronnych własnemi stopami przemierzył. A przez te lat kilkadziesiąt bywał na sejmach i wszelakiego rodzaju konwokacyach rycerskich, asystował przy uroczystych wjazdach biskupów i książąt, prowadzał jeńców tatarskich, tureckich, węgierskich, szlązkich, krzyżackich, mieszkiwał po miastach, po wsiach, po klasztorach, po fortecach, po zamkach, napatrzył się ludzi najrozmaitszych nacyj postronnych, nasłuchał się ich niemieckich języków, nadziwował się ich obyczajom; szkoda, że pisać nie umiał, bo byłby wszystkich ówczesnych kronikarzy przepisał, którzy jeden za drugim powtarzają powszechnie znane wypadki, a od których ani rusz się dowiedzieć, jak wyglądał świat ówczesny i jak wyglądali ci ludzie, co na nim mieszkali.

Jednakże Kukuć umiał opowiadać. Toż kiedy czasem zasiadł w kordegardzie pomiędzy młodzieżą i jął opowiadać swe czasy, jeno dzban było przed nim pozostawić, to i kury zapiały do jego powieści; jakoż i sam starosta nieraz wieczorem kazał go wołać do siebie i słuchał go z ciekawością, aż póki mu oczu sen nie zakleił. Tak wtedy uczono się dziejów narodu. I była to daleko lepsza nauka, niż owa na akademiach i z książek, bo żywe słowo

takiego nauczyciela, który sam widział to, co opowiada, cale inaczej się chwyta pamięci i idzie prosto do serca. Z niem, jako krew ciepła przelewa się z ojca na syna, przepływają z pokoleń na pokolenia wszystkie myśli przewodnie narodu, które go zrobiły wielkim i sławnym, przepływa jego duch bohaterski, uwielbienie dla cnót pradziadowskich i owa gorąca miłość, nietylko tej ziemi, która rodzi pszenicę, ale tej wzniosłej duchowej ojczyzny, w której, jak w skarbcu, zagospodarowanym starannie i skrzętnie, przechowuje się nieprzerwanemi warstwami cały duchowy majątek wszystkich poprzednich pokoleń. Majątek ten jest jako strumień, płynący wspaniale pomiędzy swemi brzegami—a utrzymać go może w jego korycie tylko żywe słowo, przekazywane w rodzinie z ojca na syna, a z dziada na wnuka. Biada narodom, które ten strumień żywego słowa przerwały; czeka je śmierć, chociaż powolna, lecz nieochybna; wtedy tylko wielki człowiek, który sam stanie za naród, może jeszcze go zbawić — a takich ludzi nie tworzą książki i akademie.

Jakkolwiek Ramułt krzątał się skrzętnie od świtu, a Kukuć do każdej roboty sam rękę przykładał, przecież ubiegło ze cztery godziny z południa, nim cały poczet stanął w pogotowiu w dziedzińcu. Wtedy Wilczek zbiegł szybkim krokiem ze schodów, sam jeszcze każdego jeźdźca i każdego konia obejrzał, zaczem wsiadł na koń; lecz kiedy już siedział na wronym, jeszcze raz się ku żołnierzom pozostającym na zamku obrócił i zapytał:

— Gdzie Kukuć?

A Kukuć, z odkrytą głową, w pakłakowym kubraczku, w pasie skórzanym i ciężkich butach z cholewami powyżej kolan, stał o dwa kroki od niego i rzekł:

— Sługa waszej miłości.

— Słuchaj, Kukuć—powiedział wtedy Wilczek

łaskawie — wyjeżdżam na trzy albo na cztery miesiące i zostawiam tu wszystko na twojej opiece. Patrzajże, aby się żołnierze nie rozpuścili, a codzień musztrowali — a jeśliby który co zbroił, to wiesz, co z nim robić.

A na to Kukuć:

— Jak bywało po wszystkie czasy, kiedym miał w zamku komendę, tak będzie i teraz. Żołnierze nie zapomną niczego, chyba że się jeszcze czego nauczą, jak namiestnika nie będzie.

Tu Kukuć rzucił śmiejącem się okiem na Ramułta, ale Ramułt się nie zachmurzył na niego, bo wiedział, że stary lubiał żartować. Toż i Wilczek się także uśmiechnął i rzekł:

— Ja wiem, że Ramułt psuje żołnierzy, bo nie wie, jak to dawniej bywało. Trzymajże ich w ryzach, jak dawniej. Ale przytem czuj-duch naokoło, bo wiesz, że to wiosna. Lada dzień mogą się zjawić Tatarzy, żeby więc brama była nawciąż zamknięta, a straż dniem i nocą na bramie i na baszcie zamkowej.

— Szkoda mówić, miłościwy paniczu — odpowiedział mu Kukuć — jak się Tatarzy na strzał pokażą, to się ich kagańcami ze śmiegownic poparzy, a kiedyby sobie chcieli zęby połamać na skałach zamkowych, to będziemy się im przypatrywać z galeryi. Damy też znać zawczasu przez folwark do miasta.

— Pamiętajże więc o wszystkiem — dodał jeszcze starosta — a miej też Biłowusa na oku. Dobrzeby też wiedzieć, co on tam będzie gadał swoim żołnierzom w mieście.

— Biłowus, miłościwy paniczu — odpowiedział mu na to chorąży — nie prędko się z tych guzów wyliże, co mu chłopcy wczoraj wsypali. A jak się wyliże, to będzie słuchał jak pies trąby, jak też zawsze bywało. Jeżeliby zaś raz nie posłuchał, to

go wsadzę do turmy, aż do powrotu waszej miłości. A kiedybym dostrzegł, że knuje jakie perfidye zdaleka, to mu strzaskam jego dąb ze śmigownic, a nad żołnierzem w mieście innego komendanta posadzę. Szkoda mówić, paniczu; Kukuć nie potrzebuje rady wojennej, ażeby wiedzieć, jak ma sobie poczynać.

— Bywajże zdrów, a miej nas wszystkich w dobrej pamięci—rzekł Wilczek; odwrócił konia i z całym pocztem wyjechał za bramę.

Poczet ten, chociaż mały, wyglądał wcale wojennie, bo tak pod owe czasy jeżdżono; Wilczek zaś, że to był czasem lekceważony przez sąsiednich starostów, bogatych z rodu i mających intratne starostwa, lubił pokazywać się światu z pewną okazałością. I miał w tem słuszność, albowiem wówczas daleko więcej niżeli w czasach późniejszych, powodowali się ludzie przysłowiem: jak cię widzą, tak cią piszą. Całym światem ówczesnym, chociaż tu i owdzie już się zaczęły pojawiać pierwsze blaski myśli ludzkiej i siły duchowej, rządziła jeszcze przeważnie siła fizyczna. Piękność i okazałość zewnętrzna, potęga muskułów i kości, zręczność w robieniu wszelkiego rodzaju bronią, wytrwałość w trudach i odwaga w bitwach zbiorowych lub pojedynkach, imponowały ludziom ówczesnym, dawały znaczenie i torowały drogę do najwyższych urzędów; toż z tem wszystkiem musiały iść w parze świetność ubioru, wystawność w podróży i w domu, i hojność we wszystkich takich wydatkach, gdzie o to chodziło, ażeby podnieść blask zewnętrzny osoby i rodu. Wilczek wydawał daleko więcej na okazałość, niżeli na to pozwalały jego stałe dochody. Toż i teraz, chociaż w podróży, i sam był w pancerzu i hełmie z piórami, i jego jezdni byli w pancerzach. Lekkie to były pancerze, tylko z naramiennikami, a bez łapek, na których miejscu mieli wszyscy piękne rękawice łosiowe; nie mieli

także nagolenników ani butów żelaznych, tylko spodnie i buty skórzane z wielkiemi ostrogami, jak była moda natenczas. Ale ich pancerze i hełmy lśniły się jak kryształy do słońca — a Wilczek miał swoją Grzymałę na piersiach pancerza i srebrne ostrogi. Broń także lekką mieli przy sobie: miecz krótki u boku w pochwie okutej żelazem i jeszcze krótszy nóż albo sztylet, tak nazywano z francuska *la miséricorde*, bo nim dobijano rannych, którzy skonać nie mogli. Reszta zbroi i broni była na wozie. Żołnierze zaś mieli tylko półpancerze na piersiach, ale natomiast, prócz mieczów, uzbrojeni byli w topory i halabardy, bardzo przydatne na wypadek napaści. Muszkietów jeszcze mało używano natenczas, chyba tylko na wojnie, a nikt ich nie woził z sobą w podróży.

Tak jechał Wilczek na czele swego dworu, a Ramułt jechał tuż obok niego, trzymając się jednak za nim o pół konia. Wilczek był milczący i zamyślony; rad był temu, że z domu wyjechał, ale możeby mu jeszcze lżej było na sercu, gdyby już miał całe swoje starostwo za swemi plecyma, a wieże drohobyckich kościołów obaczył. Ale jechali stępa — a tak po lewej ręce pokazała im się dopiero Biłowusowa zagroda. Minęli dąb, który stał opodal od drogi, i już minęli furtkę zagrody, która stała przy samej drodze, kiedy koń Wilczka przystrzygł uszyma, żachnął się i skoczył cokolwiek na bok. Wilczek rzucił okiem w tę stronę — a wtedy całkiem niespodziewane pokazało mu się widowisko.

Pomiędzy owemi gęstemi krzakami bzów właśnie kwitnących, dzikich róż i powojów, które odgradzały zagrodę od drogi, przy owym krzyżu z Męką Pańską, pomiędzy swemi ramiony, klęczała Ofka, zwrócona twarzą ku jeźdzcom. Była w tej chwili niezmiernie blada, bogate swe włosy miała rozpuszczone i jakby w nieładzie, oczy szeroko

otwarte, lecz pełne łez, które jej strumieniami spływały po twarzy; złożyła ręce przed sobą, jak do modlitwy, i tak patrzała prosto w twarz Wilczka. Był to zapewne ostatni, rozpaczliwy krok tej nieszczęśliwej dziewczyny, ażeby obudzić nad sobą litość w sercu tego młodzieńca, którego pewnie jak drugiego Boga kochała.

Wilczek, przyciągnąwszy cugli koniowi, spojrzał na Ofkę, objął cały ten obraz jednym rzutem oka odrazu i przez jedno oką mgnienie stał w miejscu; ale w ten moment dał koniowi ostrogę i ruszył naprzód krótkim galopem, a jego poczet posunął za nim. Ujechawszy tak kilkanaście kroków, znowu osadził konia i jechał dalej stępa jak pierwiej, nie przemówiwszy do nikogo ani słowa.

Jednak, kiedy ujechali drugich kilkanaście kroków, od zagrody dały się im słyszeć krzyki tak rozgłośne, jak gdyby tam kogo żywcem rzezano, krzyki dwóch kobiet, a przy nich gwałtowne wybuchy głosów męzkich, które były tak przeraźliwe, jak wycie psów albo ryk zranionego niedźwiedzia.

Wilczek może głosów tych nie dosłyszał, ale dosłyszał je Włostek, który był między żołnierzami jadącymi za pocztem, i zaraz spiął konia, a przyskoczywszy do Ramułta, rzekł głosem strwożonym:

— Ten niedźwiedź Biłowus morduje Ofkę! Niech mi pan namiestnik pozwoli, abym skoczył ku jej obronie.

Ale Ramułt był chmurny, jak gdyby jego samego spotkało jakie nieszczęście, i odpowiedział mu groźnie:

— Paszoł! won do szeregu! nie mieszaj się w rzeczy, co nie należą do ciebie.

Włostek ze spuszczoną głową wrócił do szeregu; Wilczek, choć musiał słyszeć, o co Włostek prosił Ramułta, udał, że nie słyszy—i jechali tak dalej w milczeniu.

Nareszcie przyjechali do miasta Tustania, kiedy

się już słońce zniżało. Wilczek, jadąc dotychczas także z głową spuszczoną, wyprostował się, kiedy wjechali w ulicę, i rzekł do Ramułta:

— Trzeba zajechać na rynek i obaczyć, co się dzieje w mieście, a wydać rozkazy.

Miasteczko to było obwarowane wałami i częstokołem, miało ulic kilkanaście dobrze zabudowanych, a rynek dosyć obszerny, otoczony dokoła dostatniemi domami, drewnianemi i murowanemi, pomiędzy któremi znajdowały się także piętrowe z wielkiemi wjezdnemi bramami i krużgankami u pięter. Przy jednej połaci stał ratusz, okazała budowa z podsieniem, chociaż bardzo nieregularna; przed nim stał pręgież, od niepamięci bezużyteczny, bo ludzie żyli tu po bożemu, a występki nigdy się nie zdarzały, ale jako godło sprawiedliwości koniecznie potrzebny. Jakoż na pierwszy rzut oka było widać, że miasteczko to jest przybytkiem pracy i ładu, że jest zamożne, a jego mieszkańcy bogaci, bo wszystkie domy były czysto wybielone albo pomalowane w rozmaite kolory, drzwi do nich opatrzone w zamki żelazne, okna ze szkła, a w nich firanki, wszyscy ludzie ubrani dostatnio.

W tej chwili jeszcze połowa rynku była zawalona wozami bez koni, które nakrywano dziegciem nasyconemi płótnami, na inne zaś ładowano jeszcze towary, które przynoszono ze składów. Zgoła ruch skrzętny, jak gdyby w czasie jarmarku.

Kiedy Wilczek stanął przed ratuszem na czele swojego pocztu, zaraz rozmaici ludzie go otoczyli i nizko mu się kłaniali, bo wszyscy znali swego starostę. I Wilczek znał także z nich wielu, jakoż poznawszy jednego, krzyknął ku niemu:

— Hej! skocz-no prędko i zawołaj mi tu burmistrza.

Chłop skoczył — a Wilczek czekał cierpliwie, rozpatrując się tymczasem ciekawie po rynku. Ale

burmistrz nie prędko się zjawił, bo był właśnie mocno zajęty.

Miasteczko to, jak się już rzekło, magdeburgii za przywilejem królewskim nie miało, ale mimo to rządziło się prawem magdeburskiem z przywileju i w imieniu swojego dziedzica, którym był zawsze każdoczesny starosta tustański. Owocześni panowie dozwalali chętnie swoim miasteczkom na zaprowadzenie magdeburgii, prawo to bowiem, utrzymując porządek, podnosiło zarazem znaczenie miasteczka i przyczyniało się do jego rozwoju i wzrostu; jednakże zawsze, ażeby ztąd nie wyrosły pretensye do niepodległości, zastrzegali sobie prawo mianowania urzędników i sankcyę wszelkich wyroków i rozporządzeń. Miasteczko to miało zatem swego burmistrza, swoich rajców i ławników, ale wszyscy byli mianowani przez Wilczka, a sądy miejskie wydawały wyroki w jego imieniu. Tutejszy burmistrz miał zatem wcale niełatwe zadanie przed sobą, do którego spełnienia potrzeba było nawet bardzo wiele rozumu, bo rządząc miastem musiał nietylko zadość uczynić wszelkim potrzebom jego mieszkańców, ale zarazem dogodzić woli, a nieraz i kaprysom swojego starosty.

Lecz oprócz tego, miał on jeszcze daleko trudniejsze zajęcie. Albowiem miasteczko zajmowało się bardzo skrzętnym przemysłem i prowadziło handel rozległy; wszyscy tutejsi mieszczanie, bez żadnego wyjątku, trudnili się tkactwem, a ich żony i córki hafciarstwem. Wyrabiali oni przedewszystkiem płótna żaglowe, które szły Dniestrem do Kaffy i Carogrodu, dalej płótna konopne i lniane, które przez Lwów rozchodziły się po całym kraju, a wreszcie stołową bieliznę w różne desenie i kwiaty, prawie tak piękną, jak kamchy jedwabne, a bardzo poszukiwaną na całej Rusi. Prócz tego wyrabiali także i sukna, pakłaki i samodziały, za które dobrze płacono na całym Wschodzie, kobiety zaś na mister-

nych warsztatach, z jedwabiów, sprowadzanych ze Wschodu i złotych nici, które przywożono z Wenecyi, tkały dość piękne, kwieciste materye, nie mające wprawdzie odbytu za granicą, ale znajdujące kupców na jarmarkach krajowych. Otóż do tych wyrobów potrzeba było wielkich ilości konopi, lnu, wełny, jedwabiów i innych materyałów surowych — i gdyby każdy mieszczanin był zakupywał te materyały na własną rękę, to byliby się podkupywali wzajemnie z wielką szkodą dla wszystkich: dlatego oddawna taki zaprowadzili pomiędzy sobą porządek, że nikomu nie było wolno kupować surowych towarów dla siebie, tylko burmistrz zakupywał wszelkie zapasy dla wszystkich i wedle potrzeby pomiędzy nich dzielił. Na to potrzeba było magazynów i kasy wspólnej i prowadzenia bardzo drobnostkowych rachunków — a że wtedy mało kto umiał pisać i wszystko trzeba było karbować, więc była to praca bardzo żmudna i wymagająca wielkiej pilności i sumienności. Jednak i wtedy rozumni ludzie umieli sobie radzić na wszystko: ażeby sobie tę pracę ułatwić, wyznaczono na to wielką komnatę w ratuszu, u której stropu wisiało na sznurkach tyle kijów laskowych, ilu było uczestników w tych spólnych rachunkach. Po jednej stronie kija karbowano pieniężną wartość materyałów wydanych na kredyt, pod drugiej sumy na ten dług uiszczone, a u końca kija wisiała kartka, na której było wypisane nazwisko klienta. Taka to była ówczesna książkowość kupiecka, praktykowana w całej Europie przez wiele wieków, a z której się później wywiązała buchalterya podwójna, używana dzisiaj powszechnie. Lecz była ona na swoje czasy dostateczną: jakoż chociaż ludność miasteczka była bardzo mieszana, bo się składała z Rusinów, Tatarów, Wołochów i Ormian, nigdy żadnych sporów nie było, bo każdy miał swój kij jakoby konto osobne, karbowano zawsze tylko w jego obecności, kto był prze-

zorny, ten miał drugi kij z takiemi samemi karbami u siebie, a kto miał jaką wątpliwość, dla tego buchalterya laskowa na ratuszu stała zawsze otworem.

Taką samą wspólność, jak w sprawach kupna, zachowywano także co do sprzedaży. Tylko sprzedaż nie przynosiła ze sobą tak wiele drobnostkowego zachodu, bo stary Kijas, najbogatszy naówczas kupiec we Lwowie, zakupywał wszystkie towary po cenach jednakowych dla wszystkich, które umawiał corocznie z burmistrzem i ławnikami, a nawet miał i kontrakt pisemny z miastem, że nikt nie miał prawa sprzedać komukolwiek innemu ani jednej sztuki towaru, chyba żeby on ją wybrakował. Jego zaś ludzie przyjeżdżali do Tustania tylko dwa razy do roku, o wiośnie i na jesieni, i odbierali towary, płacąc za nie natychmiast gotówką i wysyłając najętemi brykami jedne do Dniestru, a drugie do Lwowa.

Toż i teraz właśnie przyjechał jego włodarz, pan Kundrat, ze skarbnikiem ze Lwowa i zasiadłszy na rynku, odbierał towary i kazał je zaraz przy sobie pakować na bryki. Kundrat siedział za wielkim stołem, a przy nim stał burmistrz ze swym karbownikiem, każdy tkacz rozłożył i przemierzył swój towar na stole, Kundrat w pamięci należytość obliczył, napisał cyfrę tkaczowi kredą na plecach i odsyłał go po pieniądze.

Zaczem tkacz szedł do gospody, gdzie w dziedzińcu znów skarbnik siedział za stołem z worami pieniędzy przed sobą, ten tkaczowi napisaną sumę wypłacił, poczem mu gąbką przejechał po plecach i to był kwit owoczesny.

Przy tej robocie burmistrz musiał w własnej osobie stać nieodstępnie, bo ludzie są ludźmi, a gdzie idzie o grosz, każdyby go rad ująć drugiemu, a przyciągnąć ku sobie; tym trybem przecież się robią wszystkie majątki, że co kto schował do skrzyni

u siebie, to wziął komuś drugiemu. Toż i w tym razie czasem Kundrat jakiego łokcia nie dorachował, to znowu tkacz łokcia nie domierzył; były więc spory, które tylko sam burmistrz mógł swoją powagą rozstrzygać, a rozstrzygał je zawsze i nikt mu się nie przeciwił, bo zacny był człowiek i oprócz powagi, miał zaufanie. Z tego też powodu nie mógł się od tej roboty oderwać i biedz natychmiast na za zawołanie starosty.

Tymczasem Wilczek czekał cierpliwie jednę chwilę i drugą, aż nareszcie się zniecierpliwił, bo już i słońce się schowało za lasy i dzień znacznie poszarzał. Jakoż rzekł do Ramułta:

— Kiego dyabła ci ludzie tam jeszcze siedzą za stołem? Rozumiem dobrze, że poczętej roboty przerwać nie mogą, ale przecież o zmroku nikt nie odbiera towarów. Pchnijno tam jeszcze kogo, ażeby Daszkiewicz tu zaraz się stawił.

Ramułt pchnął zaraz drugiego chłopa w tamtą stronę rynku i jeszcze tak chwilkę czekali, aż wreszcie Ramułt rzekł:

— Owo już idą.

A wtedy widać było, jak burmistrz się z owego ścisku wozów i ludzi wydobył i szedł śpiesznym krokiem ku ratuszowi. Była to postać bardzo poważna: człek wielki wzrostem i stary, ale rzeźwy jak młodzian. Twarz miał rumianą różowego koloru, nos orli, a oko sokole, wąs biały przystrzyżony nad wargą i włosy białe wydobywały mu się z pod czapki. Czapkę miał bardzo wysoką na zawiasach z pięknego siwego baranka (siwe czapki tylko mieszczanie nosili, chłopi musieli przestawać na czarnych), długą opończę sukienną sinawo-błękitną, obłożoną takimże samym barankiem, pod nią krótki żupan słomianego koloru, a na nim pas skórzany na pół łokcia szeroki, hajdawery w butach, a bóty wysokie ze skóry surowcowej tatarskiej. Kolory siwo-niebieski i żółtawo-słomiany były już wtedy ulubione na Rusi.

Podpierając się długą trzciną z gałką złoconą, szedł krokiem tak prędkim, że poły opończy rozwiewały się za nim i czapka mu się na głowie kiwała. Tak zbliżył się do starosty, a kiedy zdjął czapkę, pokazała się jego ogromna łysina, gładka jak dłoń, a także rumiana, która jednak wcale nie ujmowała jego imponującej postaci, owszem, jeszcze mu wiele przyczyniała powagi.

Mąż ten nazywał się Jursza Daszkiewicz, pochodził ze staroruskiej rodziny mieszczańskiej, miał własną wioskę z dworem szlacheckim pod Stryjem, mógł był każdego czasu zająć poczesne miejsce na szarym końcu pomiędzy szlachtą, ale jako człowiek rozumny, wolał być pierwszym pomiędzy mieszczany, gdzie też był najbogatszym, a wójtem, czyli burmistrzem od lat przeszło trzydziestu. Nie przeszkadzało to mu wcale przyjmować szlachtę w swym domu, bo wtedy jeszcze stany się tak nie oddzielały od siebie, jak się to dziać poczęło w wieku następnym: toż okoliczni szlachcice często przyjeżdżali do niego, najedli się, napili, a jeszcze i worka mu uskubnęli na drogę, ale Daszkiewicz, chociaż umiarkowanie, jednak chętnie im pożyczał pieniędzy, bo wiedział, że na wszelkie wypadki dobrze mieć ludzi zbrojnych po swojej stronie.

— Daszkiewicz! — rzecze Wilczek do niego — jużby twój pop był cały parastas odprawił za ten czas, co tu czekam na ciebie. Myślałem, że jeszcze dziś, choćby nocą, do Komarna dociągnę, a przez ciebie przyjdzie mi w Drohobyczy nocować.

— Radbym był skoczyć zaraz na rozkaz waszej miłości — odpowie mu burmistrz — ale trudno mi było tkaczów zostawić samych z panem Kundratem...

— Wiem ja dobrze, — rzekł, przerywając mu Wilczek — że łokieć Kundrata nie zawsze się zgadza z łokciem tkackim i że tylko ty umiesz obydwa wyrównać; ale mnie pilno. Słuchajże Daszkiewicz,

ja jadę w drogę, może i kilka miesięcy zabawię, a chciałbym, żeby się tu tymczasem jakie nieporządki nie wkradły. Kukuć będzie pilnował zamku, a twoja rzecz utrzymać ład w mieście. Trzymajże się za rękę z Kukuciem, w razie potrzeby niechaj ci da do pomocy żołnierzy, a gdyby zaszło co ważnego, pchnij zaraz konnego do Lwowa. A na Biłowusa także miej oko. Kazałem go wczoraj z zamku wyrzucić; żeby się więcej do jakiej pomsty nie porwał. W jego zwyczajnych funkcyach mu nie przeszkadzaj, ale jeżeliby chciał nowych ludzi uzbrajać albo knuł jakie zmowy, rozumiesz?

— Trzeba mi na to tylko rozkazu pana starosty, bo to i tak w ostatnich czasach zanadto mu się dawało wolności — odpowiedział Daszkiewicz — i chciał dalej swe skargi wywodzić, kiedy w tej chwili zbliżył się Kundrat i zdjąwszy z głowy swój biret niemiecki, pokłonił się Wilczkowi bardzo grzecznie, ale z uśmiechem i z pewną poufałością.

Kundrat był to człek koło czterdziestu lat wieku, średniego wzrostu, ale okrągły i dobrze żywiony, twarz miał ogoloną zupełnie, nos długi ciekawy, a oczy zielone, bardzo spokojne, ale wciąż uśmiechnione. Uśmiech igrał także około jego ust smacznych, a wtórowały mu dwa dołki po każdej stronie rumianej twarzy. Na pierwszy rzut oka widać było człowieka, któremu się dobrze powodzi i kontent jest z siebie. Ubrany był zniemiecka, w kaftan krótki z bachastemi rękawy, pludry krótkie, ale szerokie, wełniane pończochy i grube trzewiki; tak siedział przy robocie za stołem, ale idąc na powitanie starosty, zarzucił krótką opończę na siebie z szerokiemi rękawy.

Kundrat był dzieckiem mieszczańskiem ze Lwowa i miał tam kram własny z dziada pradziada; zamłodu wysłano go do Krakowa, gdzie się dobrze wyćwiczył we wszelkich naukach i kunsztach i promowany jest doktorem obojga prawa; miał zamiar

promować się jeszcze na doktora teologii i zostać kapłanem, lecz przyjechawszy na krótki czas dla wytchnienia do Lwowa, poczuł w sobie wokacyę do ojcowskiego rzemiosła, do przemysłu i handlu i zasiadł zaraz sam za swoim kramem. Jednakże wkrótce namówił się ze starym Kijasem i został u niego pierwszym włodarzem, gdzie, zawiadując pod jego mądrym kierunkiem niezliczonemi przedsiębierstwami, mógł spożytkować swoje rozległe i gruntowne nauki, a zarazem daleko znaczniejsze zbierać dochody, niżeli jego ubogi kram mógł mu przynosić, chociaż dlatego wcale go nie porzucił. Kundrat miał dom własny we Lwowie i był notaryuszem lonheryi, więc go ludzie respektowali, a to tem więcej, ile że i worek czuli u niego; ale Wilczek traktował go zlekka i zawsze rad z nim żartował.

— Mości panie doktorze—rzekł teraz do niego—widzę po twojej twarzy, żeś moich tkaczów porządnie ogolił; jeżeliś i mnie także podgolił, to się pobijemy z sobą...

A na to Kundrat:

— Mości panie starosto, w handlu jest, jak na wojnie; kiedy można kogo pobić w otwartem polu, to się go bije w polu, a kiedy nie można, to sztuką kozły tłuką. Na tem świat stoi, tak w rycerstwie, jak i w mieszczaństwie. Ale nasz dom wojuje uczciwie.

— Już to przyznaj się między nami—odpowie mu Wilczek—że twój katechizm nie bardzo czytelnemi literami pisany; boć my to wiemy, że ty, jak czerwony złoty obaczysz, to póty nie śpisz, póki go nie dostaniesz. A potem, jeśli nie w katechizmie, to w jakim statucie znajdziesz na to ekskuzę. Szłoby to wcale inaczej, gdyby cię Kijas na wędzidle nie trzymał.

Więc Kuudrat śmiał się i rzekł:

— Tu w Tustaniu nie trzeba wcale Kijasa,

bo tu pan Daszkiewicz ma jeszeze twardsze wędzidło.

Słysząc to Daszkiewiez, podniósł głowę dumnie do góry, ale rzekł skromnie:

— Na dyabła się tam zda moje wędzidło na takiego czarnoksiężnika. Bo i nie wiedzieć zaprawdę, jak on to robi. Towar mierzy niby rzetelnie i płaci niby rzetelnie, ale jak sobie odjedzie, a ludzie mają czas dobrze się z sobą obliczyć, to i jednego takiego nie znajdzie, coby mu czegoś nie brakowało:

A wtedy Kundrat prędko poderwał i rzekł:

— A tak i miasto upada i ludzie mrą z głodu, a niebawem i burmistrzowi na opończę nie stanie.

Więc wszyscy się śmieli, bo im się wszystkim dobrze działo, a Wilczek dodał:

— Już to żeście się obydwa z Kijasem zawzięli na to miasteczko i wkrótce go puścicie z torbami, o tem na całej Rusi wiadomo. No, a co tam we Lwowie? Jak się ma Kijas, a Tigranes, a pani Formoza?

— Wszyscy zdrowi, jak jagody, tęsknią za panem starostą.

— A pani Pachna? kiedyż wesele? bo Daszkiewicz chciałby się choć raz napić twojej małmazyi, a potańcować u ciebie, ale się jakoś doczekać nie może.

— Jeszcze się o tem nie myśli — rzekł na to Kundrat z uśmiechem — jeszcze u pani Pachny za wysokie progi dla kupca.

— Ba!—rzecze Wilczek — ale tymczasem płacisz podatek nałożony na celibatorów. A to podobno cztery kopy groszy co roku. Powiedz prawdę, Kundrat, jak przyjdzie płacić, dyablo się musisz skrobać po głowie.

Kundrat chciał coś odpowiedzieć, ale wtem łuna uderzyła na niebo i to tak nagle, jak gdyby

kędyś, niedaleko od miasta, cała wieś stanęła odrazu w płomieniach. Rycerze się obrócili w tę stronę, popłoch się rozniósł po całym rynku, a Daszkiewicz się rzucił ku ratuszowi i posłał zaraz halabardnika na dach ratusza, ażeby obaczył, kędy się pali.

Tymczasem rozmawiający zgadywali, gdzieby to było. Jednakże wkrótce halabardnik zawołał wielkim głosem z dachu:

— Biłowusa zagroda się pali!

Na to Wilczek spojrzał niespokojnemi oczami przed siebie i rzekł:

— Nie zdaje mi się, aby to była Biłowusowa zagroda, to kędyś dalej. Ale jedźmy, bo późno.

I zaraz ruszył ku bramie północnej, a jego poczet ruszył za nim.

A wtedy Włostek przyskoczył na koniu, już nie do Ramułta, tylko do samego Wilczka i rzekł głosem głęboko wzruszonym:

— Proszę pana starosty pozwolić mi, ażebym skoczył obaczyć gdzie się to pali, ja pana starostę dogonię.

Wilczek przez oka mgnienie się zastanowił, ale niebawem rzekł:

— Ty ognia nie zgasisz. Ale jedź... a wracaj prędko do Drohobyczy, gdzie będziemy nocować.

Tymczasem tłum wielki ludzi się zgromadził na rynku, a wszyscy patrzyli ciekawie ku południowi, bo już się ciemno zrobiło. Łuna im przyświecała czerwonym płomieniem, a na niebie widać było snopy iskier, które wyskakiwały w górę, a wiatr je unosił ku zachodowi. Daszkiewicz zwołał wszystkich halabardników i kazał miasta pilnować. Niektórzy ludzie wyłazili na wozy, na drzewa i dachy, ażeby pożar lepiej obaczyć. Inni, co śmielsi, chociaż nie mieli sikawek, wybiegli z miasta z hakami, nie tyle, aby ratować, lecz raczej, ażeby się cudze-

mu nieszczęściu nadziwić i tłumem pędzili na miejsce pożaru.

A daleko przed nimi słychać było tętent konia, pędzącego cwałem w tę samą stronę, a ilekroć ziemia przed nim się podnosiła, tyle razy widzieli na tle łuny czerwonej czarny cień jeźdźca, który, naprzód schylony, okładał harapem boki koniowi i znów znikał w nizinach. Był to Włostek. Pędził on na złamanie karku, jak szatan Ofce na ratunek; oczy jego, prócz ognia w oddali, nic nie widziały przed sobą, serce mu biło tak gwałtownie, jak gdyby mu chciało żebra rozeprzeć i pewnie dałby zato resztę swojego życia, gdyby już był na miejscu i widział, że się Ofce nic złego nie stało.

Wszelako Wilczek jechał spokojnie stępa ku Drohobyczy, obok niego Ramułt, a za nimi żołnierze cokolwiek w oddali, ażeby mogli z sobą swobodnie pogwarzyć o Biłowusie i jego zagrodzie. Wilczek, dopiero co taki wesoły, teraz był znów milczący i zasępiony. Jechał tak kilka stajań, nie przemówiwszy ani słowa, aż przecie nareszcie rzekł do Ramułta:

— Jakże rozumiesz, kto tam mógł podpalić Biłowusową zagrodę?

— Męczę się nad tem, jak pies, co wpadł w wodę, a pływać nie umie — odpowie mu Ramułt — ale niczego nie mogę wymyśleć. Bodajby jeno Biłowus sam nie zażegnął swojej chałupy. Nie poszło mu po jego myśli anielskiej, więc się chwycił myśli dyabelskiej.

Na to Wilczek znów umilkł; zdało się, jakoby wcale nie chciał mówić o tej sprawie, która mu była przykrą, może nawet nieznośną, ale na którą nie widział ratunku. Jednakże Ramułt innego był zdania, bo rzekł po chwili:

— Nie moja rzecz dawać rady waszej miłości, ale gdyby tak na mnie, to wolałbym to załagodzić.

Lecz Wilczek, rozumiejąc zapewne, że Ramułt nie wie wszystkiego, parsknął głośno od śmiechu i zawołał:

— — Radźże, jeżeli umiesz. Powstrzymasz ty jabłoń, ażeby nie wydała owocu, kiedy ją lato rozgrzeje? Już kiedy Marucha nie umiała poradzić, to i ty nie poradzisz, chyba, żeś lepszy czarownik, niż ona.

— Na to wcale czarów nie trzeba—rzekł Ramułt. — Naszego czasu zdarzają się takie wypadki po wielkich dworach i po panieńskich klasztorach, a przecie je ludzie jakoś łagodzą. Biłowus człek dziki, z nim niemasz rozmowy, ale kiedyby na to przyszło, to można było Ofkę, albo i jego samego kędy na jakie pół roku wyprawić.

Wilczek, jeżdżący zawsze wielkim gościńcem, a nieznający wcale ubocznych przesmyków i ścieżek, pomyślał nad tem cokolwiek, lecz rzekł:

— Pogadamy o tem we Lwowie.

Tak dojechali już późno w nocy do Drohobyczy i stanęli przed gospodą na rynku, a jeden z żołnierzy zsiadłszy z konia, zaczął kołatać do bramy, aby ją otworzono

A wtedy dał się słyszeć tętent kopyt końskich w ulicy i w małej chwili Włostek stanął przed Wilczkiem, a zeskoczywszy także z kulbaki, kłaniał mu się, ocierając pot z czoła, ale nie mogąc jeszcze ani słowa przemówić.

— Cóżeś tam widział?—zapytał Wilczek.

— Panie starosto—odpowiedział mu Włostek przerywanemi słowami — Biłowus sam spalił swoją chałupę.

— Sam spalił! a to dlaczego?

— Bo, proszę jegomości, napadł na obydwie kobiety pod krzyżem i chciał je mordować, a one schroniły się do chałupy i zatarasowały drzwi, a Marucha czary rzucała na niego przez okna. Więc on strzechę podpalił, ażeby je ztamtąd wykurzyć.

A potem wylazł na swój dąb i patrzył ztamtąd, jak jego budynki gorzały i śmiał się śmiechem końskim, bo rżał właśnie, jak koń. Tak mi opowiadał jego parobek.

— I wykurzył kobiety?—zapytał Wilczek.

— Jużci wykurzył — rzekł Włostek. — Jeno jak się strzecha zapadła, Marucha wzięła Ofkę pod ramię i wśród dymu i iskier wyleciała z nią w powietrze.

— Ot, gadasz — rzekł na to starosta.

— Przysięgam Bogu — zawołał Włostek—że je sam widziałem, jako ulatywały w powietrze. Jak tylko się strzecha z wielkim trzaskiem zapadła i wybuchnęły z niej płomienie, dymy i iskry, właśnie, jak gdyby kto fortecę prochami wysadził w powietrze, wszyscy ludzie zaraz krzyknęli: owo Marucha z Ofką lecą do góry. Ja sam widziałem, jakby na dłoni, jak Marucha Ofkę trzymała pod pachy, a ich spódnice się wydymały, jak kłęby, aż póki w górze nie zniknęły. Wszyscy ludzie Tustańscy na to patrzyli i gotowi są przysiądz, choćby i na ratuszu przed burmistrzem i panami rajcami. I Biłowus to widział ze swego dębu i jeszcze raz zarżał, że rżenie jego rozległo się po lasach, a po wszystkich ludziach mróz poszedł. A wtedy jaki taki się przeżegnał i wrócił do miasta, a ja wróciłem do mojego pana.

Na to Wilczek i Ramułt także się przeżegnali, a tymczasem otworzono bramę i zapalono światła w gospodzie. Więc cały poczet wjechał do gospody. Wilczek położył się spać w komorze, a jego żołnierze jeszcze długo w noc słuchali powieści Włostka w szynkowni. Nazajutrz zaś rano Wilczek wyruszył do Lwowa.

III.

DWAJ RYCERZE.

W tydzień potem, albo mało co więcej, Wilczek, załatwiwszy pomyślnie swoje sprawy we Lwowie, wyjechał o wschodzie słońca z całym swym pocztem z miasta przez bramę Krakowską, którą zwano także *porta Tartarica* i puścił się wielkim gościńcem na Gródek i Wisznię ku zachodowi; ale sam jeszcze nie wiedział, dokąd właściwie zmierza. Celem jego podróży był Kraków, gdzie jako rotmistrz, należąc do królewskiego dworu, po starym zwyczaju musiał pełnić służbę przez parę miesięcy co roku; ale nie było mu pilno, bo wiedział, że króla nie było w Krakowie. Myślał zatem najprzód wstąpić do Koniecpolskich, swoich przyjaciół, a ówczesnych starostów w Przemyślu, gdzieby mu zeszło wesoło jakich parę tygodni, a potem się przebrać przez góry na zamek Sobieński do Kmitów, gdzie strawił swoje lata pacholęce, gdzie go miłowano tak szczerze, a gdzie tak dawno już nie był. Tam mógłby znowu jakiś czas się poweselić przy sercach poczciwych, przy tłustej kuchni i bogatej piwnicy, przy muzyce, tańcach, a turniejach i takby mu zeszedł cały ten czas, aż póki król nie powróci z Mazowsza. Więc jechał wolno, rozpatrując się po okolicy płaskiej i równej, a tak niepodobnej do tych gór, między któremi leżał zamek tustański.

Ale i ten kraj płaski wcale inaczej wyglądał pod owe czasy, niż dzisiaj. Wsie były rzadkie naówczas, dwory nieliczne, a przy nich, daleko porozrzucane od siebie, kmiece zagrody. Dziedzice i tenutaryusze tych rozległych przestrzeni napróżno wystawiali wysokie pale przy drodze, opatrzone w tyle ramion przedziurawionych, ile zagród było we wsi do obsadzenia; dość było kołek zabić w jedno z tych ramion, ażeby otrzymać spory szmat gruntu, często

z chałupą, a zawsze jeszcze wcale nie ciężkiemi obarczony powinnościami. Ale rzadki to był osadnik, który zagrody zapragnął, a i ci nawet, którzy już osiedli, po jednym roku, albo po kilku, zazwyczaj po pierwszym zagonie Tatarów wynosili się w góry, gdzie mieli chudy, ale daleko spokojniejszy kawałek chleba.

Natomiast lasy okrywały nieprzejrzane okiem przestrzenie, lasy częstokroć wcale nietknięte, nabite jak puszcze odwiecznemi dębami, jaworami i olbrzymami drzew szpilkowych, a zaludnione całemi stadami dzikiego zwierza, pomiędzy któremi często było można dosłyszeć donośny ryk żubra i trzask łamiącego przed sobą gałęzie niedźwiedzia. Pomiędzy temi lasami szerokie rozlewały się wody, zwłaszcza w tym kraju, gdzie od Komarna aż po Krakowiec i dalej, nieprzerwane, a gęstemi trzcinami pozarastałe ciągnęły się stawy. Na tych stawach mieszkały nieprzeliczone roje dzikiego ptactwa, które niejednokrotnie tak przeraźliwym krzykiem napełniały powietrze, że przejeżdżający koło nich podróżni nie mogli własnej rozmowy dosłyszeć. Około stawów, często na bardzo dalekie przestrzenie, grzązkie błyszczały moczary, których latem noga ludzka nie mogła przebrodzić—a w nich gnieździły się całe roje potwornych gadów i płazów, których ród dzisiaj zaginął.

Gościniec, wiodący tym krajem od Lwowa ku Przemyślowi, był wprawdzie bardzo szeroki, bo każdy jechał kędy mu było składniej, ale ręka ludzka nigdy go nie dotknęła, strumienie i rzeki wbród trzeba było przebywać, tylko w niektórych miejscach moczarnych walono kłoce drzew jeden przy drugim, ażeby je jakokolwiek wymościć. Na tym gościńcu rzadko też zjawiał się jaki podróżny, chyba chłop albo szlachcic, bo kupcy ze swemi brykami radzi omijali wielkie gościńce, obawiając się spotkania z jakim podróżnym rycerzem, co zwykle

się obyć nie mogło bez jakiegoś wykupu. Rzadki to był człek zbrojny naówczas, który ze spotkania się z kupcem nie skorzystał dla siebie — a broń Boże spotkać się z takim, co jechał zdaleka, nie był tu znanym i tutejszych juryzdykcyj się nie obawiał, bo w takim razie kupiec się musiał pożegnać ze swoim towarem, a jego bryka próżno wracała do domu. Nawet sami rycerze mieli się na baczności w podróży, bo mogli się spotkać z drugim mocniejszym od siebie - a chociaż takiego prawa nie było, to był jeszcze stary obyczaj, że jeśli jeden rycerz zwyciężył drugiego, to nie licząc ran, które mu zadał, zabierał mu prawem zwycięzcy cały jego dobytek. Owóż niejeden rycerz miał tylko to, co wodził ze sobą... a któż mógł być pewnym, że się nie spotka z mocniejszym od siebie? Bardzo piękne to były te wieki rycerskie, pełne uczuć wzniosłych, bohaterskich poświęceń i cudownego uroku, ale dla kieszeni i skóry nie zupełnie bezpieczne.

Jakoż i Wilczek, jeżeli się tak ciekawie rozpatrywał po kraju, to nietylko aby podziwiać wspaniałą i dziką naturę, ale także i z ostrożności, ażeby go jaki zacny kolega znienacka nie napadł. Jednak jechał od rana, popasał w Bartatowie, przy karczmie w Gródku spoczywał jakie trzy godziny, a teraz już się zbliżał do Wiszni i dotąd nikogo nie spotkał, prócz kilku kmieci na furkach i dwie czy trzy kupki wielkopolskich szlachciców, którzy na chudych szkapach przy wózkach bardzo ubogich ciągnęli w Bełzkie, gdzie się chcieli osiedlić. Dopiero o jakie pół mili od Wiszni zdało mu się, że dojrzał przed sobą tłum ludzi konnych, jadących zwolna ku Lwowu.

Dzień był majowy, pogodny, powietrze, choć trochę wilgotne, lecz czyste, wzrok niósł bardzo daleko, jakoż widać było wyraźnie, że był to poczet ludzi konnych i zbrojnych, za którym ciągnęły wozy. Ale było to dziwne widowisko.

Albowiem na czele pocztu szedł wolnym krokiem koń biały, ogromny jak słoń i nadzwyczajnie wyniosły, ale nie było na nim widać rycerza. Wprawdzie około jego łba kiwały się pióra, ale tak nizko, że trudno było przypuścić, aby to były pióra u hełmu rycerza, a zdało się, jakoby raczej łeb koński w pióra był przystrojony. Coś się tam przy kulbace czerniło, ale nie można było rozeznać, czy to były nogi ludzkie, czy też czapraki. Natomiast za nimi widać było dobrze ośmiu albo dziesięciu żołnierzy, w pancerzach i hełmach albo misiurkach, dalej trzy albo cztery powózki, ale także jakieś dziwaczne, bo bardzo wysokie i płótnem nakryte, a w każdej z nich tylko jeden ogromny koń uprzężony, idący w kabłąku i wielkim spiczastym chomącie. Więcej dojrzeć nie było można, bo słońce się już ku zachodowi zniżało i świeciło temu pocztowi w plecy, więc oko blasku wytrzymać nie mogło, a do tego jeszcze promienie, odbijające się od polerowanych pancerzy i hełmów, ale że poczet był w ruchu, jego widok nadzwyczajnie mąciły.

— Jaki to dyabeł być może, co się tak wlecze gościńcem?—zapytał Wilczek Ramułta, który także wzrok wytężył w tę stronę—możesz rozeznać?

— Zda mi się, że baba tam siedzi na tym białym ogierze — rzekł Ramułt — inaczej byłoby widać hełm nad łbem konia, choćby też jak był wyniosły.

A Wilczek na to:

— Dyabli go wiedzą, słońce mi oczy oślepia. Może i baba, ale to chyba która księżna, bo orszak nielada. Jednak co bądź, każno zagrać trębaczom, aby i oni wiedzieli, z kim się tu spotykają.

Na rozkaz Ramułta obaj trębacze zagrali zaraz hasło królewskie, które grać było wolno tylko rotmistrzom, należącym do dworu króla. Jednak zaledwie trębacze hasło odegrali, w zbliżającym się

poczcie odezwały się także dwie trąby i odegrały odzew królewski.

— Baba, konwojona przez wojsko królewskie?— zawołał Wilczek - cóżto być może? Ramułt! sprawno żołnierzy, bo mi to rzecz podejrzana.

Ramult sprawił żołnierzy, miecze do ręki, obuchy z pod kolan, a tymczasem obydwa poczty już się zbliżyły o kilkanaście kroków ku sobie. Tamci także błysnęli mieczami. Wilczek wytężył wzrok i wszystko tak znalazł, jak widział zdaleka, tylko baby nie było, a na koniu siedział rycerz w lekkim pancerzu i hełmie z bogatemi piórami, jeno miał tułów tak krótki, że wszystkiemi swemi piórami ledwie uszu końskich dosięgał. Wilczek się przeginał na prawo i na lewo, ażeby twarz jego obaczyć, ale dopiero kiedy się ich konie zrównały ze sobą, zawołał z głośnym śmiechem:

— Kergolaj! niechże cię wszyscy dyabli wezmą! prędzejbym się śmierci spodziewał, niżeli ciebie widzieć na Rusi. Cóż ty tu robisz?

A tamten wołał spokojniej:

— Wilczek! Wilczek! Otóż mi spotkanie! Myślałem zawadzić o ciebie, ale mi powiedziano, że do twego zamku nawet nie dojechać na koniu.

Tak więc się zaraz zbliżyli do siebie, kolano do kolana, podali sobie ręce raz, drugi i trzeci i zaczęli ze sobą gawędzić, a ich żołnierze stali opodal z respektem, jaki się od nich ich panom należał.

Rycerz, co siedział na białym koniu, miał rzeczywiście tułów tak krótki, że zdawał się prawie garbatym, bo też i nogi miał cokolwiek przydługie; może nawet był kiedyś garbatym zamłodu, ale przez usilne gimnastyczne ćwiczenia ułomność ta znikła, a zostały z niej tylko piersi bardzo wypukłe, barki szerokie i silne i głowa cokolwiek wgnieciona pomiędzy ramiona. Był to zresztą człek wcale przystojny, twarz miał białą i gładką, nos długi, ale fo-

remny, oczy piwne, spokojne, wesołe, ale bardzo ciekawe, wąs ciemny obfity i włosy czarne, bogate, spadające w pięknych kędziorach na szyję. Miał wtedy lat może już blizko czterdziestu, lecz widać było po nim, że pielęgnował starannie swe zdrowie i dbał o swą powierzchowność. Nazywał się Jean Felix Bâtard de Kergolay, pochodził z jednej z najznakomitszych rodzin francuskich, nosił jej herb z dewizą: *Ayde toy Kergolay et Dieu t'aydera* i był właściwie z pochodzenia Francuzem, ale że się rodził z matki Polki, więc naturalnie stał się Polakiem.

Urodzenie Kergolaja (tak bowiem powszechnie nazywano go w Polsce) było cokolwiek zachmurzone rozmaitemi powieściami, które już wtenczas nie bardzo były jasne, a których dziś już wcale niepodobna rozwikłać. Żona Mikołaja Kmity, pana na Wiśniczu, Dubiecku i Sobniu, który zmarł kasztelanem lwowskim, zdaje się z domu Lanckorońska z Brzezia, powiwszy swemu mężowi czterech synów i owdowiawszy, weszła w ponowne śluby z panem de Kergolay, kawalerem francuskim, który się był zabłąkał na dwór Kazimierza Jagiellonów i w jego wojsku wodził chorągwie. Z nim miała syna, któremu dano na imię Jean Felix, ale ponieważ, jak powiadano, przy tym ślubie nie było wody święconej, więc rodzina jego ojca odmówiła mu prawa noszenia jej miana, a dopiero król francuski Ludwik XI powrócił mu ojcowskie nazwisko, jednak z nieubliżającym zresztą podówczas przydatkiem Bâtard. Być może wszakże, że i woda święcona była przy ślubie, tylko zazdrośni krewni uknuli przeciwko niemu kabałę, ażeby go pozbawić majątku, albowiem Kmitowie, jego bracia przyrodni, nie zaparli się go wcale; owszem za wolą matki dali mu wieś Niewistkę, a nawet pomagali mu pieniędzmi. Czytamy bowiem jeszcze dziś w aktach grodzkich sanockich, jako *generosus Johannes Kmytha nobili Felici alias Johanni fratri suo de Niewijastka quinquagin-*

ta marcas... debet. Jakoż zawsze go uważali za brata i po bratersku się z nim obchodzili.

Matka, jak się to dzieje zazwyczaj z dziećmi upośledzonemi, kochała go więcej, aniżeli innych swych synów i wychowywała go zrazu przy sobie na Wiśniczu, gdzie się dobrze nauczył po polsku; dopiero później dla dalszych nauk wyjechała z nim do Francyi, gdzie znowu swój język polski trochę skaleczył, ale mówił nim wybornie i tylko niektóre głoski wymawiał z francuska. Po śmierci matki dostał się na dwór książąt Sabaudzkich, którzy podówczas utrzymywali u siebie prawie najwyborniejszą szkołę rycerską i gdzie właśnie pod owe czasy najsławniejszy rycerz francuski, *le gentil seigneur de Bayard*, *le bon chevalier sans peur et sans reproche*, czynił pierwsze swe służby. Później się dostał na dwór króla Karola VIII, ostatniego ze starszej linii Walezych—a odznaczywszy się w wielu bitwach odwagą, męztwem i wszelkiemi innemi kawalerskiemi przymiotami, już bardzo młodo pasowany jest na rycerza i otrzymuje złote ostrogi.

Śród tego czasu, ile razy we Francyi wojny nie było, zawsze przybywał do Polski i bawił na dworze królewskim, gdzie mianowany jest raz na zawsze rotmistrzem króla, chociaż nie miał własnej chorągwi. Tam poznał się z Wilczkiem i bardzo się z nim zaprzyjaźnił. W ostatnich latach służył znów w wojsku Karola VIII. Przed dwoma laty przeszedł z nim Alpy, wszedł w grudniu do Rzymu, a przeszłego roku był między zdobywcami całego neapolitańskiego królestwa. Wkrótce potem zjawił się nagle na dworze królewskim w Krakowie; powiadano o nim, jakoby miał misyę od króla Karola VIII, aby namówił króla Olbrachta do wspólnej wojny przeciwko Turkom. Bawił wtedy także czas mały w Niewistce i na zamku sobieńskim, lecz znowu zniknął. Teraz znów się pojawił i ciągnie na Ruś; bardzo to Wilczka zdziwiło i radby był

wiedzieć coprędzej, dokąd Pan Bóg tego kawalera prowadzi i po co.

— Powiedz-że, Kergolaj — rzecze do niego Wilczek zaraz po przywitaniu — zkądże ty jedziesz i dokąd, bom bardzo tego ciekawy?

Kergolaj miał głos bardzo dziwny, prawie jak klarnet, chociaż tego instrumentu jeszcze wtedy nie znano i obejmował nim wszystkie trzy oktawy, a że do tego miał oczy śmiejące, więc nigdy nie można było wiedzieć, czy mówi prawdę, czy też drwi sobie z poczciwego człowieka.

— Ja jadę daleko—odpowie mu Kergolaj. — Znudziło mi się we Włoszech, a zatęskniło do Polski; ale i w Polsce cicho, jak mak siał i niema co robić. Byłem w zimie u króla, przyjął mnie łaskawie, ale chorągwi mi nie dał, obiecując ją dać, kiedyby wojna wybuchła. Byłem w Niewistce, ale znalazłem skrzynie puste; ledwie, że kilka koni mi wychowano, które mi się przydały. Byłem u Kmity na Sobniu, tamem się trochę rozerwał, ale tam przyszły mi różne myśli do głowy, które chcę teraz wykonać.

— Skarżysz się — rzecze mu Wilczek — a bez racyi, bo w rzeczy chyba tylko na to skarżyć się możesz, że ci się zanadto dobrze powodzi. Nie rozumiem, jak taki *Cavaliere di gran Grido*, jak ty, mógł się nudzić we Włoszech, zwłaszcza, żeście tam zwyciężyli. Toż-to tam podwiki musiały cię nosić na rękach, chyba żeś co u której przeskrobał. Król w tobie się kocha, wiem o tem pewnie i chorągwi ci nie zaprzeczy, jak będzie wojna. Niewistka nieszpetna to wieś, zwłaszcza, że podobno należy do niej kilka folwarków nad Sanem. A jeśli ci czasem grzywien potrzeba, to Kmita pewnie ci ich nie odmówi.

— Ba! — zaśmiał się Kergolaj—kiedy *generosus* Kmita zawsze *marcas debet*.

— A więc ty tymczasem — rzekł Wilczek, żar-

tując — wybrałeś się na Ruś, może Pan Bóg da szczęście. Ale tutaj gościńce puste...

A Kergolaj śmiał się i mówił:

— Masz racyą. Zdechłby tu z głodu, ktoby się musiał żywić na gościńcach. Ale ja o tem nie myślę. We Francyi-to dawno wyszło z mody, jeno jeszcze w Niemczech rycerze łuszczą kupców po drogach. Ja zresztą nigdy nie dotknąłbym chrześcian, tylko jeżeliby mi Zyd jaki zaplątał się między nogi, tobym mu nie darował, bo u Zyda zawsze się jakokolwiek obłowisz, a i Matka Najświętsza ci to wynagrodzi.

A na to Wilczek:

— Nie wiele tu Żydów w tym kraju. Jest ich kupa we Lwowie, ale jabym ci i tam nie radził ich łuszczyć, bo najprzód Zydzi to oko w głowie u tamtejszego starosty, on sam ich łuszczy i nie pozwala, aby mu kto lazł w jego kapustę; a potem są tam dwa sądy, miejski i starościński, które się wiecznie swarzą pomiędzy sobą, więc jak kogo pochwycą, to jeden drze go za łeb, a drugi za nogi, aż póki go nie rozedrą.

To mówiąc, Wilczek rzucił okiem na jego szyję i lewe ramię i tam swój wzrok zatrzymał na chwilę. A było na czem, bo Kergolaj miał łańcuch żelazny obwinięty około szyi, a jego koniec przykuty do naramiennika na lewem ramieniu, zaś przy tym końcu był przyczepiony kłąb wstążek niebieskich i białych, ułożony w kokardę, a końce tych wstążek powiewały w powietrzu.

— Ej! — spostrzegłszy tę kokardę, zawoła Wilczek — to te wstążki gdzieś ciebie prowadzą! Jużeś pewnie stanął u jakiej damy na służbę i jedziesz gdzieś w świat, aby jakiegoś ślubu dopełnić.

Kergolaj uśmiechnął się na to z zadowoleniem i rzekł z dobrego serca:

— Tobie powiem, jako przyjacielowi. Zasta-

łem u Kmity jego siostrzenicę, pannę Jagienkę, co się chowała u panien Klarysek na Starym Sączu, a teraz ją pani Kmicina wzięła do siebie na zamek i u niej służbę przyjąłem. Słuchaj Wilczek, znasz ty się także na kobietach, ale pozwalam tobie łeb mi rozszczypać toporem, jeżeli mi powiesz, żeś widział piękniejszą.

— Jakato jest Jagienka? — zapytał Wilczek, szukając w swojej pamięci — przecie ja lata strawiłem na zamku sobieńskim, a nigdy o niej nic nie słyszałem.

— Nie powiadano ci o niej — zaśpiewał swoim klarynetowym tonem Kergolaj — bo znając gorącą krew Wilczków tustańskich, pewnie się obawiano, ażebyś jej zaraz nie porwał.

— Ale któż ona jest?

Córka Michała Kmity, stryjecznego sobieńskich, który jest zabit na Węgrzech. Chowała się, jak ci powiadam, w klasztorze, a teraz ją wzięli na zamek, bo idą na nią wielkie majątki na Szląsku i w Węgrzech i chcieliby ją dać za mąż wedle jej stanu.

— O Michale Kmicie, co go zwano węgierskim i był zabit na Węgrzech, nieraz słyszałem, alem nie wiedział, że córkę zostawił. A więc tyś u niej stanął na służbę i jedziesz...

— Jadę do Ziemi Świętej, bom jej obiecał przywieźć różę z Jerycho, a i Kmicie przyrzekłem, że mu przywiozę cierń z korony Chrystusa Pana, aby już raz odpokutował tych chłopów, co ich pozabijał.

A na to Wilczek całkiem poważnie:

— Różę w Jerycho dostaniesz, bo ten kwiat bujno się krzewi po tamtych krajach, ale o cierń z korony Chrystusa Pana, to już chyba będziesz się musiał bić z tymi, co go mają, bo go nie znajdziesz na drodze.

— A co mi tam na tem, że trochę Żydów natłukę!

— Ba! — rzecze Wilczek bardzo rozumnie — kiedybo to nie Żydy chowają te ciernie, jeno jeżeli jaki odpytasz, to chyba u chrześcijan.

— Więc się bić będę z chrześcijany.

— Jaka to szkoda - rzekł Wilczek zamyślając się nad nad tą ważną sprawą — że ja jestem przykuty i do mego starostwa i do służby królewskiej, właśnie jak pies na podwójnym łańcuchu, inaczej zarazbym się z tobą namówił i obrócił dyszel na Jeruzalem. Jam wprawdzie chłopów nie zabijał, ale i u mnie znajdą się grzechy, więc dobrzeby było uderzyć czołem o grób Zbawiciela — a oprócz tego, radbym też i ja widzieć te święte kraje, które Chrystus Pan deptał swojemi stopami, o których tyle pięknych rzeczy mi powiadano, gdzie tylu chrześcijańskich rycerzy swoją krew przelewało — a tylko ja tam nie byłem...

Tu Wilczek głęboko się zamyślił, widać było, że jego bujna wyobraźnia zaczęła grać w jego głowie i przedstawiać mu czarujące obrazy.

Kergolaj patrzał przez chwilę na niego, a potem powiedział:

— To nawróć.

Ba! — rzecze Wilczek głosem prawie żałośnym—kiedy mi się nie składa. Jestem podwójnym urzędnikiem królewskim, rotmistrzem u jego dworu i starostą na zamku tustańskim i bez jego pozwolenia w tak daleką podróż mi się jechać nie godzi.

— To słuchaj — powie mu Kergolaj — to nawróć ze mną przynajmniej do Lwowa, bo ja i tam mam wypełnić jednę prośbę Jagienki, przyczem mógłbyś mi być bardzo pomocnym. Byłem u Koniecpolskich w Przemyślu, chcąc ich się poradzić, ale tam tak mnie poili przez cały tydzień, że się dopiero w Medyce wytrzeźwiłem, gdziem wczoraj

nocował. Więc i trudno mi było z nimi się rozmówić...

— Cóż to za prośba?

A wtedy Kergolaj taką mu rzecz opowiedział:

— Wiesz o tem zapewne, że Michał Kmita węgierski miał siostrę, która wyszła za Muryssona, szlachcica herbu Mora, co był wojskim trębowelskim, a na czas nawet podobno starostą. Murysson miał około Trębowli rozległe majątki w ziemi podolskiej, a do tego jedyną dzieweczkę, którą nazywano Formoza. Otóż kilka lat temu, albo może i więcej, Tatarzy napadli na dwór Muryssona, jego samego, jego żonę i wszystkich jego ludzi wymordowali, a tylko dzieweczka uciekła i zabłąkała się na stepie. Na to nadjechał pewien lwowski Ormianin, dzieweczkę znalazł, zabrał z sobą, podchował u siebie i dotąd ją trzyma w swoim haremie. A potem i dobra jej zabrał, przepisał w ziemstwie na siebie i także je trzyma. Formoza jest siostrą cioteczną Jagienki, więc Jagienka się nad nią szczerze lituje; widziałem ją nieraz, jak nad jej losem rzewnemi zalewała się łzami, więc to mnie wzruszyło i przysiągłem jej, że tego Ormianina odszukam i wezmę w moje objęcia, a jeżeli się nie upokorzy, to go na kiełbasę posiekam, a Formozę odbiorę razem z jej majątkami.

Wilczek bardzo się kręcił na kulbace, słuchając tej powieści, a kiedy wysłuchał, pogodną twarz swoją nie dla żartu nasrożył, ale zapytał spokojnie i prawie szyderczo:

— Któż to cię naszpikował takiemi bajkami?

— Jak to bajkami? — zawołał Kergolaj, któremu ten wyraz wcale się nie podobał — przecie o tem wiedzą wszyscy Kmitowie, a Jagienka nawet listy odbiera od Formozy.

— To Kmitowie są głupi — rzekł Wilczek surowo—a twoja Jagienka czytać nie umie, bo w tem wszystkiem niemasz krzty prawdy. Formoza Mu-

ryssonówna po tatarskim zagonie została znaleziona na stepie, to prawda, ale poszła zamąż za Ormianina, bardzo zacnego człowieka, sam byłem na ślubie.

— Piękny to musiał być ślub obyczajem ormiańskim, albo też bisurmańskim! — zawołał Kergolaj jadowicie—nie wiem, coś tam mógł robić na takim ślubie, gdzie chyba tylko rzezańców biorą na świadków.

— Dajże pokój! — zawołał na to Wilczek, a twarz mu się zaczerwieniła i oczy już błyskać zaczęły iskrami — daj pokój, bo ja takich rzeczy nie znoszę! Wiedz zasie o tem, że to rzecz nie rycerska czernić uczciwą kobietę... a choćbym był nawet rzezańcem, to jeszczebym łeb temu rozpłatał, który to robi. Zresztą — krzyknął Wilczek, zapalając się coraz więcej swemi własnemi słowami — zresztą i o tem wiedz także, że jeżeliś po to się wybrał, to nie pojedziesz do Lwowa!

— Ja nie pojadę do Lwowa? zawołał Kergolaj, biorąc się obydwiema rękami pod boki—może ty mi zabronisz!?

— Zabronię! — wrzasnął Wilczek, pieniąc się już od złości -ja tobie zabronię! i zaraz cię tu na gościńcu położę!

Poczem z głębi piersi odetchnął, a zmarszczywszy czoło jak Jowisz, rzekł surowo:

— Na koniu, czy pieszo?

— Jak wola—rzekł Kergolaj, rzucając piorunowym wzrokiem na niego i chwytając prawą ręką za rękojeść swojego miecza.

— To pieszo — odpowiedział mu Wilczek — bo szkoda tego białego ogiera, chciałbym go też bez szwanku odziedziczyć po tobie.

I zaraz obydwa zeskoczyli z koni, jak gdyby się pod nimi paliło,. a Wilczek krzyknął ku swoim ludziom:

— Hej! Ramułt! odmierzno pole na bitwę pie-

szą, a prędko, bo słońce zachodzi, a pilno mi widzieć, jak wyglądają jelita tego francuskiego pamfila!...

Jednocześnie zaś Kergolaj wołał także do swoich ludzi, ale wołał po francusku, że trudno go było zrozumieć, można się tylko było domyśleć, że jednemu z nich, pewno swemu namiestnikowi, każe mierzyć grunt razem z Ramułtem.

A kiedy obydwa namiestnicy deptali ziemię około gościńca, aby wynaleźć grunt gładki a twardy, zaś dwaj żołnierze wzięli konie swych panów za cugle, aby je odprowadzić na stronę, obydwa rycerze skakali, jak jaszczurki do siebe, łechcąc się wzajem tą i ową grzecznością.

— Ty weźmiesz mojego białego ogiera? — wołał Kergolaj—pierwej ja tobie łeb rozpłatam, a kiedy cię kruki będą pożerać, wezmę twojego srokacza, chociaż nie wart trzech groszy.

— Ty pojedziesz do Lwowa?—odpowiadał mu Wilczek — aby tam na poczciwych ludzi napadać i bezcześcić kobiety? Śmiać mi się chce z takiego zbawcy sierot szlacheckich! Otóż wiedz o tem, że Formozy dotknąć ci nie dam i jeszcze ci wezmę Jagienkę!

To mówiąc Wilczek, zapyrzony i czerwony, jak indyk, z ustami drgającemi, jak w febrze, z oczyma gorejącemi, jak dwie świece jarzące, uderzył ręką po mieczu i już go do połowy wyciągnął; tego zaś Kergolaj już wcale nie mógł wytrzymać i jako to miał krew gorącą francuską, chociaż nieraz umiał wybornie nad nią panować, w tej chwili się uniósł, jak kot od Wilczka odskoczył, cały miecz z pochwy wyciągnął i stanął w rycerskiej paradzie. Jeszcze jedno oka mgnienie, jeszcze jedno słowo dotkliwe, jeszcze jeden ruch z którejbądź strony, a jużby byli uderzyli na siebie gdzie stali, nie czekając wcale, aż póki im ich namiestnicy po rycersku gruntu nie wymierzą.

Ale w tej właśnie chwili odezwał się dzwonek gdzieś z głębi lasów na prawo. Dzwonek doniosły, przeciągły, drgający w powietrzu jak arfa anielska, dzwonek wołający pobożnych ludzi na Anioł Pański.

W tym dzwonku wieczornym, odzywającym się tonem żałośnym śród wiejskiej ciszy i skłaniającej się do snu dzienną pracą zmęczonej natury, jest coś czarującego, jest moc jakaś nadziemska, przenikająca serce człowieka do głębi i pochylająca jego głowę w pokorę: zdaje się, jakoby z jego żałośnemi tonami Anioł Pański szedł ziemią w swojej własnej osobie i mówił do całej przyrody: Dzień Boży się skończył, idźcie w spokoju do domu. Tylko w Polsce dzwonek na Anioł Pański ma taką władzę anielską nad ludźmi; zgadzają się na to wszyscy podróżni i jeszcze żaden z nich nie oparł się temu wrażeniu.

Na odgłos dzwonka obydwa rycerze uklękli i zaczęli mówić *Ave Maria* według zwyczaju—a wtedy już wszyscy ich żołnierze także klęczeli i odmawiali pacierze, nawet i obydwa namiestnicy uklękli na gruncie, który do bitwy obrali, zdjęli swe hełmy i ręce do modlitwy złożyli. A ktoby był miał wzrok przeszywający lasy, trzciny rosnące na stawach i sady otaczające zagrody, ten byłby widział, że jak daleko głos dzwonka dochodził, wszędzie w tej chwili klęczał z odkrytą głową lud Boży i z pokorą w sercu za własne grzechy, a z przebaczeniem win swoim bliźnim, gorące do nieba posyłał modlitwy.

Kergolaj pierwszy, jakoto Francuzi krótko się modlą, wstał z kolan i unikając wzroku swego przeciwnika, spojrzał na klęczących żołnierzy. A wtedy jego twarz się uspokoiła, chwilę jeszcze nie wiedział co mówić, lecz kiedy Wilczek wstał także z klęczek, rzekł do niego spokojnie:

— Niedobra to pora do bitwy.

A Wilczek na to:

— To dajmy pokój na teraz. Bóg nie chce.

Tak jeszcze przez oka mgnienie stali w milczeniu, zaczem Francuz rzecze:

— Gdzieś tu musi być jakiś kościół w tych lasach.

— Nie kościół — odpowie mu Wilczek—jeno franciszkański klasztorek, a teraz to także kmitowska siedziba.

— Tych Kmitów gdzie nie posiejesz, to zejdą – rzecze Kergolaj – a gdzie się potkniesz, to potrącisz o Kmitę. Jeżeli i dalej tak rodzić się będą jak dotąd, to niebawem w całej Polsce, co jaki szlachcic znaczniejszy, to będzie Kmita, a jeśli jaki inny się między nimi zabłąka, to będzie pewnie Tarnowski. Jakiżto Kmita siedzi w tych lasach?

Wilczek, ile że twardszy od Francuza, jeszcze się całkiem nie wypogodził. Żal mu było zapewne, że mu się taka wyborna sposobność do bitwy zdarzyła, z kawalerem tak zacnym i tak dobrze okrytym, i właśnie dzwonek zadzwonił. Mówił więc jeszcze cokolwiek cierpko:

— Nibyto wiesz wszystko, a przecie są rzeczy, o których ci trzeba powiadać. ów Michał Kmita węgierski, którego dziewka Jagienka ten łańcuch z wstążkami ci przyczepiła do lewego ramienia, a jak widzę i łeb przewróciła z kretesem, miał starszego brata, co się urodził z Tenczyńskiej. Jan Chryzostom mu było na imię i był to rycerz znany po wszystkim świecie swojego czasu, bijał się bowiem z wielką chwałą dla swego oręża we Francyi, w Hiszpanii, we Włoszech, a nawet po rozmaitych ziemiach murzyńskich; był wtedy także w Ziemi Świętej, i tak jak ty, nosił na sobie wstążki jakiejś damy, u której przyjął był służbę na całe życie. Ale u damy mu się nie powiodło, bo jej nie dostał; aż kiedy już był zmęczony wojnami

i ową służbą, miał Boże natchnienie, ażeby wojnie i miłości dał pokój, a raczej się służbie Bożej poświęcił. Natenczas pancerz i miecz rzucił o ziemię, odprawił jeszcze raz pielgrzymkę do grobu Chrystusa Pana, ale tym razem już nie konno i zbrojno dla bitwy, tylko pieszo dla pokory i dla pokuty, powróciwszy zaś, wstąpił do zakonu Franciszkanów w Rzymie, u nich teologii wysłuchał i przyjął święcenie kapłańskie. Zaczem tu wrócił, osiadł w tej puszczy i tutaj zbudował sobie klasztorek.

— Dawno to być musiało—rzecze Kergolaj—bom nic o nim nie słyszał. A ta puszcza, kmitowskaż to własność? coby mnie wcale nie dziwiło, bo Stanisław, jak zacznie prawić o swoich majątkach, to utrzymuje, że i na księżycu ma posiadłości.

A Wilczek na to:

— Nie, ta puszcza nie należy do Kmitów. Dawnemi czasy była to królewszczyzna, aż dopiero Władysław Jagiełło, hojny pan na klasztory, nadał ją Franciszkanom. Franciszkanie nie umieli z niej nic zrobić, jakoż przez lat kilkadziesiąt leżała odłogiem, a kto chciał, budował sobie w niej zagrodę, płacąc Franciszkanom czynsz ladajaki. Dlatego Chryzostom ją łatwo otrzymał i tutaj się pobudował. I ten z niej coś zrobi, chociaż Panu Bogu oddany i sam żyje o chlebie i wodzie, nie zapomina przecież o dobrach doczesnych; jakoż za tą puszczą, co ją tu widzisz, a nad stawami, co za nią się ciągną, znaczne już pobudował folwarki, a osadnicy ciągną do niego jak muchy na lep, bo znajdują tu ziemię tłustą za życia i zbawienie duszy po śmierci.

— Och! nie byłby Kmitą, gdyby nie umiał pomnażać majątku—zawołał Kergolaj śmiejąc się głośno. Zaraz zaś dodał: — Jedźmy chyba do niego, bo i tak trzeba kędyś nocować.

Na to Wilczek rozejrzał się po niebie i zie-

mi, a widząc, że się już dobrze zmierzchało, rzekł głosem niepewnym:

— Jużci gdzieś trzeba nocować, do Wiszni jeszcze daleko, a do klasztoru ledwie jedno stajanie. Ale ladajaki tam będziemy mieć nocleg, o chlebie i wodzie; jeśli nam dadzą tapczany, to i te będziemy musieli sobie wyprosić, a ludzie nasi będą musieli koczować pod gołem niebem A nadto jeszcze nie wiem, czy się duchów nie boisz, bo Chryzostom mieszka z duchami.

Więc Kergolaj się zastanowił, a potem rzekł:

— Prawdę mówiąc, ja duchów nie lubię. Już mi się nieraz zdarzyło spotkać z nimi i zawsze mi to wyszło na szkodę. Niedawno temu, położyłem się spać w starem zamczysku Girgenti-Bela, i tam mnie koło północy takie straszliwe duchy opadły, żem ledwie żyw uciekł w koszuli. Trzebaż było jeszcze, żem nie znał tego zamczyska, któregom we dnie nigdy nie widział, więc uciekając wśród ciemnej nocy, choć oko wykol, spadłem z muru w głęboką fosę, w której rosły same pokrzywy i głogi; i takem się tam poparzył i pokłół, jak gdyby mnie kat wziął na tortury. Szczęściem, żem się przecież jakiegoś kamienia domacał, na którym też resztę nocy przesiedziałem do rana. A co rzecz najdziwniejsza, to, że moi ludzie spali obok mnie w sali rycerskiej i żaden z nich duchów nie widział, ale też i to prawda, że spali jak kamień, i chociaż na nich krzyczałem, jak gdyby mnie kto rzezał po gardle, żadnego z nich nie mogłem obudzić. Rozumiem tedy, że ich duchy uśpiły, ażeby mnie samego mogły męczyć spokojnie. Jakieżto duchy są, co z Chryzostomem mieszkają?

Ale Wilczek się śmiał i mówił:

— A wiesz ty, jakieto duchy cię tam męczyły? Oto pewnie znalazłeś w piwnicach tego zamczyska jaki antałek *lacrymae Christi* i nalałeś go sobie w gardło po same dziurki, a wtedy duchy ei

się pokazały. Toż widzi mi się, że i ów zamek zwie się raczej Girgenti, gdzie i ja byłem, a dopiero po tobie nazwano go Bela, kiedyś się w nim spił jak Bela i upadł w pokrzywy.

— Jużci prawda — odpowie mu Kergolaj—że się tam dobre wina znalazły w piwnicy, ale i moi ludzie pili co szyja wstrzymała, a przecież żaden z nich duchów nie poczuł na sobie.

— Bo twoi ludzie spali na marmurach, a ty, jako cię znam, pewnieś wlazł w bety, więc wino w tobie się zapaliło.

— Może i tak. Ale żem duchy widział, a nawet i czuł, jako mi siadały na piersiach i za łeb mnie brały, na to zaraz przysięgnę. Chyba, że w duchy nie wierzysz?

— Widziałem i ja te nieboże stworzenia, a nawet i u mnie niektóre mieszkają na zamku, ale mi nigdy nie czynią nic złego. Gadają ze mną przystojnie, czasem o co mnie proszą, a nieraz dobrą dadzą mi radę, ale kiedy im powiem, aby mnie zostawiły w spokoju, to zaraz znikają.

Kergolaj patrzył na niego z wielką uwagą, a potem rzekł:

— Słysz Wilczek, może ty masz komitywę z duchami? Toż zdaje mi się, że Pan Bóg okazał łaskę swoją nademną, kazawszy w samą porę na Anioł Pański zadzwonić, inaczej byłbyś mnie pewnie tu na gościńcu położył, bo mnie z tobą aniby na myśl było nie przyszło, kazać ci się odprzysiądz, że twój miecz nie jest zaczarowany.

Ale tu trudno było rozpoznać, ażali Francuz mówi ze szczerego serca, czy też sobie dworuje, jakoż Wilczek spojrzał na niego zukosa, ale zaraz mu odpowiedział:

— Ot, co tam, ja się nigdy nie każę odprzysięgać nikomu, bo tak sobie mówię: jeżeli ja jego zmacam mym mieczem, to choćby miał dyabła przy sobie, przecie go przetnę na dwoje.

— Masz racyę — rzecze mu Francuz — każdy rycerz ma swoje cięcie albo swój sztych, który chowa dla siebie i nawet go duchom nie powie. Ale cóż! jedziemy do klasztoru, czy nie?

— A duchy? — zapytał Wilczek.

— Więc jakież to duchy tam mieszkają?

— Alboż ja wiem? — Tego nikt ci nie powie, bo tu nawet nie wiedzieć, azali sam Chryzostom dawno nie zginął, jak mi to powiadano, a jeno duch jego tu pokutuje. Zawsze to pewna, że go ludzie w najrozmaitszych postaciach widują. Kiedy mszę prawi, to światło bije od niego; kiedy każe z ambony, to rzuca błyskawicami, że ludzie jakby piorunem rażeni, na ziemię padają — a kiedy kogo spowiada, to go bierze jak gdyby w rozpalone obcęgi i póty ciśnie i piecze, aż póki wszystkich grzechów zeń nie wydusi. Czasami zaś, w dnie pogodne, kiedy spoczywa, to rośnie w olbrzyma i głowę swoją wystawia ponad najwyższe drzewa i rozgląda się naokoło po kraju i patrzy, gdzie który człek grzeszy; już tu niejeden podróżny widział jego głowę sterczącą ponad lasami. Ten i ów jej nie dostrzeże odrazu, ale jak jeden obaczy, to zaraz wszyscy ją widzą.

Kergolaj może tak bardzo duchów się nie bał, jak sam powiadał, chociaż pod owe czasy wszyscy duchów się bali, bo też je widywali; ale teraz pomimo woli przysunął się do Wilczka i spojrzał w górę ponad lasy.

Nieopodal koło gościńca po prawej ręce zaczynała się puszcza. Był to las gęsty prawie jak mur, u spodu nieprzebranemi chaszczami podszyty, a z tej gęstwiny wydobywały się olbrzymie drzewa, dęby, sosny, jawory i buki, także gęsto ze sobą splecione—zaś między niemi noc czarna jak węgiel. Niebo było pogodne, ale prawie bez gwiazd, natomiast zaś na północnym wschodzie przesuwały się gęste chmury, większe i mniejsze, czarne we środku,

jaśniejsze po brzegach, z pomiędzy których od czasu do czasu wypływał księżyc sierpem na niebo i białawe, lecz martwe światło rzucał na lasy i pola. W dali, w tej samej stronie, kędyś około Gródka, błyszczały szerokie płaty wody stojącej, a wysokiemi trzcinami zasianej; w źwierciadłach tych wód księżyc chwilowo swe blade światło odbijał, które niebawem znikało — ą wtedy szum się dawał słyszeć w tej stronie i przejmujący chłód ztamtąd zawiewał. Zresztą cisza była w powietrzu, ale właśnie ta cisza budziła w duszy pewien niepokój.

Niewielki wzrostem Kergolaj tak się do słuszniejszego od niego Wilczka przybliżył, że się prawie oparł ramieniem o niego, a przytem wytężonym wzrokiem wciąż patrzył na najwyższy wierzch lasów.

— Widzisz co? — rzecze Wilczek.

— Zdaje mi się — odpowie Francuz — że się jakaś głowa z pomiędzy wierzchołków lasu wychyla.

— I ja coś widzę — rzekł Wilczek i obydwa jeszcze mocniej swój wzrok wytężyli.

A wtedy już wszyscy żołnierze, wyrozumiawszy łatwo, że ich panowie się pogodzili i bić się nie będą, zgromadzili się za ich plecyma i także na lasy patrzyli. Nawet woźnice pozłazili z wozów i wsunąwszy się między żołnierzy, także się zagapili w tę stronę. Ten i ów, równie jak Kergolaj, dojrzał coś nad lasami, a parobek, którego Kergolaj najął w Medyce za przewodnika, opowiadał im szeptem o różnych cudach, jakie się dzieją w tej puszczy.

— Cóż widzisz teraz?—zapytał znów Wilczek.

— Okrutny łeb kudłaty wychyla się z lasu ponad wierzchołki drzew — odpowiedział mu Kergolaj tajemniczym głosem — już i brody widać cokolwiek. Patrzy prosto na nas i gębę rozdziawia. Gdybym miał łuk przy sobie, zarazbym go dziobnął strzałą w sam nos, ciekawym, coby na to powiedział.

— Otóż to rzecz!—powiedział Wilczek roztrop-

nie, biorąc go lekko za rękę — nigdy z takiemi widziadłami bić się nie trzeba, bo strzała idzie przez nie jak przez powietrze, a choć ich nic boli, przecie się za to mszczą na człowieku. Kiedy zaś grzecznie się z niemi obchodzisz, to i one są grzeczne, jeszcze ci czasem pomogą.

— Patrz! — rzecze Kergolaj — już całą brodę mu widać, białą jak mleko, a kłaczystą jak wełna, już pomału wyłażą ramiona...

A kiedy tak z drżeniem serca i w uroczystem milczeniu patrzą na ducha wykluwającego się z lasu—nagle zaszumiał ruch między żołnierzami za ich plecyma, wszyscy się między konie i wozy rozbiegli i słychać było głosy: Bij, łapaj! hej! na koń! w pogoń za nimi!

Kergolaj i Wilczek skoczyli zaraz na środek gościńca pomiędzy konie i fury: — A co to? — Ale w pierwszej chwili nie mogli się niczego dopytać, bo popłoch był między tym ludem, ten biegał tam i sam pieszo, inny konia dosiadał, a ci i owi biegli do wozów. Tylko Ramułt stał po lewej stronie gościńca na koniu i krzyczał wielkim głosem w pole: — Bierz! łapaj! tam, na prawo! héj! tu, między krzakami!

Po lewej stronie gościńca szerokie rozlegało się pole, tu i ówdzie zasiane nizkiemi kosmykami łoziny, pomiędzy któremi jednak woda błyszczała miejscami. Po tem polu przelatywały ku lasom jakieś czarne postacie, zwierzęta, czy ludzie, czy duchy trudno było rozeznać, widać tylko było, iż wszystkie uciekały do lasu. Za niemi w pogoń puściło się kilku żołnierzy na koniach, ale były to grunta moczarne, więc najprzód pod jednym, a potem pod drugim koń się związał i dał sobą o ziemię, a nareszcie i trzeci i czwarty tak samo się z koniem przewrócił. Kiedy zaś żołnierze wraz z końmi mozolnie wydobywali się z błota, owe zwierzęta, czy ludzie, znając zapewne wszystkie przesmyki i ścieżki

na tym moczarze, przebiegły jak cienie całe to pole i zniknęły w lasach.

— Ramułt! — zawołał Wilczek — co tam za dyabeł was napadł, żeście się tak popłoszyli?

— Ot co!—rzecze Ramułt, gniewny na swoich żołnierzy — kiedyśmy się zapatrzyli na tego ducha, co z lasu wyłazi, Cyganie się zakradli pomiędzy wozy, zdarli płótno z jednego wozu tego pana Francuza, i cały wóz mu złupili. I jeszcze to szelmostwo drapnęło z łupem właśnie przez te moczary, że i nie można ich zgonić.

Więc Kergolaj, kiedy się o tem dowiedział, okrutnie się zgniewał, zaraz skoczył do swoich wozów, wołając po drodze:

— Zaraz zetnę tego szelmę żołnierza, co powinien był tego wozu pilnować. Gdzie on jest? który to wóz?

Tak przybiegli do tego wozu, który im zaraz wskazano. Był to właśnie wóz z wiktuałami; dopiero co był napełniony najprzedniejszemi winami, wyborową wędliną i rozmaitemi innemi specyałami, a teraz stał wypatroszony jak zając, z którego właśnie psom dano odprawę.

Na ten fatalny widok, który każdego owoczesnego rycerza musiał jakby kleszczami chwycić za serce, Kergolaj mało się nie wściekł ze złości i rzucił się jak tygrys ku żołnierzowi, co stał właśnie przy wozie. Kergolaj już miecz z pochwy wyciągnął, aby go ściąć własnoręcznie, coby było jego rozjątrzonemu sercu znaczną ulgę przyniosło; ale żołnierz trzymał za kark cyganiątko, które dopiero co z pod wozu wyciągnął. Chłopczysko to było lat kilkunastu, ledwie napół łachmanami okryte, o ciemnobronzowych rysach twarzy egipskich, trzęsło się ze strachu jakby go tłukła zimnica, ale zdaje się, że mimo to, przytomności nie straciło, bo miało oczy czarne szeroko otwarte i niemi z pode łba na wszystkie strony rzucało.

— Ot złodziej! — zawołał żołnierz, zasłaniając się niem przed swoim panem—to ten płótno zerwał z wozu, zwinął je w trąbę i jeszcze chciał z niem uciekać.

— A! szelmo! — zawołał Kergolaj — małmazyi wam się zachciało i moich konfektów? Zetnij go zaraz.

Żołnierz przerzucił Cygana w lewą rękę, a prawą sięgnął po miecz; ale Cygan, jak tylko ten wyrok Kergolaja usłyszał, zwinął się jak wąż i żołnierza w rękę ukąsił. Żołnierz krzyknął jak gdyby go kto był żarem posypał i puścił — a Cygan skoczył na bok jak kot i uciekł w moczary. Przez chwilę widać było, jak jego cień to się przesuwał jak błyskawica, to znikał między łozami, ale nikt się za nim w pogoń nie puścił, bo już wiedziano, że koń tych moczarów nie uchwyci kopytem — a zresztą, kto mógł wiedzieć, co tam siedziało w tym Cyganie.

Więc Kergolaj, bardzo niekontent, spojrzał na Wilczka i rzekł:

— Piękny to kraj, ta wasza Ruś! niema co mówić. Z jednej strony rycerz zastępuje ci drogę i nie pozwala jechać choćby nawet do Ziemi Świętej, z drugiej olbrzymie duchy się nad tobą wieszają, co nawet takich w całej Europie nie widać, a z tyłu cię łuszczą Cyganie. A nawet i nie wiedzieć, jaki to gatunek Cyganów się chowa pomiędzy wami, co w jednem mgnieniu oka i pośród tylu żołnierzy cały wóz złupili, tyle towaru unieśli i zniknęli właśnie jak mara.

Tedy Wilczek się śmiał i mówił:

— Kiedy się chcesz zabawić na Rusi, to masz o tem wiedzieć, że to nie Francya, nie Włochy, jeno wszystko inaczej. Niedość tu na tych Cyganach i duchach, ale i człek tutejszy jest kuty a bity, i kiedy nie umiesz go zażyć, to i uszu twoich ztąd nie wyniesiesz, jako to widzisz, bo jeszcześ ledwie

próg Rusi przestąpił, a już ci dyabli wzięli twoją małmazyą z wszystkiemi konfekty.

Wszakże i Kergolaj, człek lekki a cudzych krajów bardzo ciekawy, był dobrej myśli i rzekł:

— Małmazyi mi żal, bo takiej drugiej nie prędko dostanę. I konfektów mi żal, bo sama Jagienka pakowała je w pudła. Ale kraj mi się podoba, bo inny niż drugie, i przecie tu człek się może trochę rozerwać. W Przemyślu tak piją, żem nawet katedralnej wieży nie widział, chociażem cały tydzień tam bawił. W Medyce mi konia ukradli, niechże im będzie na zdrowie! Chciałem im zato wieś spalić, ale się wyprosili i przysięgli, że jak powrócę, to mi konia oddadzą. Tu mnie złupili Cyganie, niechże i im będzie na zdrowie. Zato znalazłem jeszcze jednego Kmitę, może się to na co przyda. Bo jeżeli się jakiej sukcesyi dopytam u niego, to mnie swemi duchami od niej nie odstraszy. Jedźmyż do niego, ale pierwej obaczmy, czy jeszcze łeb z lasu wystawia.

Więc szli obydwa na to samo miejsce, gdzie przedtem stali, ale teraz nic nie widzieli.

Szli wszakże, ażeby inne cuda obaczyć, bo szukanie rzeczy nadprzyrodzonych, chociażby z narażeniem zdrowia i życia, było nieugaszoną namiętnością wszelakich ludzi ówczesnych, a niejako rzemiosłem i powołaniem owoczesnego rycerstwa.

— Chryzostom już pewnie spać się położył— rzecze Kergolaj do Wilczka - kiedy jego głowy nie widać nad lasem. Śpieszmy się, bo inaczej się nie dopukamy do niego. Ale jakże? czy wsiądziemy na konie, czy pójdziemy do apostoła *per pedes apostolorum?*

— Jest tu dosyć wygodna dróżyna odpowiemu Wilczek - którą można jechać konno i wozem, ale że ciemno w tej puszczy jak w kominie, więc trzebaby zapalić łuczywa.

Więc zapalono łuczywa, które podówczas za-

wsze ze sobą wożono; dwóch żołnierzy szło pieszo przed nimi i oświecalo im drogę, rycerze zaś na koniach jechali za nimi, ze swymi żołnierzami i wozami.

Tak w puszczę wjechali. Jednak nie długo jechali puszczą, albowiem niebawem pokazał im się staw po prawej ręce, który tutaj jeszcze był wązki, tylko gęsto zarośnięty szuwarem i wysokiemi trzcinami, zaś po jego prawym brzegu widać było las przerzedzony. W tym lesie stały ogromne, lecz rzadkie drzewa, a za niemi rozlegały się golizny okryte chaszczami i dalsze lasy za niemi. Rycerze jechali po lewym brzegu i widzieli przed sobą staw coraz bardziej rozszerzający swe brzegi, a w dali jego wody łączyły się z widnokręgiem jak morze. Na widok zapalonego łuczywa i na odgłos prychających koni i chrzęstu zbroi dzikie ptactwo zrywało się z pomiędzy trzcin i z przeraźliwym wrzaskiem ulatywało w powietrze, a szum jego skrzydeł roznosił się nad ich głowami. Czasem kruk zerwał się z drzewa i przeleciał nad nimi, krakając przeraźliwie, jak gdyby żer wietrzył. Gdzieindziej puszczyk, czy sowa, trzepocząc skrzydłami na drzewie, śmiały się śmiechem dyabelskim. A kiedy księżyc wychylił się z chmur, to jego światło płynęło jak fala wzdłuż stawu, poczem tonęło w puszczy — a wtedy płomień łuczywa zdawał się jeszcze czerwieńszym i przedstawiał cały ten ostęp jakby w blasku piekielnym. Nieprzyjemna była to podróż, a chwilami przerażająca. Ale Kergolaj był dobrej myśli, jak zawsze, i mówił do swego towarzysza:

— Trzeba być istnym waryatem, ażeby klasztor zakładać w takiej dzikiej pustyni. Nie wiem nawet, kogo on tutaj spowiada i komu każe, chyba, że dzikim gęsiom i krukom.

Na to zaś Wilczek, który był smutny i coraz więcej się zamyślał:

— A przecież bywa tu wielki tłum ludu

w niedziele i święta, nawet i w dnie powszednie ojciec Chryzostom rzadko bywa bez gości, bo jedni przychodzą po radę do niego, drudzy na pokutę, a ten i ów z jaką chorobą. Masz bowiem wiedzieć, że on leczy wszystkie choroby, zamawiając je czasem modlitwą, albo też przykładając chorcmu rękę w miejsce bolące—a tak czy tak, chorobę zawsze wyleczy.

— Chwała Bogu, żem zdrów—odpowiada mu Kergolaj – bo nie chciałbym tutaj chorować, choćby pod jego opieką.

— On leczy także i takich, co ich dyabeł opętał, poznaje drugich, co są opętani, a sami o tem nie wiedzą, a jeśli kto ma taki frasunek, że już sam nie wie, co ma począć ze sobą, to i takiemu poradzi.

— Niechżeby mi poradził, żebym dostał Jagienkę—rzecze Kergolaj na to—tobym się zobowiązał odmówić sto tysięcy pacierzy i jeszczebym mu co darował na klasztor.

— Powiedz mu, może ci poradzi.

Zaczem Kergolaj się trochę zamyślił, a potem zawołał:

— Słysz Wilczek! bywają dziwne zrządzenia Boże. Może Pan Bóg w swej łasce dla mnie umyślnie tak zrządził, żem ciebie spotkał właśnie obok tego klasztoru. Może mnie ojciec Chryzostom poradzi....

— I ja także rad temu — odpowie mu jego towarzysz, po chwili zaś dodał z głębokiem westchnieniem i jakby sam mówił do siebie:—Głupstwo to wielkie, bo też i każdemu kawalerowi się zdarza... ale mi przecież ciężko na sercu.

Zdaje się, że w tej chwili Ofka przyszła mu na myśl, z której się otrząsł z rycerską energią, ale której los przyszły przecież niepokoił jego sumienie.

A wtedy już przed nimi się otworzyła niewielka polana, a na niej dojrzeli kościół i klasztor. Ale bardzo to biedne były te Bogu poświęcone domostwa. Kościołek był zbudowany z kloców nieociosanych i ladajako ze sobą spojonych, nad nim dach z dranic, a przy nim tak samo zbudowana dzwonnica, na której jednak sterczał krzyż pozłacany. Ten krzyż błyszczał promiennie we dnie i w nocy na tle czarnych lasów i sprawiał przejmujące wrażenie; przenosząc swojemi ramiony najwyższe drzewa, był jako owa gwiazda biblijna, co prowadziła trzech króli do kolebki Chrystusa Pana. Do samego kościołka przypierał z boku tak samo ubogi, chociaż dosyć obszerny budynek, a to był klasztor. Dalej, o jakie sto kroków, było widać jeszcze jakieś zabudowania, zapewne folwark, ale może tylko sad i pasiekę, bo zagrodę tę otaczały olbrzymie płoty, z jodłowych gałęzi splecione, przez które nie można było przejrzeć do środka, zwłaszcza śród nocy.

Kiedy płomienie łuczywa uderzyły w wązkie a długie okna klasztoru, wybiegł przeciwko tym niespodziewanym podróżnym braciszek, ubrany w siermięgę krojem habitu uszytą — a poznawszy Wilczka, oddał mu pokłon głęboki, jaki się tak wielkiemu panu od ubogiego zakonnika należał. Wilczek go spytał o przełożonego, a kiedy braciszek mu odpowiedział, że ojciec Chryzostom jest jeszcze na pacierzach w kościele, obydwa rycerze zsiedli z koni i szli ku wrotom kościoła. Ale ojciec Chryzostom właśnie skończył pacierze i stał już na progu kościoła, patrząc na nich okiem badawczem, ale z uśmiechem na twarzy.

Ksiądz Chryzostom, światowem niegdyś nazwiskiem zwany Knita węgierski, był to człowiek lat sześćdziesięciu kilku, wysoki wzrostem, niezmiernie kościsty, ale zarazem niezmiernie chudy, co widać było po jego franciszkańskim habicie, który na nim

wisiał jak worek, nie mogąc znaleźć nigdzie oparcia. Głowę miał całkiem łysą, na niej dwie szramy głębokie, z których jedna prawie całe czoło przecinała, twarz bardzo chudą ze sterczącemi kościami, nos krótki, oczy czarne i duże, całkiem kmitowskie, a do tego siwą brodę, spływającą na piersi. Trzymał się prosto i prawie sztywnie jak żołnierz; wąs przycięty równo z wierzchnią wargą przy siwej brodzie i tej sztywnej postaci dawał mu pozór pewnej surowości, ale głowa w tej chwili naprzód pochylona i uprzejmy uśmiech na twarzy, łagodziły to wrażenie i obudzały sympatyę dla jego poważnej osoby.

Obydwa rycerze, a za nimi i ich wszyscy żołnierze, choć ci ostatni siedzieli jeszcze na koniach, zdjęli hełmy i pokłonili przed nim swe głowy; on zaś, przypatrzywszy się im bliżej swojem okiem szeroko otwartem, rzekł do nich łagodnie:

— Wilczek, tak zbrojno w nocy? cóż cię do mnie sprowadza? czy nie wypłoszyli was z gościńca Tatarzy?

— Nie—rzecze Wilczek — samiśmy się przepłoszyli nawzajem, a pogodziwszy się, szukamy spokojnego noclegu u waszej wielebności, a na czas i błogosławieństwa na dalszą drogę.

A na to Chryzostom:

— Któż jest ten grzeczny kawaler, co ci drogę zastąpił, a którego mi przyprowadzasz?

Wilczek powiedział.

— Jan Feliks Kergolaj—rzekł wtedy Chryzostom—przyrodni brat Kmitów sobieńskich, jak niegdy słyszałem, *eques auratus*, a podobno i żołnierz waleczny i sławny.

A to rzekłszy, zaraz do Kergolaja coś z francuska przemówił.

Kergolaj stał dotąd z głową nizko schyloną, jak gdyby pod jakiemś głębokiem wrażeniem, dopiero dźwięk jego mowy ojczystej go ośmielił, że

głowę podniósł i śmiało Chryzostomowi odpowiedział raz, drugi i trzeci. Poczem spostrzegłszy, że Wilczek stoi jak na niemieckiem kazaniu, rzekł do nich obydwóch po polsku:

— Chodźcież, przyjmę was wedle mojej możności. Ja wprawdzie żyję chlebem, jarzyną i mlekiem, ale mój kanafarz ma piwo i mięso dla gości. Wasi ludzie mogą się położyć obozem, a wam dam celę na nocleg.

To mówiąc, dał im znak, aby szli przed nim do drzwi klasztoru, ale obydwa rycerze, jako ludzie pobożni i mający się za zbrojnych kapłanów tego samego kościoła, na żaden sposób nie chcieli iść przed nim. Więc ojciec Chryzostom po kilku wzajemnych ukłonach poszedł naprzód, a oni za nim. A w tej krótkiej chwili Kergolaj, jako to Francuzi zawsze są gadatliwi, trącił Wilczka swoim łokciem pancernym i rzekł półgłosem:

— Ale to wcale nie ta głowa, którą dopiero co wyścibił był z lasu.

A Wilczek na to:

— Bo on się umie przerzucać i zawsze taką postać przybiera, jakiej mu właśnie potrzeba.

Kergolaj rzucił na Wilczka wzrokiem, w którym przedewszystkiem przebijała ciekawość, nie musiał jednak być bez pewnej obawy, bo mruknął pod nosem:

— Nie wiem, azali to jest rzecz katolicka... Wolałbym tu nie nocować.

I z tem weszli do celi ojca Chryzostoma.

Była to izba dosyć obszerna, o dwóch wązkich oknach kształtem gotyckim, ściany jej nie były ani wybielone ani wytynkowane, ledwie że gliną wylepione. W jednym kącie stał tapczam drewniany bez siennika, a tylko kocem nakryty, pod oknem stół prosty, na którym krucyfiks i duża książka w drewnianych kompaturkach na żelazne klamry zamknięta, około stołu cztery stołki, pod ścianą

ława, a nad nią kilka półek i to było całe umeblowanie. Wszelako na drugiej ścianie wisiał hełm, pancerz z całym przyborem, jeden miecz długi, wężykowaty, a drugi krótki, topór, rotmistrzowska buława, a około niej kulbaka i inne rzemienie. Kergolaj najprzód rzucił okiem na te wojenne narzędzia i przypatrywał im się ciekawie, o ile je mógł obejrzeć przy świetle dymiącego kagańca, który zastali na stole. Chryzostom spojrzał na Kergolaja i rzekł:

— To mój nagrobek, który mi przypomina, czem byłem za życia.

Zaczem prosił ich siedzieć i sam siadł i spytał Francuza, co go zawiodło w te strony. Kergolaj mu powiedział. Wtedy mnich się łaskawie uśmiechnął i rzekł

— Jedziesz do Ziemi Świętej, abyś się umył z twych grzechów, a tymczasem ludzi napadasz po drogach.

Więc Kergolaj się protestował, koloryzując rzecz, bo nie chciał winy zwalać na Wilczka. Ale Chryzostom przerwał mu, mówiąc:

— Mnie nie okłamiesz. Widziałem was, ja koście miecze wyciągnęli ku sobie. Wtedy kazałem na Anioł Pański zadzwonić, aby was rozbroić.

Tu Kergolaj bardzo zdziwionem okiem rzucił na Wilczka, a tymczasem mnich mówił dalej:

— Usłuchaliście dzwonka, to dobrze, ale obydwaście winni, godziłaby się zato pokuta.

Na to słowo: pokuta, Kergolaj się skręcił jak wąż na swojem siedzeniu, a chcąc rozmowę odwrócić do innego przedmiotu, zapytał:

— Wasza wielebność już dawno w tym klasztorze? Kraj zdaje mi się tutaj dosyć dziki, a ta posiadłość niewiele musi przynosić intraty?

Więc Chryzostom się na to znowu uśmiechnął i rzekł:

— Franciszkanie nie żyją z intraty, tylko z jał-

mużny. Albowiem kiedy stanowiono zakony, dostały się lasy Eremitom, góry Benedyktynom, doliny Cystersom, pola i łąki Norbertanom, św. Franciszek zaś przyszedł, kiedy już wszystko było rozdane, więc kazano mu żebrać. My zatem żyjemy z jałmużny, a nabywanie dóbr doczesnych zostawiamy duchowieństwu świeckiemu i tym zakonom, którym wolno ziemię posiadać. Ale życzymy im z serca, ażeby z czasem wszystkie ziemie posiedli, bo wtedy dopiero nastąpiłoby królestwo Boże na ziemi, którego wszyscy z takiem upragnieniem oczekujemy.

Na to Kergolaj cofnął się w tył na swojem krześle, bo zapewne sobie pomyślał, że niebardzoby pragnął żyć w tem królestwie, co też bystry mnich zaraz spostrzegł, bo rzekł:

— Ja ciebie nie znam, ale cię widzę nawskroś. Ty jesteś rycerzem świeckim, nie takim, jakimi myśmy niegdyś bywali, cośmy książętom i królom, lecz przedewszystkiem Kościołowi służyli. Ty służysz swojemu ciału. Ty jesteś *un valereux et courtois chevalier, mais grand trompeur des dames*". Umiesz ty po niemiecku?

— Rozumiem.

— „*Ein Kuss vom rothen Munde,*
Der freut aus Herzensgrunde,
Dazu ein Umberlang,
Von zwei schönen Armen blank",

oto jest, za czem ty gonisz po świecie. Widzę ja to po tym łańcuchu, co go nosisz na szyi i po tych wstążkach, co ci je jakaś dziewka przyczepiła do lewego ramienia. Ty gubisz duszę. Tobie potrzeba pokuty.

Kergolaj zrazu się wdzięcznie uśmiechał, bo mu te podejrzenia schlebiały, lecz widząc, że mnich się bierze nie żartem do niego, zaczął się przed

nim usprawiedliwiać. Więc opowiedział mu, jako przez całe życie służy wiernie królom i Kościołowi i nigdy nie pamięta o sobie, jako zawsze klasztory, zakony i ludzie ubogie swojemi piersiami zasłania, jako dziś jedzie do Ziemi Świętej li z nabożeństwa i z gorącego pragnienia krwi pogańskiej, której jaknajwięcej chciałby utoczyć dla chwały Chrystusa Pana, że chociaż wreszcie to prawda, iż przyjął służbę u panny Jagienki i obiecał jej przywieźć różę z Jerycho, ależ to przecie rzecz ludzka i pozwolona, ażeby rycerz przyjął służbę u jakiej damy zacnego rodu, a dosłużywszy się jej łaski, wszedł z nią w śluby małżeńskie.

Ale Chryzostomowi jakoś to wszystko nie przemawiało do przekonania, bo wysłuchawszy go machnął ręką i rzekł:

— *Vanitas vanitatum et omnia sunt vana!* Byłem i ja niegdyś takim głupim, żem przyjął służbę u pewnej damy. Siedem lat służyłem, nosząc wciąż jej kolory; biłem się po wszystkich ziemiach całego świata za jej honor i sławę — a kiedym się jej łaski nie mógł dosłużyć, na drugie siedem lat stanąłem u niej na służbę. Bardzo grzeszne było to moje życie natenczas. I musiałem być wtedy przeklęty od Boga, bo przez wszystkie te lata żaden święty mi się nie zjawił, natomiast zaś dyabeł mnie nawiedzał w nocy, kopał mnie kopytami, targał za brodę i bił mnie po pyskach, jak swego sługę, a nawet raz się tak rozzuchwalił, że się zamachnął, aby mnie nawrócić na wiarę żydowską. Baba więc w dzień swoją miłością, a dyabeł w nocy swojemi piekielnemi kunsztami już mnie tak umęczyli, żem nie wiedział co począć z sobą i tylkom się modlił mojemu Bogu, aby mi dał zginąć w najpierwszej bitwie, jaka się zdarzy. I Pan Bóg się nademną zlitował do połowy, bo w nocy przed bitwą, kiedy męczony przez szatana otworzyłem gębę, ażeby głębiej westchnąć do Boga, spadła mi z nieba hostya po-

między wargi — i to pokrzepiło me siły. Z bitwy jutrzejszej wyszedłem cało — a od tego dnia postanowiłem sobie odmawiać codzień po sto pięćdziesiąt *Salve Regina*. Przez długi czas moje pacierze żadnego skutku nie odnosiły, ale jednej nocy Matka Najświętsza zjawiła się nademną i zaprosiła mnie do siebie na obiad. Na tej uczcie zastałem cały tłum aniołów i świętych, a sama Matka Najświętsza przyszła w złocistych sukniach i tak wspaniała promieniejącą pięknością, żem padł na kolana, jej widokiem olśniony i nie mogłem ani słowa wymówić. A wtedy Matka Najświętsza rzekła do mnie z anielskim uśmiechem na twarzy: Patrz na mnie i powiedz, azali nie jestem piękniejszą od tej, której ty służysz. Masz zatem wybór. Jeśli się do mnie nawrócisz, to porzuć tamtą, a stań u mnie na służbę.— Ja na to wstrząsłem się od grozy i wstrętu przed samym sobą; spostrzegłem zaraz moje zaślepienie i nawet pojąć nie mogłem, jakim sposobem się stało, żem przyjął służbę u pospolitej, a grzesznej kobiety, mogąc służyć Pani niebieskiej. I już mi odtąd pękł pancerz jakoby był rozpalony i miecz mój się ostrzem ku mnie obracał i serce mi krwawił. Toż rzuciłem to wszystko w Rzymie, poszedłem do mądrych ludzi w naukę, odprawiłem pielgrzymkę do Ziemi Świętej, a otrzymawszy święcenia, nareszcie tutaj założyłem sobie klasztorek. I tutaj już mi się nigdy nie zjawia ten bezczelny infamis, który mnie przez tyle lat męczył po nocach. Tu moje ciało się upokarza cierpieniem, a dusza się czyści modlitwą. Tu, służąc ludziom, służę Bogu, bo nikt sługą Bożym nie będzie, kto ludziom nie służy. Nie wiem ja, ile moje służby ważą u Boga, ale rozumiem, że ich nie odpycha od Siebie, bo Go widuję w rozmaitych postaciach i otrzymuję od Niego rozkazy. I powiadam wam także: Zrzućcie ze siebie pancerze i hełmy, bo w nich siedzą dyabelskie pokusy. Wy jesteście najnieszczęśliwsi z ludzi,

chociaż sami o tem nie wiecie Wy jesteście sługami szatana, choć wam się zdaje, że Bogu i uciśnionym ludziom służycie. Wy coraz głębiej brniecie w trzęsawisko ziemskiego grzechu — i powiadam wam, że ten dzień niedaleki, gdzie wrota się zamkną przed wami, a wtedy nie będziecie mogli powrócić na drogę prawdy i cnoty.

Kergolaj kręcił się coraz niecierpliwiej na stołku i prawie już tak wyglądał, jak mysz, która wpadła w pułapkę i rzuca niecierpliwemi oczyma dokoła, kędyby mogła się wyśliznąć z tej klatki. Ale Wilczek zdawał się być skruszony i zbudowany, bo spytał:

— Chcielibyśmy z całego serca zasłużyć się Bogu, ale cóż mamy robić, mój ojcze? Kto wziął pancerz i miecz po swoim ojcu, a przytem i urząd w swojem królestwie, ten bez obrazy Boga i swego honoru nie może go rzucić.

A na to mnich:

— Toż nie powiadam wam, ażebyście zaraz dziś do zakonu wstąpili. Anibyście to potrafili, gdybyście chcieli, bo się to czyni nie z musu, jeno z natchnienia, a natchnienie nie przyjdzie bez łaski Bożej. Ale powinniście o tem pamiętać, że łaska Boża przyjść może i przygotowywać się na jej przyjęcie. A do tego ja wam pomogę. Ciałom waszym pomogę umartwieniem, a duszom modlitwą. Zostańcie tu przez tydzień; modlitwy ja sam dla was urządzę, a o dyscypliny się postara braciszek.

Na to Kergolaj rzucił niezmiernie zdziwionemi oczyma na Wilczka, uśmiechnął się i rzekł: — Dyscypliny? — i chciał dalej coś mówić; ale tymczasem ojciec Chryzostom wpatrzył się w słup obróconemi oczyma w kąt celi, wyciągnął szyję, wytężył uszy, wstał prędko ze swego stołka i rzekł:

— Pan Jezus mnie woła. Idźcie do waszej celi, posilcie się, braciszek wam reszty dopowie.

I wyszedł zaraz z pośpiechem, drzwi zostawiając otworem.

Poczem Kergolaj spojrzał śmiejącemi się oczami na Wilczka i rzekł:

— Cóż, panie Wilczek? wpadliśmy tu, jak wilk w jamę zielonemi gałęziami nakrytą; na wierzchu kościół i krzyż wyzłocony, a pod spodem pacierze i dyscypliny. Gdyby nam przynajmniej dali co jeść, bo mnie już kiszki skrzypią z głodu i pragnienia.

Ale Wilczek, człowiek niezmiernie wrażliwy, był jakby bezprzytomny, wszelako odpowiedział mu z przekonania:

— Człowiek to święty. Znam go oddawna i mam łaskę u niego jeszcze z tych czasów, kiedym był paziem na Sobniu. Widywałem go i później u księcia kardynała, gdzie jego rozum bardzo respektowano. Kto jego rady posłucha, ten źle na niej nie wyjdzie.

A na to Kergolaj:

— Ja jemu nie odmawiam rozumu. Ale to mnich fanatyk, a tacy ludzie, kiedy im się oddasz w opiekę i ciało zepsują i duszy nie zbawią. Ziemię ci wezmą, a nieba nie dadzą. Chodźmy do naszej celi.

To rzekłszy, poszli do celi dla nich przygotowanej, która się znajdowała w drugim rogu klasztoru, zkąd wychodziła druga furtka, prowadząca ku folwarkowi. Cela to była równie dosyć obszerna, ale oświetlona tylko jednem małem okienkiem zakratowanem, wyciętem u stropu, że prawie wyglądała, jak więzienie. W tej chwili była oświetlona kagankiem. Stały w niej dwa tapczany, kilka stołków i stół, a na stole, na misie drewnianej, kawałek wędliny, bochenek chleba, a obok niego dzban wody i dwa kubki gliniane. Kergolaj rzucił się, jak wilk na chleb i wędlinę, ale na żaden sposób ugryźć ich nie potrafił; wędlina była jak drzewo, a chleb

jąk kamień. Francuz się nie posiadał z niecierpliwości.

— Nie chcę powiedzieć — rzekł z gniewem — co o nim rozumiem; ale czy to jest rzecz, dawać komuś takie potrawy do jedzenia? Piesby tego nie ugryzł. Bodajby ich wszyscy dyabli wzięli, tych Cyganów! Teraz spać trzeba będzie o głodzie.

To mówiąc, zaczął się wielkim krokiem przechadzać po celi. Lecz nagle stanął, a wpatrzywszy się w kąt, zawołał:

— A co to?

W tym kącie stało narzędzie, całkiem do pręgierza podobne. Gruby słup wbity w ziemię, a przed nim jakoby schód do klęczenia. W ten słup były wbite dwa haki i dwa kółka żelazne, przy których wisiały rzemienie opatrzone sprzączkami, na hakach zaś dwie dyscypliny. Na schodzie było widać plamy czerwone, a na skórzanych prętach dyscyplin krew skrzepła.

Na ten widok Kergolaj się wzdrygnął i zawołał:

— Wilczek! Czy widzisz, co tu stoi w tym kącie?

— Cóż?—rzecze Wilczek spokojnie — pręgierz do biczowania.

Kergolaj patrzył przez chwilę na ten instrument pokuty, a potem rzekł:

— Otóż to mi sypialnia! Jeśli tu kogo dyabeł bije w nocy po pyskach, albo mu się śnią inne widziadła, to mi wcale nie dziwno.

A wtem wszedł braciszek i stanąwszy w progu, pokłonił się nizko obydwom rycerzom. Kergolajowi niebardzo miłe były te odwiedziny, jakoż spytał:

— Czem mam służyć waszmości?

— Przychodzę z rozkazu jego wielebności, ażeby z ichmościami pacierze odmówić, a po pacierzach odprawić pokutę.

To mówiąc, braciszek wziął do ręki książkę, która w kształcie worka w płótno oprawna wisiała mu obok różańca u pasa, otworzył ją i zaczął szukać modlitwy.

— Słysz, panie bracie—odpowiedział mu Kergolaj przytomnie—ja z tobą modlitwy odmawiać nie mogę, bo ja się modlę po francusku, a ty nie znasz tego języka.

— Jak wola waszej miłości. Więc proszę mnie po modlitwach zawołać.

— A poco? do rozbierania ja mego sługę zawołam.

— Nie—rzecze braciszek—ja też do rozbierania nie jestem. Ale na dyscypliny.

— Na dyscypliny? — zapytał Kergolaj, mocno zdziwiony.

— Tak—rzecze braciszek—jego wielebność zezwolił w swej łasce, ażebym jegomości usłużył pięćdziesięcią dyscyplinami na gołe plecy.

Kergolaj miał zrazu wielką ochotę puknąć od śmiechu, lecz kiedy spojrzał na Wilczka i spostrzegł, że jego towarzysz siedzi wciąż zamyślony i na łokciu oparty przy stole, wstrzymał się i rzekł sztucznie:

— Słysz, panie bracie, jam dziś upalił mil kilkanaście na koniu i jestem niesłychanie zmęczony. Podziękuj zatem jego wielebności za łaskę, którą sobie bardzo wysoko cenię i powiedz mu, że od jutra będę gotów na jego usługi.

— Szkoda dnia — rzecze braciszek — ale jak wola.

Wtedy Kergolaj jeszcze raz rzucił okiem po za siebie, lecz widząc, że Wilczek siedzi wciąż nieruchomy, wyprowadził wychodzącego braciszka z wielkiemi komplementami w korytarz i spytał go po drodze:

— A gdzież jest ojciec Chryzostom?

— Jego wielebność leży krzyżem przed wielkim ołtarzem w kościele.

— Kiedyż powróci?

— To trudno wiedzieć, ale zapewne niebawem, bo o świcie idzie znów do kościoła na jutrznię.

— To ja się z nim rozmówię, jak wróci, bo chciałbym mu osobiście podziękować za łaskę.

— Jegomość dziś w to nie trafisz — odpowiedział mu nauczająco braciszek — bo kiedy jego wielebność ma święte widzenia, to do następnego dnia z nikim słowa nie mówi.

— Tak—rzecze Kergolaj—pokażże mi w swej łasce, kędybym mógł wyjść do moich ludzi i koni, aby obaczyć, jak się ulokowali.

Braciszek wskazał mu ową boczną furtę w rogu korytarza, a Kergolaj mu się grzecznie pokłonił i rzekł:

— A więc do jutra. Jutro zaś rano odmówię z tobą nawet łacińskie pacierze, a potem spróbujemy się z dyscyplinami.

Po wyjściu Kergolaja, Wilczek siedział jeszcze w zamyśleniu przez chwilę, lecz nie mogąc się go doczekać, złożył swój pancerz na ziemi i położył się na tapczanie.

Z początku widział tylko ojca Chryzostoma w jego całej świątobliwości; sam się nie czuł godnym tak wielkiej łaski, ale myślał sobie, że ten cudotwórca, gdyby tylko chciał, mógłby go zrobić jakim potężnym wojewodą w królestwie, a wtedy mógłby się dobrze zasłużyć Panu Bogu i ludziom. Syt zasług i sławy, mógłby także na stare lata wstąpić do jakiego zakonu i stać się świętym człowiekiem. Potem przyśniła mu się Formoza i stary Kijas, jako są oblężeni przez jakiś poczet rycerski, bronią się mężnie, ale nie mogą zdzierżyć. Wilczek rzucał się we śnie, ale czuł Kergolaja, siedzącego na jego piersi i nie mógł się zerwać z tapcza-

nu. Nareszcie zawiesiły się nad nim dwie kobiece postacie, Ofka i Jagienka; Ofka, jak ją Marucha unosi powietrzem z gorejącej zagrody i Jagienka, królująca na zamku sobieńskim w takich samych szatach złocistych, w jakich Chryzostomowi pokazała się Matka Najświętsza. Tak sny i widzenia, w nocy i we dnie, wieszają się nad rozżarzonym umysłem człowieka, a tymczasem świat rzeczywisty toczy się swym torem.

Kiedy Wilczek zbudził się nazajutrz i rzucił okiem na drugi tapczan, niepomału się zdziwił, gdy spostrzegł, że Kergolaja nn nim nie było. Ubrał się prędko i pobiegł na folwark i zastał swoich żołnierzy, ale po Kergolaju i jego ludziach już i miejsce zastygło. Francuz dyscyplin nie lubiał, a nawet niebardzo w. nie wierzył — i czmychnął w nocy z klasztoru.

Ucieczka ta dotknęła go bardzo niemile, bo mogła ojca Chryzostoma obrazić, ale go także zaniepokoiła, bo ten lekkoduch mógł jakiej jajecznicy nawarzyć we Lwowie. Chciałby był zaraz za nim pojechać, ale był zanadto skruszony napomnieniami ojca Chryzostoma, poczuł niektóre grzechy na swojem sumieniu i chciał ich się pozbyć; powiedział więc sobie: pierwsza koszula ciała — i został.

Jakoż poszedł zaraz do kościoła, spowiadał się, leżał krzyżem przez całą mszę świętą, a potem przyjął Ciało i Krew Pańską z taką przykładnością i skruchą, że nią wszystkich mnichów zbudował. Jakoż ojciec Chryzostom rzekł mu po mszy we cztery oczy:

— Za ten grzech ciężki, co wiesz, powinienbym ci cale inną wyznaczyć pokutę, ale mam wzgląd na to, że się spieszysz, ażeby stanąć w obronie niewinnych ludzi przed napastnikiem. Wszelako zostań jeszcze u mnie przez dzień dzisiejszy, będziesz na nieszporach, jutro zaś o świcie odprawię dla ciebie

mszę świętą — a tak może ci Pan Bóg za mojem wstawieniem się grzech ten odpuści.

Zaczem Wilczek został w klasztorze, a przed wieczorem miał z ojcem Chryzostomem długą rozmowę. Wśród tej rozmowy, rozumny ten mnich dawał mu rozmaite nauki.

— Do służby Bożej nie masz wokacyi — powiedział mu Chryzostom między innemi — widzę to dobrze po tobie, ale ja się temu nie dziwię, boś jeszcze młody. Mając wzgląd na krew twoją, daję ci radę, ażebyś się jak najprędzej ożenił. Dziewek dobrego rodu w naszym kraju nie braknie, jest między czem wybrać i łatwo znaleźć pannę stateczną i urodziwą. Zajedź też także na zamek sobieński i obacz Jagienkę: moja to synowica, jestem jej opiekunem, a także coś znaczę u Kmitów, więc gdyby były jakie trudności, mogę ci pomódz. A o tego Francuza wcale się nie troszcz. To pędziwiater, niemasz tam krwi kmitowskiej w jego żyłach, niemasz i statku. Jakoż mi się tak widzi, że do trzech dni łańcuch ten zrzuci ze szyi a za inną pogoni. Bądź zdrów, bo nie wiem, czy jutro po mszy będę się mógł z tobą pożegnać.

Nazajutrz o świcie Wilczek wysłuchał mszy świętej z lekkiem sercem a dobrej myśli i prawie jak odrodzony, wyruszył śpiesznie do Lwowa.

IV.

Dom kupiecki.

Lwów liczy daleko więcej wieków istnienia, niżeli mu ich zazwyczaj przyznają jego kronikarze. Istniał on bezwątpienia już jako miasto w owych wiekach, dziś całkiem zamierzchłych, kiedy właściwa Ruś, rozciągająca się od Sanu, wzdłuż Dniestru, po brzegi morza, zwanego wówczas gościnnem, a teraz

Czarnem, liczyła się do najżyźniejszych i najbogatszych krajów całej Europy. W owych wiekach, skutkiem bądź wojen bratnich pomiędzy ruskimi książęty, bądź powstań bojarów zrywających się od czasu do czasu do wybicia się z pod władzy swych panów, przechodził on kolejno rozmaite epoki upadku i wzrostu, aż wreszcie, od chwili rozpoczynających się w wieku XIII zagonów tatarskich, wystawiony na ich ustawiczne napady trzema szlakami: czarnym, kuczmańskim i wołoskim, żyjący wtedy jak gdyby pod trzema strzałami, wymierzonemi w jego serce, popadł na dłuższe czasy w nieznane dotąd ubustwo. Ów mniemany jego założyciel, książe Lew, syn króla Daniela, był tylko jego odnowicielem, podniósłszy go z gruzów, w które go trzynaście lat przedtem napad tatarski był rzucił. Odnowiciel i jego następcy nie potrafili mu zapewnić spokojnego istnienia i powrotu do dawnej świetności; dopiero Kazimierz Wielki, zagarnąwszy go raz z przyległemi krajami pod swe panowanie, przyniósł mu stałą opiekę i możność spokojnego rozwoju. Obwarowano go wtenczas nowemi murami i opatrzono we wszelkie środki obrony — a miasto to stało się, jak było dawniej, jedrym z najgłówniejszych i najbogatszych targów kupieckich, pośredniczących pomiędzy Wschodem a Europą środkową. W wieku XV Lwów był miastem rządzonem nadzwyczaj porządnie i regularnie, w swojej kupieckiej skrzętności był nadzwyczajnie ruchliwym, obejmował niezmiernie bogate składy towarów, utrzymywał stosunki handlowe ze wszystkiemi zagranicznemi targami, od Carogrodu do Gdańska, od Kaffy aż do Wenecyi, a przeto i obfitował we wszystkie potrzebne a nawet i zbytkowne dostatki w swych murach.

Rynek i niemal wszystkie ulice były te same co dzisiaj, lecz samo miasto, obwiedzione murami i opatrzone basztami, było o wiele ciaśniejszem, rozlegało się bowiem w kształcie podłużnym a wązkim

tylko od szkarp dzisiejszych po Pełtew. W murach ówczesnych znajdowały się tylko dwie bramy: Krakowska u północnego zachodu i Halicka na południowym wschodzie, których na czele miejskich halabardników pilnował *Prokonsul nocturnus*. Baszty i mury były opatrzone armatą, a miejski arsenał był zawsze dobrze wyładowany wszelkiego rodzaju bronią i amunicyą. Miasto miało swą ludwisarnię, swych płatnerzy i rusznikarzy. Ulice były wybrukowane, chodniki kamienne, kamienice po największej części murowane, z krużgankami u pięter, niektóre nawet obronne. W środku rynku stał ratusz murowany z wieżami i był otoczony z trzech stron kramami, które miasto wynajmowało na wieczne czasy swoim własnym rodzinom mieszczańskim, a które przeto ciż mieszczanie nazywali swoją własnością. Na ratuszu mieściła się lonherya miasta, wszystkie urzędy i sądy, tam się odbywały wybory rajców i ławników, tam także miasto przyjmowało znamienitszych gości i wyprawiało dla nich festyny i widowiska publiczne. W mieście, w rogu zachodnio-północnym, stał częścią z kamienia, a częścią z drzewa wybudowany tak zwany Niski Zamek, mieszczący w sobie obszerne komnaty mieszkalne i także mocno obwarowany. W tym zamku mieszkiwali królowie, kiedy zjeżdżali do Lwowa.

Po za murami miasta rozciągały się obszerne przedmieścia na gruntach miejskich, które otaczały miasto na całą milę dokoła, a na których widać było porozsiewane wsie i folwarki. Na przedmieściach stały rozmaite kościoły i cerkwie, pomiędzy któremi wznosiła się na wzgórzu wspaniała i swemi bizantyńskiemi kopułami imponująca cerkiew św. Jura. Nad tem zaś wszystkiem panował z wyniosłej piaskowej góry Zamek zwany Wysokim, silny sam w sobie i srogiemi otoczony murami, a jak wieść niosła, nigdy jeszcze nie wzięty.

Na Niskim Zamku siedział kasztelan, który

był zarazem starostą, lecz w tym ostatnim urzędzie wyręczał się zwykle podstarostą, mianowanym także przez króla. Dawnemi czasy, kiedy potężni Odrowążowie, protoplastowie Pieniążków, i panowie z Chodcza, których ród prędko wyginął, zrazu jako wojewodowie przemyscy, a potem ruscy, wodzili rej po tych krajach, kasztelani lwowscy byli im całkiem podlegli i nie mieli prawie żadnego znaczenia. W tych czasach widzimy kasztelanami potomków familij ruskich. Lecz później potrafili się usamowolnić i władzę swoją a zarazem i swe znaczenie dokładniej określić. Jednak i wtedy reprezentowali tylko osobę króla, mieli obronę obydwóch zamków na pieczy, stawali na czele chorągwi pospolitego ruszenia, przewodniczyli przez swoich starostów wyborom miejskim, mianowali jednego burmistrza, w niektórych wypadkach powstrzymywali wykonywanie wyroków — i na tem kończyła się ich cała powaga nad miastem.

Miasto rządziło się samo przez dwunastu rajców, którzy zarazem rozstrzygali spory cywilne, a sądziło swe sprawy kryminalne przez dwunastu ławników, i jednych i drugich własnego wyboru. Rządowi miasta przewodniczyło trzech burmistrzów: jeden potwierdzony w imieniu Króla i noszący tytuł *Proconsul regius*, zaś dwaj drudzy nazywali się *Proconsul Communitatis* i *Proconsul dominorum Consulum*, sprawowali swój urząd zmieniając się kolejno co miesiąc. Nad ławnikami stał wójt. Urzędy rajców i ławników były dożywotne, lecz wolno było zrzec się urzędu. Rajców nazywano powszechnie panami —i byli to rzeczywiście ludzie bardzo bogaci, posiadający nieruchome własności, a wyciągający nieprzeliczone dochody ze swoich kramów, z szynkowni, miodosytni i woskobojni, ze stęp, blichów i łaźni, i z rozmaitych opłat od wyrokow w procesach, miewali częstokroć majątki ziemskie, folwarki, wypasy i własne statki na Dniestrze, ale

też zato dbali starannie o dobro wszystkich mieszkańców i utrzymywali w mieście wzorowy porządek.

Lwów był w wiekach dawniejszych zamieszkały zapewne przez samych Rusinów, chociaż tak tutaj, jak i po innych miastach ruskich, widzimy już w bardzo dawnych czasach osiadłych Niemców, a mamy także akta publiczne książąt ruskich, pisane w języku niemieckim. Jakoż niemasz wątpienia, że nie dopiero Kazimierz Wielki sprowadził za sobą Niemców do Lwowa, tylko równie pewną jest rzeczą, że wówczas napłynęli oni tutaj gromadniej, i odtąd, kiedy miasto uczuło nad sobą potężną opiekę, zaczęli przypływać Ormianie, później Tatarzy, a wreszcie Żydzi, Serbowie, Włosi i Grecy. Z Kazimierzem Wielkim przybyli także Polacy; z początku mało ich było, za Ludwika Węgierskiego i Władysława Opolczyka liczba ich się nie pomnożyła, lecz zato gęstą ściągnęli nawałą za królową Jadwigą. Od tego też czasu, choć w samem mieście niewiele ich było, prędko zyskali przewagę, a z czasem, swoją energią, wyższą oświatą i towarzyskim polorem, tak wzięli górę nad wszystkiemi innemi narodowościami, że język ich we wszystkich warstwach się upowszechnił — a kto chciał uchodzić za grzecznego człowieka, ten mówił a przynajmniej usiłował mówić po polsku. Pod koniec XV wieku język ten był panującym we Lwowie, jednak obok niego utrzymywał się także język niemiecki, dawniej górujący, toż cały świat kupiecki umiał po niemiecku. Obok tych dwóch języków mówiono po rusku, co wszakże nie było już w modzie, po ormiańsku, po włosku, po tatarsku i po serbsku, a nawet po grecku, zaś w czasie jarmarków można było słyszeć na rynku kilkanaście języków obcych, do których miasto, dla ułatwienia handlu, utrzymywało stałych tłómaczów.

Pomimo takiej mieszaniny ras, języków i wy-

znań—Polacy i Niemcy wyznawali religię katolicką, Rusini i Ormianie byli prawosławni, a obok nich mieszkali jeszcze muzułmańscy Tatarzy i Żydzi — pomiędzy mieszkańcami panowała wzorowa zgoda. Sporów religijnych nie było, bo fanatycznej propagandy nie było; każdy się modlił swojemu Bogu jak chciał, a nikt drugi w sprawy jego sumienia się nie mieszał. I sporów politycznych także nie było, bo wszyscy czuli się członkami jednej gminy, a gmina, rządząc się sama i troszcząc się tylko o swoje własne dobro moralne i materyalne, zawiadywanie publicznemi sprawami pozostawiała królowi i jego pełnomocnikom. Nawet zbrodni wówczas nie było: kary, wymierzane za występki przeciwko własności i publicznemu spokojowi, są bardzo rzadkie, wyroków za wykroczenia przeciwko wierze wcale nie znajdujemy—krwawe sądy w sprawach sumienia zaczynają się dopiero w wieku szesnastym. Natomiast widzimy niepoliczoną ilość bractw, stowarzyszeń i innych zakładów publicznych w celu niesienia pomocy ubogim, chorym albo potrzebującym zarobku; nad stosunkami panów do sług, czeladników do majstrów, a nawet nad zapłatą, należącą się robotnikowi, czuwają bardzo sumiennie i pilnie władze miejskie; urząd publiczny może sprawować ten tylko, kto ma w mieście posiadłości, od wydatków zbytkowych strzeże *lex sumptuaria*, utrzymaniu stosunków rodzinnych pomaga ciężki podatek, nałożony na bezżennych, nad moralnością publiczną czuwa powaga starszyzny i kierowana przez nią opinia publiczna — co wszystko wydaje miłosierdziu, ludzkości i rozumowi, jakie podówczas panowały w tem mieście, bardzo wymowne i piękne świadectwo.

W mieście wodzili rej mieszczanie osiadli, a mieli oni podówczas poważne znaczenie nietylko w obrębie swej gminy, ale także i w kraju, albowiem posiadali niemało majątków wiejskich i byli panami całego przemysłu, handlu i pieniężnego

obrotu. Bił na nich jeszcze, lubo już bledniejącemi promieniami, blask owej wielkiej i świetnej potęgi, jaką przez tyle wieków błyszczały rzeczypospolite włoskie i północne miasta hanzeatyckie — a chociaż dawne prawa miast polskich znacznie już wówczas podkopała wciąż wzrastająca przewaga szlachty, chociaż przywileje Nieszawskie już bardzo silny cios zadały mieszczanom, ścieląc ich nizko pod stopy rycerstwa i zabraniając im nawet przystępu do wyższych dygnitarstw kościelnych—statutów Piotrkowskich, rozszerzających przywileje Nieszawskie, jeszcze wtedy nie było, zaczem mieszczanie czuli się jeszcze w swojem dawnem znaczeniu i używali go z roztropnością i miarą, ale zarazem ze świadomością praw, które im przysługiwały. Znaczenie mieszczan było wtedy tak wielkie, że nawet zamożna szlachta garnęła się chętnie do Lwowa, ale szlachcic musiał przyjąć prawo miejskie i poddać się magdeburgii, ażeby mu pozwolono własność miejską zakupić.

Jednak tych samych swobód używali i Żydzi, a nawet wolno im było dobra ziemskie posiadać; jakoż żyły wówczas żydowskie rodziny Szachnów, Szmuchlów, Notków, Jordanów i Wołczków, które posiadały bardzo obszerne majątki po całej Rusi. Było ich także cokolwiek w mieście, ale przeważnie gnieździli się za murami, na gruntach należących do zamku, gdzie trzymali gospody i szynki, trudnili się rozmaitym handlem, a głównie pośrednictwem w obiegu pieniędzy, i gdzie od starostów daleko łatwiej otrzymywali rozmaite dzierżawy i przywileje, niżeli od rajców miejskich. Jakkolwiek ich lichwa dawała się temu i owemu równie ciężko uczuwać jak dzisiaj, a ich przekupstwo, którem wtedy walczyli, przynosiło uszczerbek interesom przedmieszczan i moralności publicznej, nie miano ich jednak w takiej pogardzie jak później, albowiem chociaż chciwość pieniędzy była powszechna, nie było

zazdrości, bo konkurencya była łatwiejsza. Ziemi było podostatkiem dla wszystkich, przystęp do wszelkiego rodzaju przemysłu i handlu dla każdego otwarty; kto chciał pracować i zapobiegać, ten bardzo łatwo i prędko dorabiał się znacznego majątku i nie potrzebował go zawidzieć innym. Była więc i pod tym względem bardzo szeroka wolnomyślność w pojęciach i w postępowaniu.

Wszelako, pomimo tak wielkiej tolerancyi we wszystkich kierunkach, nikt nie był obojętnym dla swojej wiary, owszem, każda z nich cieszyła się głęboką czcią swoich wiernych, a zarazem bogatem uposażeniem. Lwów był już wtenczas stolicą trzech katedr: był arcybiskup łaciński, Jędrzej Boryszewski, którego stolica, zwłaszcza od czasu mądrego i zapobiegliwego Grzegorza z Sanoka, jaśniała wielką powaga i posiadała obszerne majątki w ziemiach halickiej i lwowskiej, a zarazem własną chorągiew zbrojną; był arcybiskup ormiański, Kilian, posiadający tę samą katedrę co dzisiaj, a jego władza obejmowała całą Ruś, całe Podole i Wołoszczyznę; był wreszcie władyka ruski, podlegający metropolii kijowskiej. Były także zakony Franciszkanów, Dominikanów i Bernardynów, Rusini mieli ośm cerkwi w samem mieście, nie licząc tych, które posiadali na przedmieściach. Katolicy zaś dwa razy tyle kościołów. Były seminarya, bursy i konfraternie, szkoły dla organistów, dyaków i rozmaitych śpiewaków, pomiędzy któremi pierwsze trzymała miejsce konfraternia rybałtów. Tak ta ludność niezmiernie mieszana, uderzająca oko najdziwaczniejszą pstrocizną strojów a ucho babilońskim rozgwarem rozmaitych języków, była jeszcze gęsto przesiana niepomierną ilością księży świeckich i mnichów, obok których snuły się różnorodne postacie pielgrzymów, w kapeluszach z szerokiemi kresami i długich sukniach, obszytych zamorskiemi muszlami, którzy szli albo

wracali z Ziemi Świętej, albo też z innych dalekich krajów, i napełniali miasto fantastycznemi powieściami o wielkoludach i dziwotworach, wszędzie ciekawie słuchani.

W tem mieście, tak ciasnem, lecz zarazem tak tłumnem i pełnem tak różnorodnego rozgwaru, w rogu wschodniej połaci rynku, obok cokolwiek później zbudowanego pałacu arcybiskupiego, stała kamienica o sześciu oknach wychodzących na rynek, ale ciągnąca się wzdłuż ulicy wiodącej ku cerkwi wołoskiej aż ku ulicy Ruskiej. Był to podówczas największy i najpokaźniejszy dom w mieście, o dwóch piętrach, murowany u dołu z ciosowego kamienia, wyżej z czerwonej cegły, opatrzony kamiennemi krużgankami, a nakryty wysokim dachem z dachówki, który był obwiedziony zębatym murem, prawie jak forteca, a nad którym sterczały olbrzymie kominy, prawie jak baszty obronne. Wszystkie ówczesne domy mogły mieć tylko trzy okna od frontu, bo tak chciało prawo, ale właściciele tej kamienicy, dzięki swojemu bogactwu i wpływom, potrafili sobie wyrobić sześć okien, za co się wszakże zobowiązali zmurować ją obronnie i w danych wypadkach przechowywać w niej skarby, jakieby im do schowania oddano. Toż był ten dom istną fortecą. Prowadziła doń od rynku brama wjezdna żelazna, wszystkie okna w przyziemiach były zakratowane i zamykały się na okiennice żelazne. Tutaj od frontu znajdował się kram otwarty, zamykany także na drzwi żelazne, w którym sprzedawano bakalie i rozmaite inne towary do codziennego użytku. Obok kramu był kantor, w którym wymieniano pieniądze i załatwiano wszelkie inne sprawy pieniężne. Dalej szły składy drogich tkanin tureckich, perskich, indyjskich, a z tyłu znajdowały się magazyny napełnione wełną, skórami, suknami, płótnem i inną tkaniną pospolitego gatunku. Wewnątrz był wązki a długi dziedziniec, tak, że weń mogły zajeżdżać

wozy, a wyjeżdżały tylną bramą, już nie tak bardzo forteczną.

W tych przyziemiach trwał ruch bezustanny od rana do późnego wieczora, tak, że do otwartych drzwi kramu czasem trudno się było przecisnąć, zaś bramą otwartą wchodzili tylko ci ludzie, którzy na górne szli piętra. Z tego wjazdu prowadziły szerokie, paradne schody, opatrzone rzeźbionym z dębowego drzewa poręczem, na pierwsze piętro, gdzie się znajdowały bardzo obszerne i bardzo bogato przyozdobione komnaty, z których największa część była przeznaczona na przyjmowanie gości, inne na mieszkanie rodziny. Pierwsze z tych komnat były napełnione pysznemi sprzętami z rzeźbionego drzewa i ozdobione makatami porozwieszanemi po ścianach, nad kominami błyszczały w misternych ramach wspaniałe weneckie zwierciadła, u stropu pająki bronzowe, rzeźbione przez znakomitych sztukmistrzów-włoskich, przy ścianach stały tu i owdzie szafy oszklone gdańskie, nasiekiwane na czarnem drzewie perłową masą, i inne niemieckie, składane z drzewa najrozmaitszych kolorów, a wszystkie napełnione cennemi naczyniami ze srebra, porcelany i bronzu. Zgoła komnaty te zadziwiały swojem bogactwem; ale bywali już tutaj królowie, biskupi, posłowie papiescy i rozmaitych innych mocarzy, i także nie mogli im się nadziwić. Na drugiem piętrze znajdowało się jeszcze więcej komnat, bo były mniejsze, ale wszystkie dostatnio we wszelaki sprzęt opatrzone, tak te, w których mieszkała rodzina, jak i owe, co w nich czasem mieszczono gości.

Właścicielem tej kamienicy był wówczas najbogatszy kupiec ormiański. Nazywał się Epaminondas Arzebek Chiaao, ale, że nie każdy mógł łatwo jego nazwisko wymówić, więc go powszechnie nazywano Kijasem. O jego pochodzeniu różne chodziły wieści, o które on się jednak wcale nie tro-

szczył. Jedni mówili, jakoby szedł z wyspy Chios i ztąd wziął nazwisko, a ci powiadali go Grekiem z przodków ormiańskich, inni mienili go być potomkiem książąt ormiańskich, dlaczego też kładł miano Arzebek przed swojem nazwiskiem. Wszelako od starych Ormian, zresztą może cokolwiek zazdrośnych, chociaż zazwyczaj tej wady nie mają, szła także powieść jakoby jego pradziad przyszedł tutaj piechotą z Jazłowca, z początku handlował koziną, potem bakalią, a wreszcie towarem cenniejszym, czem się dorobił majątku dla siebie i swoich potomków, którzy go wszakże wciąż pomnażali, aż wreszcie przyszli do takiego bogactwa, że im równego nie było, ani tu, ani w Kamieńcu, ani w Suczawie, a na ich słowo dawano krocie w Kaffie i w Carogrodzie, w Wenecyi i w Gdańsku. Kijas jednak o tem wszystkiem nawet i nie wspominał, bo był to człowiek rozumny i wiedział, że kmieć, mieszczanin czy szlachcic tylko tem stać powinien pomiędzy ludźmi, co sam zaważy, a nie tem, co tam kiedyś ważyli jego przodkowie.

Kijas miał wówczas lat sześćdziesiąt z okładem, duży był wzrostem, kościsty i silny, twarz także miał dużą całkiem ogoloną, nos mocno garbaty ormiański, oczy duże siwe, krzaczystemi brwiami nakryte, i siwą czuprynę, dosyć bogatą, ale zazwyczaj trochę w nieładzie. Na jego twarzy malowała się bardzo wydatnie przytomność i świadomość siebie samego: dość było spojrzeć na niego, ażeby widzieć, że temu człowiekowi nie można pleść lada czego, bo nie łatwo uwierzy; ale na tej trzeźwej twarzy odbijał się także spokój właściwy wszystkim ludziom wytrawnym, dobroć serca i łagodność umysłu. Toż ten uprzejmy wyraz jego twarzy zniewalał wszystkich do tego stopnia, że kto go poznał, zaraz miał zaufanie do niego, a chociaż po raz pierwszy z nim mówił, był z nim jak gdyby go znał od lat niepamiętnych.

Kijas był człowiekiem niezwyczajnego rozumu, który zresztą pod owe czasy, jeśli nie wyłącznie, to przynajmniej przeważnie znajdował się w stanie mieszczańskim, bo ten właśnie stan pielęgnował starannie wszelkie nauki i zawiadywał sprawami ekonomicznemi całego świata. Był on jednakże nietylko ukształconym, ale także uczonym. Mówił pięciu językami poprawnie i płynnie, znał geografię całej Europy na palcach, znał wszystkie targi europejskie pod względem ich znaczenia, ich towarów, kredytu i obyczajów, znał się sam na wszelkiego gatunku towarach, od żaglowego płótna do najpyszniejszych tkanin indyjskich, od żelaza i miedzi, do złota i drogich kamieni, był namiętnym zbieraczem wszelkiego rodzaju osobliwości — a oprócz tego, kochał się w pergaminach i książkach, których miał całą szafę na bardzo misterny zamek zamkniętą.

W tej szafie znajdowały się rękopismy bardzo cennej wartości, pomiędzy któremi *Flores legum*, kosztujące szesnaście grzywien, przepyszne kopie Wirgiliusza i Horacego, a obok nich kilka pieśni „Komedyi boskiej" Dantego, pisane na pergaminie inkaustami rozmaitego koloru, z inicyałami przedstawiającemi te figury, których opis znajduje się w tekście i z marginesami, pokrytemi złoconym rysunkiem. Za cenę tych pergaminów można było dobrą wieś kupić; ale na tem nie dosyć. Albowiem obok tych rękopisów, leżały ustawione ze znawstwem wszystkie najnowsze druki polskie, które dopiero niedawno zaczęły się zjawiać, jak *Diurnale secundum usum Ecclesiae Cracoviensis*, wydane dopiero przed dwoma laty, jak Mszał wrocławski, Mszał krakowski drukowany w Moguncyi w roku 1487 i dwa Mszały norymberskie Hallera. Kijas był o te książki, a zwłaszcza o pergaminy tak zazdrosnym, że wprawdzie każdemu je pokazywał, czytał sam i tłómaczył, ale nikomu do ręki nie dawał z obawy, aby

mu ich nie zabrukał. Równą słabość miał także do drogich kamieni, które namiętnie skupywał, ale je z zyskiem sprzedawał.

Wszelako jego wielki rozum objawiał się głównie w administracyi jego niezmiernie rozgałęzionego handlu, a obejmującego niemal wszystkie znane towary i rozpostartego na przestrzeni połowy Europy. Tu trzeba było głowy nadzwyczaj zdrowej, aby tem wszystkiem zarządzać. Kijas miał bowiem zmonopolizowane dla siebie fabryki, jak w Tustaniu i wielu innych miasteczkach, miał własne statki na Dniestrze, na Sanie i Wiśle, miał własne kramy i składy w Przemyślu, Łańcucie, Kamieńcu i Suczawie, miał własne kantory w Gdańsku, Wenecyi. w Kaffie i Carogrodzie, a do tego mnóstwo rozmaitych przedsiębierstw w samym Lwowie i po przedmieściach — a przecie ta cała administracya była jak zegarek, nie zdarzały mu się nigdy znaczniejsze szkody, ani nieprzewidziane wypadki, a majątek się ciągle pomnażał. Kijas miał także w swem zawiadowstwie bardzo znaczny majątek ziemski koło Trębowli, należący do jego synowej; sam większych posiadłości szlacheckich nie łaknął, kupił tylko przed kilku laty wieś Skniłów pod Lwowem i dał za nią sześćdziesiąt grzywien, rycerskiego konia, sobolową czapkę i parę butów ormiańskich, ale kupił ją tylko dlatego, że jego syn, mający ambicye szlacheckie i zamiłowanie w koniach, naparł się jej koniecznie.

Natomiast wszakże, idąc śladem swych ojców, dbał o to, aby miał w mieście znaczenie—i miał je, bo był już proconsulem wiele razy, od kilku lat był już w odstawce i nosił tytuł *Consul antiquus*, ale mimo to, tak był respektowany, jak gdyby był arcykonsulem czynnym, i żadna ważniejsza sprawa nie odbyła się w mieście bez jego rady. Pomiędzy miejską starszyzną miał zażdrosnych, jak każdy, co głową przenosi innych, ale natomiast wszystkie niż-

sze warstwy były mu całem sercem oddane, bo był uczynnym i miłosiernym: nikomu nigdy nie odmówił pomocy, często nawet sam się z pożyczką lub datkiem narzucił – a zawsze to robił po chrześcijańsku, że lewa ręka nigdy nie wiedziała o tem, co prawa wydaje. Lubił także robić basztangi osobom zamożnym (tak Ormianie nazywali podarunki), więc temu dywan dywdykowy, drugiemu bursztynowy różaniec, trzeciemu chustkę indyjską dla jego małżonki, ale wtedy już jego głowa wiedziała, dlaczego to robi.

Epaminondas Arzebek Chiaao nosił zwykle na głowie biret niemiecki, na sobie suknię długą z czarnego sukna lub aksamitu, na nogach zaś buty żółte albo czerwone, i tak go można było widywać siedzącego we drzwiach otwartych swojego kramu na worku pieprzu, witającego uprzejmie przechodniów i rozpytującego ich o codzienne nowiny lub plotki obiegające po mieście. Pilnował przytem swojego kramu, który mu wprawdzie nie przynosił ani dziesiątej części jego dochodów, ale o którym sam mawiał, że to jego chleb powszedni.

Dziś wszakże o popołudniowych godzinach siedział w swej pierwszej komnacie za wielkim stołem, misternie z czarnego drzewa rzeźbionym, na którym leżała płaska szkatułka, dwie małe paczki związane szpagatem i rozmaite lupy w mosiądz oprawne.

Naprzeciw niego nawskos pod oknem siedział Kundrat, który właśnie z Tustania powrócił i trzymając przed sobą książkę rachunkową wązką a długą, zdawał mu sprawę z towarów odebranych w tem mieście i wyprawionych do Dniestru.

Zaś obok niego. ale cokolwiek opodal, w poręczowem krześle turecką tkaniną wybitem, siedziała pani Formoza, jego najukochańsza synowa, słuchając obojętnie tustańskich rachunków, a rzuca-

jąc ciekawem okiem na paczki ,leżące obok szkatułki.

Formoza była kobietą tak wspaniałą i piękną, jakie się nie codziennie spotyka nawet na dworach królewskich. Miała lat dziewiętnaście i była wzrostem tak słuszna, że przenosiła głową o kilka cali starego Kijasa, formy miała okrągłe i pulchne, a w każdym ruchu tak wiele wdzięku i wspaniałej powagi, że zdawała się być na to zrodzoną, ażeby z królewskich krużganków ścielić do swoich stóp wszystkich kruszących ze sobą kopie rycerzy. Szatynka była, włos miała ciemny, ale błyszczący złotem do światła, oko piwne, pełne świetnego blasku, ale w promieniach łagodnych, rzęsy przepyszne, a cerę białą i przezroczystą, a okraszoną świeżym jak wiosna i wcale dziewiczym rumieńcem. Ubrana była skromnie jak na te czasy, tak pełne wystawności i zbytków: na głowie miała małą, złotem haftowaną duchenkę, okrągłą i wydatną jej kibić okrywała przypadająca do jej smuklego stanu katanka i pas miała na sobie, składający się ze złotych emaliowanych sprzążek, którego jeden koniec spadał jej do kolan. Ubiór ten nie mógł podnosić ni jej powagi, ni wdzięków, a przecież i w tym ubiorze była tak świetną, tak wspaniałą i tak imponującą, że kto ją pierwszy raz widział, musiał się nią zachwycić, a nawet ci, co ją znali oddawna, obchodzili się z nią jak z królową, której życzenia każdy usiłuje odgadnąć, a nikt im się nie śmie sprzeciwić.

Jakimże niepojętym wypadkiem taka królowa niewieściej powagi i wdzięków dostała się w rodzinę kupiecką? Wilczek już to powiedział Kergolajowi. Córeczkę zamożnej i znakomitej rodziny szlacheckiej, wymordowanej przez Tatarów, Kijas znalazł zbłąkaną na stepie i w swoim domu przytulił. Spostrzegłszy u niej już wtedy niezwyczajne zalety umysłu i serca, przywiązał się do niej i dał

jej wychowanie nadzwyczajnie staranne. Formoza korzystała pilnie z tych nauk i kiedy na pannę wyrosła, stanęła w rzędzie najuczeńszych kobiet stolicy, a może nawet wszystkich ziem ruskich. Umiała doskonale po polsku, po rusku, po łacinie, po włosku i po niemiecku, a nawet poduczyła się dosyć dobrze języka prowansalskiego, ażeby najpiękniejsze ówczesne pieśni rycerskie i miłosne mogła czytać w oryginale. Toż umiała wiele takich pieśni na pamięć, które śpiewano jeszcze na dworze Berengarów w Tuluzie, umiała także niektóre pieśni Minnesaengerów niemieckich, które przy lutni albo gitarze śpiewała, ale zawsze tylko dla siebie, nigdy dla gości. Jednak najulubieńszem jej zajęciem było czytanie poetów łacińskich i bodaj czy nie czytywała także ukradkiem Owidyusza *Remedia amoris*, które w bardzo pięknym odpisie znajdowały się w księgozbiorze jej teścia. Wszelako nigdy się nie popisywała ze swoją nauką, a tylko sam Kijas wiedział, jakie skarby rozumu i wiadomości znajdowały się w tej głowie kobiecej; jakoż już za to samo nietylko ją kochał i wielbił, ale obchodził się z nią z taką delikatnością pełną uszanowania, jak gdyby świętą miał w swoim domu.

Wszelako i zacny Kijas był takim samolubnym człowiekiem, jak inni, bezwątpienia nie z łakomstwa na jej majątek, którego sam miał dostatkiem, ale dlatego, ażeby tej ukochanej istoty nie wypuścić ze swego domu, ożenił z nią swego syna. Stało się to przed rokiem. Formoza, młodziutka wówczas dziewczyna, wychowana zdaleka od rycerskiego świata, do którego należała z rodu i pokrewieństwn, znająca wprawdzie bardzo wielu ludzi, ale nikomu zblizka, przywiązana jak siostra do swego przyszłego męża, z którym od dziecka prawie się razem wychowywała, wierząca zresztą w każde słowo Kijasa jak w ewangielię, i przejęta

szczerą dla niego wdzięcznością za uratowanie jej życia i majątku, przyjęła to małżeństwo bez żadnego oporu i z głębokiego poczucia obowiązku była wzorową żoną i jak najlepszą synową. Ale czy mądrze to zrobił Kijas, łącząc tych dwoje ludzi ze sobą? Złośliwe języki różnie o tem mówiły — a byli i tacy, co kijasowego syna uważali za niedorodka i wcale nie boże stworzenie; jednak pomimo to, pomiędzy żoną i mężem panowała święta zgoda, najbystrzejsze oko nigdy żadnej chmurki tam nie dostrzegło i w całym domu płynęły dnie w takiej ciszy i z taką powagą, jak msza za mszą odprawiają się w kościele.

Kundrat właśnie kończył swój raport kupiecki, a zamykając książkę, dodał te słowa:

— Oto są wszystkie towary, jakie odebrałem w Tustaniu. Ostatnie wozy oddałem przedwczoraj naszemu karawanbaszy, z któremi zaraz poszedł do Dniestru. Dziś nasze szkuty ruszyły, o czem zapewne do jutra będziemy mieli wiadomość.

Wysłuchawszy go Kijas, milczał i myślał przez chwilę: zapewne szeregował cyfry w swej głowie, dodawał, odciągał i multyplikował, układając preliminarz czystego zysku; wszakże niebawem się z tą robotą uporał, a wtedy rzekł do Kundrata:

— Dobrze. Zaciągnij wasze te rzeczy w księgi. Daszkiewiczowi poszlij dwanaście łokci sukna i chustkę turecką dla jego żony. Ramułtowi dałem dziesięć złotych węgierskich, aby miał zapas w podróży. Wilczkowi zaliczyłem cokolwiek więcej, niżeli mu się należało, o co mniejsza, wyrówna się to w jesieni; tylko, że kasa baranowska się nie powiększa, i jeżeli tak dalej pójdzie, to Baranowa nigdy nie wykupimy. Cóżeś tam wasze słyszał o Wilczku? bo imci pani Formoza zauważyła, że był jakiś nieswój tym razem, i jakby mu coś brakowało.

To rzekłszy, spojrzał na swoją synowę, a ona odpowiedziała:

— Pan Wilczek ma jakiegoś mola, który go gryzie, ale nie mogłam go wyrozumieć, coby mu było, chociaż zazwyczaj chętnie się przedemną spowiada. Na moje pytania odpowiadał ciemno i enigmatycznie, mówiąc: Mężczyźni, tak jak i kobiety, mają swoje zgryzoty, o których nie powiadają nikomu, bo wiedzą, że im nikt nie pomoże. Nie wiem jednak, jakieby to były zgryzoty.

— Cóż ci się zdaje?—zapytał Kijas.

— Mnie się zdaje—odpowiedziała Formoza — że zgryzot niema, jeno mu duszno na zamku tustańskim. Jemu potrzeba powietrza. Potrzeba mu wojny, w którejby się rozerwał i sfatygował cokolwiek, albo mu trzeba żony, coby rozweseliła jego zamek samotny.

Na to zaś prędko odezwał się Kundrat, bo pilno mu było wywnętrzyć się z plotek, któremi się obładował w Tustaniu.

— A ja wiem—rzecze—jaki mól gryzie naszego starostę.

I tu opowiedział dokładnie i szczegółowo całą historyę o Ofce, o Biłowusie i pożarze zagrody, malując im wszystkie szczegóły jakby na dłoni, jako Biłowus rżał śmiechem końskim na dębie, jako Marucha uniosła Ofkę powietrzem i jako Włostek, porwany miłością dla Ofki, pobiegł jej na ratunek, ale nic zdziałać nie mógł, bo przyjechał zapóźno.

Formoza słuchała tego opowiadania z żywem zajęciem, bo i najukształceńsze kobiety lubią powiastki o czarownicach i zakochanych młodzieńcach, ale rozumny Kijas całkiem inaczej się zapatrywał na takie rzeczy, jakoż rzekł po niejakim namyśle:

— Na toż to waszeć jesteś doktorem obojga prawa, ażebyś takie bajki powtarzał! Nie Biłowus tam rżał, tylko jego dziki koń w stajni, i nie Maruchę z Ofką widziano ulatujące z pożaru, tylko

prawdopodobnie kłęby czarnego dymu, które się prostym ludziom wydały jakoby wydęte spodnice. Toż tak rozumiem, że te obiedwie kobiety ani uleciały powietrzem, ani zgorzały w chałupie; bo sam powiadasz, że nie znaleziono z nich śladu na pogorzelisku, lecz bezwątpienia uciekły ziemią i jeszcze kiedyś się o nich dowiemy. Ale Wilczek mi się nie podoba w tym razie, bo najprzód, uwodzić niewinne dziewczęta. to rzecz może rycerska, ale nieuczciwa, porzucać je bez ratunku, to rzecz nieszlachetna, a kiedy się już tak stało, nie umieć sobie poradzić, to głupio. Miał przecież zakochanego Włostka pod ręką i mógł go z nią ożenić.

Na to zaś Kundrat:

— Tak mi to także powiadał Daszkiewicz, dodając, że gdyby mu był starosta tylko słówko pisnął o tem, to byłby był wziął Ofkę do siebie, Biłowusa uchodził i Włostka ożenił, a jeśliby się w tej tkaninie była jaka dziura zjawiła, toż to niemasz takiej dziury pomiędzy ludźmi, którejby nie można załatać szerokiemi groszami.

— Daszkiewicz mądrze powiedział—rzekł Kijas—dobrze o tem wiedzieć, bo może on się przysłużyć Wilczkowi, jeśliby się z tego wywiązały jeszcze jakie dalsze trudności. Ale Wilczek powinien się jaknajprędzej ożenić. Życzę mu tego z serca jako jego przyjaciel... a oprócz tego, zależy nam na tem, ażeby na zamku tustańskim siedział człowiek porządny i cichy. Jak widzę z rachunków waszeci, produkcya tego miasteczka wzmaga się coraz więcej, a może się jeszcze znacznie pomnożyć.

Formoza patrzała przez ten cały czas zamyślonemi oczyma przed siebie, a kiedy ją Kijas zapytał:

— A cóż na to powiada nasza najmilsza synowa?—ona odpowiedziała z westchnieniem:

— Smutno mi słuchać tych rzeczy. Całkiem inaczej sobie wyobrażałam naszych rycerzy, a rozumiałam, że Wilczek pomiędzy nimi najlepszy.

A wtedy rzekł Kijas, biorąc ją za rękę z uśmiechem zadowolenia:

— Więc może to nie tak źle, żeś poszła za mieszczanina, z którego dopiero rycerz się robi i taki się zrobi, jakim go właśnie mieć chcemy.

— Ja jestem z mego losu całkiem zadowolona — zawołała na to wesoło Formoza, z czego jej teść bardzo był kontent i rzekł z ojcowską dobrocią:

— Przysuńże się teraz do nas, bo mamy tu różne rzeczy, także tymczasem mieszczańskie, ale któremi nie zwykli gardzić rycerze, a gdzie się też może coś znajdzie dla ciebie.

To mówiąc, rozwinął jednę z tych paczek, szpagatem związanych, które leżały na stole i wysypał z niej całą garść pereł białych i czarnych niezwyczajnej wielkości, z których jedne były w złoto lub srebro oprawne i widocznie z jakichś naramienników lub dyamentów wyłamane, inne zaś luźne, bez żadnej oprawy. Formoza, uderzona blaskiem tych pysznych klejnotów, pochyliła się nad stołem, oglądając je zblizka i układając w osobne szeregi według wielkości; Kijas przyłożył lupę do oka i zaczął je pojedyńczo ze wszystkich stron opatrywać z cierpliwą uwagą znawcy — a Kundrat także się ze swej strony nad stołem pochylił i biegając łakomemi oczyma po wszystkich perłach, uśmiechał się i oblizywał swe usta rumiane jak smakosz, przed którym woniejącą postawiono potrawę.

Wszyscy byli temi skarbami niezmiernie zajęci, jeszcze pod wrażeniem podziwu milczeli i właśnie chcieli sobie wzajemnych myśli udzielić; ale im przeszkodzono, bo w tem oka mgnieniu otwarły się podwoje od sieni i Wilczek wszedł do komnaty. Wilczek był w suknie codzienne ubrany bez przyborów

rycerskich i wchodząc, rzekł z uśmiechem na twarzy:

— Owo gość cale niespodziewany.

Natenczas Kijas, niepomału zdziwiony, lecz zawsze spokojny, położył lupę na stole i rzekł ze zwyczajną sobie powagą, ale zarazem bardzo uprzejmie:

— Wszelki duch chwali Pana Boga! Licząc mile i dnie, rozumieliśmy, że wasza miłość dojeżdżasz dziś do Rzeszowa, a ty tymczasem z powrotem we Lwowie. Cóż się to stało?

Kijas, znając Wilczka od dziecka, mówił mu ty z przyzwyczajenia a wasza miłość z grzeczności, Wilczek zaś mianował go ojcem, ale zwyczajem niemieckim, który się jeszcze utrzymywał we Lwowie, także go tykał.

— Nie — rzecze Wilczek — nic się nie stało. Tylko zapomniałem tu pewną sprawę załatwić na zamku i musiałem się wrócić na chwilę.

Jednak, chociaż to Wilczek powiedział swobodnie i jakby nic nigdy nie było, nikt mu nie uwierzył. Formoza była widocznie zaniepokojoną, a Kundrat, mając głowę nabitą Biłowusem rżącym jak koń i czarownicami ulatującemi w powietrze, patrzył nań prawie przestraszonemi oczyma, a nawet, jako człowiek ostrożny, pomału w kąt się zasunął. Kijas zaś rzekł dobrotliwie:

— Słowom rycerza zawsze wierzymy, ale tym razem tak nam się zdaje, że coś koloryzujesz.

A wtedy i teść i synowa zaczęli go cisnąć, jednak na niego nigdy nie potrzeba było wielkiego nacisku, bo był prawdomównym i miał serce jakby na dłoni, więc też i teraz bez oporu opowiedział im prędko całą historyę swego spotkania się z Kergolajem i dlaczego do Lwowa powrócił.

Zaledwie skończył, Formoza, kobieta jak widać serdeczna, przystąpiła szybkim krokiem ku niemu i zawołała z uczuciem:

— Dziękujemy waszmości! Anim się spodziewała, ażeby Jagienka mogła takich plotek narobić.

A wtedy i stary Kijas wstał, ścisnął go także za rękę, ale zaraz napowrót przy stole posadził, sam także usiadł i tak mówił:

— Wiemy oddawna, że jesteś nam przyjacielem w dobrych, a jeszcze pewniejszym w złych losach i zawsze ci za to wdzięczni będziemy. Uważałem ja to niejednokrotnie, że w listach Jagienki, zresztą (niechaj to między nami zostanie) niebardzo zrozumiale pisanych, które mi pani Formoza zawsze łaskawie komunikuje, znajdują się czasem wyrazy, którym można dawać rozmaite znaczenie. Ja je tak rozumiałem, że Jagienka, córka wyniosłych Kmitów i na kmitowskim zamku żyjąca, a mająca zapewne wszystkich ludzi, co nie chodzą w pancerzach i hełmach z piórami, za podłe, a zarazem półdzikie zwierzęta, lituje się nad Formozą, że takiego człowieka, a nie rycerza wybrała sobie na męża. Ale nigdybym nie był przypuszczał, że pod temi wyrazami kryją się takie potwarze, że ona nam przypisuje takie niecne uczynki i że się znajdzie rycerz półwaryat, który się do Lwowa wyprawi, ażeby na nas pomścić się za nie.

— On się tutaj nie wyprawił umyślnie — rzekł Wilczek, rektyfikując — on jedzie do Ziemi Świętej, a tu tylko mimochodem zamierzył zrobić w waszej kamienicy porządek, tak jak zapewne w swojej wyprawie do Jeruzalem niejeden inny dwór wymiecie po drodze.

Na to Kijas cokolwiek niecierpliwie poprawił czapkę na głowie i rzekł:

— Czy kto umyślnie, czy mimochodem nas powybija i złupi, to jest rzecz dla nas bardzo obojętna, ale nieobojętna wcale, że takim rycerzom jeszcze zawsze wolno się tak samopas włóczyć po kraju. Bo tym panom pracować się nie chce, a żebrać się wstydzą, nuż jeszcze są zdania, że ludziom wojennym niewzbronno nawet w czasie pokoju używać

środków wojennych. Toż sam słyszałem, jak jeden z nich, złupiwszy dwór we wsi, usprawiedliwiał się temi słowy: „Jakże? więc chcesz, ażebym żebrał, kiedy miecz noszę u boku?" — Widujemy tu takich rycerzy dość często, a chociaż Lwów ma się kim bronić, przecież bywali tacy, co i nam się dali we znaki. A wszakże jest temu dopiero lat trzydzieści trzy, a nie więcej (sam to dobrze pamiętam, bo nawet już byłem proconsulem miasta natenczas), kiedy imć pan Szczęsny z Paniowa, którego zwano także Godziemba, nibyto na wezwanie papieża Piusa II, zaczął się zbrojnie włóczyć po kraju, zaciągać ludzi pod swoje chorągwie i wkrótce nazbierał ich do dwunastu tysięcy, a tę armią swoją nazwał krucyatą. Miał niby także ciągnąć na Turka, ażeby go z Ziemi Świętej wypędzić, ale tymczasem, złupiwszy niemało dworów szlacheckich i wypłókawszy wszystkie ziemie dokoła, nareszcie się tak rozzuchwalił, że pod Lwów podstąpił, wychędożył wszystkie przedmieścia, aż w końcu zaczął szturmy przypuszczać do miasta. Mogliśmy mu się obronić, ale zważywszy, co ta obrona będzie kosztować, a widząc prócz tego, że nasz kasztelan jakoś niewiele ma ochoty zetrzeć się na ostre z panem Paniowskim (jako to zwykle kruk krukowi oka nie dziobie), postanowiliśmy się okupić. Ot! jaka to była krucyata: kto ciekawy, ten może się doczytać w książkach lonheryi, ile nas kosztowała. Temu panu Szczęsnemu muszę zresztą oddać sprawiedliwość, bo potem poszedł rzeczywiście do Węgier, podjechał ze swoją krucyatą pod sztandary księcia Burgundyi i Macieja Korwina, bił się walecznie przeciwko Turkom, a nawet, uderzywszy sam z pieśnią Boga Rodzicy na obóz turecki, wszystkich jeńców uwolnił, za które to czyny rycerskie król Maciej później mu własną synowicę poślubił. Ojciec to był tych Paniowskich, co dzisiaj są starostami na Stryju i Żydaczowie. Rycerz bardzo waleczny, okrutny pogromca Turków, niema co mówić,

ale kiedy Turka nie było, to swoim dwory i miasta rabował. Po nim bywali tu inni, którym także potrzeba było haracz opłacać, chociaż ich można było wybić z miasta, czego wszelako nigdy się nie robiło. Oto w tem właśnie wielka jest niegodność i największe bezprawie. Bo jak mi się opryszek dostanie w ręce, to go każę powiesić, a jeśli bardzo zuchwały to nawet i poćwiertować, ale z takim paniczem to i nie wiedzieć co robić. Nawet i dostawszy go w garść, nielzia go ściąć, bo gotów jeszcze jaki książę lub król za nim się ująć i za jego głowę miasto wyłupić.

— I miasto wyłupić i panom consulom łby poucinać, bo i to już bywało — poderwał prędko Kundrat—który widocznie nie był przyjacielem rycerstwa.

Na to Wilczek się roześmiał i rzekł do Kundrata:

— A tobieby się to wcale nie podobało, gdyby ci kto twoją uczoną makówkę zdmuchnął z twego tłustego karku? hę?

Tymczasem zaś Kijas kontynuował dalej:

— Więc to nie rzecz jest dla miasta ci rycerze podróżujący nibyto do Jeruzalem — a jak się rzekło, zajeźdźa ich tutaj niemało, a każdy, jak wpadnie do Lwowa, to właśnie jak mucha w maź, tygodnie i miesiące tu siedzi, je, pije, hula, bałamuci kobiety i długi zaciąga, a kiedy nie ma czem płacić, co, z przeproszeniem, wszystkim rycerzom prawie zawsze się wydarza, to zaczyna turbować ludzi, aż się tak wszystkim uprzykrzy, że i z długów go się skwituje i jeszcze się mu da poczęstne na drogę, aby sobie z Panem Bogiem do którego innego miasta pojechał. Ot! i teraz, już od dwóch tygodni z okładem jest tu Olizar, sześćdziesiąt ludzi przyprowadził ze sobą i po przedmieściach rozłożył, sam zaś bankietuje po mieście i pewnie tak będzie

bankietował ruski miesiąc co najmniej, a nie wiem kto za niego zapłaci.

— Widziałem go tu przeszłego tygodnia, — rzekł na to Wilczek — spotkałem go na ulicy, alem się z nim nie mógł dogadać, bo jak powiada przysłowie: *Sereda, piatnica, Olizar pijanica.* Cóż on tu robi?

— No to ci także odpowie piosnka — odpowiedział mu Kijas z uśmiechem — musisz ją znać:

A jak pidesz do Bazaru,
Pokłonysia Olizaru,
Jordaniwka ciła skaże,
Jak Olizar diwki priaże.

— Ale to dobry człowiek — zauważała Formoza — ten pewnie na nas nie napadnie, raczejby stanął w naszej obronie.

Kundrat zdaje mi się nie był tego zdania, bo skrzywił się na to i rzekł:

— Na pijanicę nigdy się spuścić nie można, zaś oprócz tego od podwiki i dyabełby go nie oderwał.

Wilczek znowu roześmiał się głośno i zawołał:

— Niby też ty wylewasz za kołnierz, a odwracasz się od podwiki!

Na to Kundrat mocno się zarumienił, bo bardzo bał się Kijasa, ale tymczasem Kijas znowu głos zabrał i tak mówił do Wilczka:

— A o twoim Kergolaju także mamy już wiadomość, bo mamy przecież jakąkolwiek policyę. I on także rozłożył się na Krakowskiem-Przedmieściu, a dzisiał rano był z wielkim trzaskiem u kasztelana na zamku. Przyjmowano go tam, jak słyszę, z wielkiemi honorami i tytułowano go brabią. Ja zaś tymczasem słyszałem — dodał Kijas złośliwie—jakoby go także tytułowano batardèm, co przy kobietach nie godzi się tłómaczyć na polskie.

— Jużci tak—rzecze Wilczek — tylko trzeba wiedzieć, że ci batardzi, których też siła jest w cudzych krajach, jeszcze dumniejsi są ze swego rodu, niżeli synowie ślubni, bo powiadają, że kiedy ich rodzice przed prawem sami uznali, to każdy wie, jaka krew płynie w ich żyłach, podczas kiedy u tych innych *is pater est, quem nuptiae demonstrant*, a w rzeczy, kto tam wie, jak to tam było.

— Ależ to wykręt,—poderwał Kundrat — bo przecież im sakramentu brakuje, a i prawa dziedziczenia nie mają.

— Wykręt albo nie wykręt—rzekł Kijas rozumnie—zawsze z ich dumą liczyć się trzeba. Bo i ja znałem takich ludzi i to wiem o nich, że będąc braku sakramentu świadomi, są daleko draźliwsi od innych i za lada co sieką dokoła siebie. Są nawet między nimi tacy, co sobie mówią: kiedy mi jednego sakramentu brakuje, to jnż mi na jedno grzeszyć przeciwko innym. Trzeba więc z nimi obchodzić się grzecznie. Ale ja tak rozumiem, że kiedyby Kergolaj chciał jakie burdy wywrawiać, to przecie mu się obronimy, a do obrony zawczasu się przygotujemy. Ja jeszcze przed wieczorem pomówię z naszym proconsulem nocnym i każę cichaczem halabardników około naszego domu postawić, a oprócz tego i Olizara każę odszukać, bo i ja też rozumiem, że mamy w nim przyjaciela.

Do tego zaś dodał Kundrat:

— A wreszcie i syn jegomości przed wieczorem przyjedzie ze swymi ludźmi, ten nam kamienicę dobrze obsadzi.

Wilczek słuchał tego wszystkiego z lekkim uśmiechem na twarzy, lecz na tę uwagę Kundrata głośno wybuchnął i rzekł:

— I zaraz Francuzowi łeb utnie, nieprawda? Ty, bakałarzu, jak widzę, nie masz wcale pojęcia, jaka jest siła u takiego rycerza. Ten Kergolaj nie takie mury łamał we Włoszech i własną ręką zdo-

bywał takie fortece, że wasza kamienica przy nich ani za kurnikby nie stanęła. On, kiedyby przyszło do tego, wszystkich i miejskich i tigranesowych halabardników nie mieczem, ale packą, jak muchy wybije — a kiedyby tobie dał byka w nos, tobyś do św. Jura poleciał. Jużci gdyby to był jaki chłystek, co go halabardnicy pobiją, to byłbym nie powracał do Lwowa.

— To jakiś straszny rycerz być musi—rzekła na to Formoza—pewnie wielki jak sosna i ma twarz dziobatą, a wąsy jak miotły.

— Będziecie go widzieć niebawem — odpowie jej Wilczek—bom zajechał do jego gospody i zaprosiłem go, aby przyszedł do was wieczorem.

Na to Kijas cofnął się wgłąb krzesła, podparł ręką podbródek i spojrzał uważnie na Wilczka, Kundrat zaś zbladł i zaczął się koło siebie oglądać, zapewne za swoją czapką. Co widząc Wilczek, rzekł do Kijasa:

— Zaprosiłem go do was, ażeby się waszemu domowi przypatrzył, zaczem, jak sądzą, wybije sobie z głowy te plotki.

A wtedy Kijas, zastanowiwszy się nad tem, odpowiedział mu prędko:

— Dobrze zrobiłeś. Jużci tak lepiej. A więc pani synowo — dodał, obracając się do Formozy— każ nam ze swej łaski dobrą przygotować wieczerzę, a nie zapomnij o tem, że taki rycerz pewnie lubi małmazyę.

Formoza wyszła, zaś pozostali mężczyźni prowadzili dalszą ze sobą rozmowę, a Kijas tak mówił:

— Otóż to widzimy, jakie wydaje owoce to średniowieczne rycerstwo, co zasklepiwszy się w sobie samym i swoich dzisiaj już przestarzałych zasadach i obyczajach, zaczyna cuchnąć zgnilizną, jako woda stojąca. A cóż dopiero powiedzieć o rycerzach bezżennych, którym ich domy wydają się pustką, i którzy muszą się włóczyć po świecie, ażc-

by znaleźli jakąkolwiek rozrywkę. Dopóki wojna, to dobrze: biją się za swój kraj, za króla albo za wiarę, a poświęcając swe zdrowie za jakieś dobro doczesne lub wieczne, służą pewnemu celowi; ale w czasie spokoju szukają sobie rozrywki po gościńcach, po cudzych dworach, po miastach, od czego włosy trzeszczą ich bliźnich, a ich sumienie ciężkiemi się obciąża grzechami. Ja tobie życzę z całego serca, mój kochany Lenardzie, ażebyś się jaknajprędzej ożenił, bo i ty z czasem zbłąkasz się na bezdroża i czystą duszę swoją obrukasz. Masz urząd, to prawda, masz i własną siedzibę; ale twój urząd także cię tylko wtedy zatrudnia, kiedy kraju trzeba bronić od obcego najazdu, albo też z królem pociągnąć na wojnę... a w twojej siedzibie jaskółki się gnieżdżą pod dachem, a puszczyki na wieżach. A całkiem inaczej wyglądałby zamek tustański, gdyby w nim młoda starościna założyła swe gniazdo i gdyby koło niej zaświegotały dziecięta. Toż nie tak to trudno o wdzięczną żonę, a zwłaszcza kawalerowi takiego rodu i siedzącemu na tak wysokim urzędzie. Ot! i koło nas, gdzie spojrzysz, to dziewka jest na wydaniu. Paniowscy, o których dopiero co wspomniałem, na Stryju i na Żydaczowie, mają córki dorodne, starosta Samborski, Melsztyński ma aż trzy córki, a nawet i nasz kasztelan ma dziewkę jeszcze nieczeswataną, tylko podobno cokolwiek ułomną. Trzeba więc obejrzeć się po sąsiedztwach...

Ale Wilczek mu przerwał i rzekł:

— Nie dla mnie ta dobra rada, mój ojcze: Kto żony szuka, ten jej nie znajdzie. Kogo drudzy ożenią, ten jakby załogę obcego żołnierza dostał do swego domu, pod której ciężarem wzdycha potem przez całe życie. Według mnie, żona powinna przyjść sama i niespodzianie, jak deszcz albo pogoda, albo co jeszcze lepiej, jak błyskawica, co olśni

człowieka i potem wciąż jasnem świeci mu światłem do grobu.

W tej chwili weszła Formoza i z widocznem upodobaniem słyszała te słowa; spokojny Kundrat ich nie rozumiał, bo błyskawic nie lubiał, a doświadczony Kijas rzekł na to:

— Dobre i błyskawice, bo czyszczą powietrze, a więc i duszę człowieka mogą oczyścić, ale po błyskawicach zazwyczaj następują pioruny i grzmoty, a to niedobrze, jeżeli żona po domu piorunuje i grzmoci.

Tymczasem zaś Wilczek tak mówił dalej:

— Ja tam żony szukać nie będę. Tylko jak teraz ze Lwowa wyjadę, to wstąpię na Sobień, bo najprzód muszę wyspowiadać ową pannę Jagienkę, dlaczego w tym wieku (bo powiadają, że młoda) bawi się babuszeryą, a potem, tak się przynajmniej spodziewam, wybiję jej z głowy tego Francuza. Bo czy to rzecz jest dla panny takiego domu (choć prawdę mówiąc, boczna to linia kmitowska) przyjmować takiego pędziwiatra na służbę? Już ci to rycerz nie lada jaki, chętnie mu to przyznają, a nawet rotmistrz królewski, ale mnie wszyscy dyabli biorą, żem się nie mógł z nim zmierzyć, a mógłbym ten dzwonek podeptać nogami, co naszej bitwie przeszkodził.

A Kijas na to, mówiąc powolnie i ważnie:

— Chwalebny jest taki ferwor rycerski, zwłaszcza w obronie niewinnych, ale jeżeli chcemy być sprawiedliwi, to musimy powiedzieć, że i Kergolaj także chciał bronić niewinnych, a nie jego to wina, że miał złe informacye. Co zaś do bitwy, to chwała Bogu, że nie przyszła do skutku. Nie kupiecka to rzecz, sądzić sprawy rycerskie, ale ja miewam godziny, w których nie jestem kupcem, tylko człowiekiem, co trzeźwo rozmyśla nad tym światem i uważnie się rozpatruje w tem wszystkiem, co się dzieje około niego. Otóż ja nigdy nie mogłem tego

zrozumieć, jaką wy w tem znajdujecie uciechę, ażeby krew ludzką przelewać, a zwłaszcza za honor jakiejś damy, której czasem nawet wcale nie znacie, albo za wstążkę, którą ta dama darowała komuś innemu. Wiedzcież o tem, że czasy tych heroizmów dla jakiegoś kaprysu, a niemających rozumnych celów, już są na schyłku, tak samo jak i owe scholastyczne mądrości, o których nasz rozumny Grzegorz z Sanoka powiedział, że to są *somnia vigilantium*, jakoby sny nocne na jawie. Ej! żal się Boże zawczesnej śmierci tego niezrównanego Grzegorza z Sanoka, którego żywot Callimachus tak pięknie opisał, którego ja znałem przez tyle lat i któremu wszystko zawdzięczam, co wiem i co umiem. On to pierwszym był u nas, co greckim i rzymskim poetom, a mędrcom należytą cześć oddał, pisma ich z zapomnienia wygrzebał, mądrość ich wyrozumiał i nas nauczył ich czytać, pojmować i cenić. On całkiem inaczej się zapatrywał na te czasy, w których żyjemy, a zarazem i na te, co przyjdą niebawem. Idąc za jego śladem, i ja też widzę daleko jaśniej to, co się dziś dzieje, i to, co się przygotowuje, aniżeli wy wszyscy, co tylko z dnia na dzień żyjecie. Monarchowie się wyłamują z pod zwierzchnictwa papieża, a narody się wybijają z pod samowolnej władzy monarchów—i odtąd już nie popuszczą, aż póki człowiek swoich praw nie odzyska, i tak nie będzie na świecie, jak było w starożytności. Wynaleziono proch, który już znacznie osłabił żelazną rękę uprzywilejowanego rycerza; odkryto sposób drukowania, a przeto i rozpowszechniania rzeczy pisanych, zaczem światło coraz szybciej przebija się przez nieprzedarte od tylu wieków ciemności; nuż wreszcie Hiszpanie wydobywają z morza kraje dotychczas wcale nieznane, a tak i oddechu przybywa całej ludzkości. Zgoła gdzie spojrzysz, wszędzie zmrok coraz niżej opada ku ziemi, po całym horyzoncie przelatują błyski świtania, światło dnia

coraz więcej bieleje, rozum ludzki się budzi, rozpędza chmury przesądów i obyczajów zakrzepłych, a wzywając wszech ludzi żyjących do pracy, odtąd już nie ustanie, aż póki dla nich i tych praw nie zdobędzie, które im dadzą możność pracowania spokojnie na chleb codzienny i na pożytek ogólny. Całe wasze rycerstwo, to już dziś ciało bez ducha, to cień czasów minionych, to niepogrzebany umarły. Jużeście się nietylko ubogim ludziom, ale i samym królom uprzykrzyli dosyta, jakoż już w wielu krajach zastąpiono was stałemi wojskami — ten czas bardzo już niedaleki, gdzie rycerz, błąkający się samopas i prowadzący wojny na własną rękę, będzie jak wilk, co się zjawił pomiędzy pasterzami pasącymi spokojnie swe trzody, i którego też pasterze jak wilka kosturami zatłuką.

Wilczek go słuchał uważnie, lecz śmiał się i mówił:

— Wszystko to się odnosi nie do mnie, tylko do tego Francuza, co chciał panią Formozę z waszej niewoli wybijać. Lecz jeśli do mnie, to ja ci powiem, że ja się w te tam świtania wcale nie mieszam. Jużci i ja uważałem, włócząc się przez parę lat po cudzych krajach, że się świat zmienia pomału. Rycerstwo się czasem ludowi uprzykrza, a nieraz i królom staje się niedogodnem. Król francuski Karol VII zaczął tworzyć stałą armię, a inni idą za jego tropem. Ale jeszcze do wytępienia rycerstwa bardzo daleko. Popatrz-no, co się dzieje w Niemczech: tam, co zamek to rycerz wojujący na własną rękę, a zamków, jak drzew w lesie. Nie my to jeszcze wytępimy rycerzy, a zresztą, według mojego zdania, nawet wcale ich tępić nie trzeba, bo przecież na nich stoi cała obrona kraju.

Ażeby zaś przerwać tę rozmowę, która widocznie była mu nie do smaku, rzekł prędko do Formozy:

A pani Formoza co na to? Czy także jes za tem, ażeby wygubić rycerzy?

— Ja — odpowiedziała Formoza — ja wcale nie jestem uprzedzoną przeciw rycerzom. Może tam czasem trochę narobią hałasu, ale życie swoje ważą za drugich ludzi, a przytem jest to najpiękniejsza ozdoba kraju.

To wszakże zniecierpliwiło cokolwiek starego Kijasa, jakoż powtórzył jej z pewną cierpkością dawną piosnkę niemiecką:

An Rittern preisen die Frauen,
Nichts anders denn hauen,
Und Feste vorhalten.

Niewinna Formoza bardzo się tem zmieszała, ale Kijas rzekł zaraz do Wilczka:

— Słuchaj, panie starosto! Powiedz mi prawdę, czy wierzysz ty temu, że wszyscy ludzie rodzą się z kulbaką przyrośniętą na plecach, a tylko niektórzy z munsztukiem w ręce i z ostrogami u butów, aby jeździć na tamtych, hę?

Ale Wilczek był wesół i tak mówił:

— Ja nie wiem wprawdzie, z czem na świat przyszedłem, bo nie miałem rozeznania natenczas, ale to pomnę, że kiedym się około siebie obejrzał, to spostrzegłem, że mam poddanych, którzy mnie bez oporu słuchają. Co tam wam mieszczanom świta po głowach przeciw rycerstwu, to także mi nie wiadomo, bom ja człowiek królewski, mam słuchać mojego pana i na tem cały mój urząd się kończy. Ale, jeżeli ci to sprawi uciechę, to ci powiem, że i naszemu królowi także coś świta w głowie przeciw niepodległemu rycerstwu. Nauki Kallimamacha nie poszły u niego w las; myśli on o tem naprawdę, jakimby obyczajem mógł przyjść do armii stojącej, którąby sam dysponował, a pozbyć się tej zbrojnej szlachty, która królewskiej trąby wo-

jennej nie usłucha, kiedy się jej nie podoba, a natomiast sama wojnę zażegnie, kiedy ma fantazyę potemu. Początek ku temu już jest zrobiony, bo dwór wojskowy królewski liczy tysiąc sześćset ludzi i milczkiem ciągle się pomnaża. Ale na tem nie koniec, bo i ku temu czynią się przygotowania, ażeby szlachtę pościągać z jej zamków i dworów i uszykować w stałe chorągwie, któreby leżały po miastach, a po wsiach niechby tam sobie siedzieli tenutaryusze, włodarze i chłopi. Nigdy mnie król do swojej rady nie wzywa, bo na to jeszczem za młody, ale takie tam wieści chodzą po kordegardach królewskich i dosyć się ich zawsze nasłucham, kiedy jestem na służbie w Krakowie.

— Więc niechże mu Bóg błogosławi, kiedy ma takie zamiary—rzecze na to Kijas — bo na tej drodze pozbędziemy się wreszcie tej rycerskiej opresyi, pod którą nieraz tak ciężko wzdychamy. Czy to jest rzecz zgodna z którąkolwiek wiarą, a choćby nawet z sumieniem, ażeby pomiędzy milionami spokojnych mieszkańców była garstka ludzi, uzbrojona w ziemski przywilej grzeszenia bezkarnie przeciw Bogu i ludziom? A przecie taki przywilej ma to rycerstwo. Król dobrze zrobi, jeżeli weźmie w żołnierskie ryzy tych panów, a odda ziemię tym, którzy na niej spokojnie pracują.

— To bardzo dobrze—odpowiedział mu Wilczek - ale czy mu się to uda, to inne pytanie, a nawet wątpić o tem należy. Bo widzisz przecie, jak ta szlachta wciąż rośnie w prawa i przywileje pomimo wszystkich królów, którzy mniej albo więcej, takie same mieli zamiary. Kazimierz Wielki jeszcze ją trzymał na wodzy, ale po jego śmierci już Ludwik Węgierski musiał jej ustępować, bo tylko przywilejami mógł się utrzymać przy polskiej koronie. Jagiełło, chociaż przyzwyczajony do samowolnej władzy na Litwie, jeszcze daleko droższe musiał jej składać okupy, a Kazimierz, syn jego, jak-

kolwiek także dobrze rozumiał, co jego władzę osłabia, podpisał statuty Nieszawskie i spętał swoją powagę sejmami. Czy dziś, kiedy ta szlachta już ma swoje prawa pisane, kiedy się tak rozrodziła, a niektórzy z niej takie ogromne posiadali majątki, że są niemal bogatsi od samego króla, a nawet i własne wojska trzymają, czy dziś można przypuścić, że król ją spęta napowrót, z jej zamków i dworów pościąga i w żołnierzy obróci?

— A przecie to dzieje się w Europie — rzekł Kijas.

— Ale nie, jak u nas — odpowiedział mu Wilczek — bo w Europie wszystko się dzieje po europejsku, a w Polsce wszystko po polsku. Tam szlachta wyłamuje się także z pod samowładzy królewskiej i różne prawa nabywa, ale razem z niemi unosi to przekonanie, że jeżeli je chce zachować, a zwłaszcza pomnożyć, to musi je ciągle ogrzewać w słońcu królewskiem. A u nas przeciwnie, im więcej praw szlachta nabywa, tem więcej się oddala od tronu, tem mocniej butnieje i tem zuchwalej nad tem rozmyśla, jakby to każdy mógł się całkiem usamowolnić i sam na swem śmieciu zostać chociażby małym królikiem. U nas całkiem inaczej, mój ojcze. Trzebaby tobie choćby mały czas pobawić na dworze królewskim, a widzieć zblizka te rzeczy; dopiero wtedy mógłbyś zrozumieć, czy u nas sprawy publiczne także tym samym torem się toczą, jak w cudzych krajach, o których tak dobre masz wiadomości.

Z tych kilku słów można było zaraz rozeznać, że Wilczek żył życiem dworskiem i daleko trzeźwiej i trafniej się zapatrywał na bieżące wypadki, niż stary Kijas, co lubo bardzo rozumny i widzący daleko, nie miał jednak styczności z tymi, którzy wtedy rządzili krajem. Mimo to, już usta otworzył, ażeby mu odpowiedzieć, ale wtem dał się sły-

szeć tętent na bruku. Wilczek wstał z krzesła, zajrzał do okna i rzekł:

— To Kergolaj przyjechał.

Kundrat zerwał się prędko i zgarnął owe perły i inne klejnoty, które leżały porozkładane na stole, ażeby je schować, na co Formoza się w głos roześmiała, a tymczasem Kergolaj wszedł do komnaty.

Kergolaj ubrał się bardzo pięknie i lekko na te odwiedziny. Miał na sobie tylko koszulkę z polerowanych kółek stalowych, wyrabianą w Yorku i bardzo drogo płaconą, hełm lekki z przepysznemi piórami pod pachą, bogato oprawuy lecz krótki mieczyk u boku, a na szyi ów łańcuch żelazny z kokardą u lewego ramienia, który włożył na siebie jako miłosny sługa Jagienki. Spodnie ubranie miał bardzo obcisłe a do tego lekkie buty rycerskie ze złotemi ostrogami — a tak można go było wziąć dobrze na oko i widać było, że nie był wcale garbaty, tylko piersi i plecy miał nadzwyczajnie wypukłe i był cały nabity, silny i muskularny, jak gdyby go kto wyciosał z kamienia albo wykuł z żelaza.

Zaledwie wszedł, każdy mógł dostrzedz, że był to kawaler światowy, obywały po wielkich dworach, grzeczny nad podziw, wesołego temperamentu, a przytem nie próżny tej lekkiej ironii, z jaką częstokroć wielcy panowie traktują niższych od siebie. Albowiem zaraz się zbliżył do starego Kijasa i nasypał mu tyle komplementów wielkoświatowych, że trzeba się było dziwić, jak się to wszystko mogło w jego gębie pomieścić. Stary Kijas stał przed nim ze swoim biretem w ręku i uśmiechem na twarzy i widocznie był kontent z tego powitania, toż mu także odpowiedział komplementami, bo i jemu wymowy nie brakło, ale nie mógł się wstrzymać od lekkiego przycinku, dodając te słowa:

— Jak każdego sławnego rycerza stugłośna

poprzedza fama, tak i przed przyjazdem waszej miłości dobiegły nas wieści o jego szlachetnych zamiarach bronienia osób niewinnych, a karania złoczyńców. Jako ludzi czasami grzesznych i nas też na wieść obleciała obawa i jużeśmy widzieli naszą kamienicę szturmem zdobytą, a nas samych na sztuki pociętych. Lecz widząc teraz kawalera tak wzniosłych przymiotów umysłu i serca, a przytem tak ujmującej postaci, ochłonęliśmy i pochlebiamy sobie, iż zasłużymy u niego na lepsze o nas rozumienie.

Więc Kergolaj protestował się bardzo wymownie i zręcznie, mówiąc, że niemasz tej potęgi na świecie, któraby mogła plotkom drogę zagrodzić, że zamek sobieński leży w takiej puszczy zapadłej, do której i światło dzienne z trudnością się przeciska, że już u Koniecpolskich się prawdy dowiedział, a Wilczkowi pod Wisznią już tylko półżartem te plotki powtórzył, a wreszcie śmiał się sam z siebie, że takim niedorzecznościom mógł choćby tylko na mgnienie oka uwierzyć. Ażeby zaś na tem już skończyć, obrócił się zaraz do Formozy, a będąc widocznie pod wrażeniem jej imponującej piękności, już nie komplementami, ale całemi bukietami najwonniejszych kwiatów wymowy tak ją obsypał, że ta młoda kobieta, chociaż do kadzideł przyzwyczajona, przecież musiała się zarumienić i kilkakrotnie oczy spuścić ku ziemi. Najprzedniejsze formy grzeczności, częstokroś nawet całkiem niezrozumiałe, a wtedy właśnie najwyżej cenione, były podówczas powszechnym u całego rycerstwa zwyczajem.

Jednak Formoza odpowiedziała mu przytomnie i równie uprzejmie, lecz zaraz spytała go o Jagienkę, mówiąc ze skromnością:

— Bardzo dalekie wiąże nas pokrewieństwo i nigdyśmy się nie widziały, wszelako los jej bardzo mnie żywo obchodzi, a wasza miłość mocno mnie

zobowiążesz, jeżeli mi opowiesz, jak wygląda i jakie prowadzi życie na zamku sobieńskim.

Więc Kergolaj zaczął jej opowiadać. A wtedy już się zmierzchać zaczęło i w izbie jadalnej, do której drzwi były naścieżaj otwarte, zaczęto już światła zapalać, ogromny pająk bronzowy, wiszący nad stołem, już nakrytym i zastawionym i wieloramienne srebrne lichtarze, stojące na stole. Tu biły jeszcze blaski zaszłego słońca w okna, patrzące na zachód, a ztamtąd płynęły fale światła od świec jarzących. Owóż w to oświecenie wpadł nagle z drzwi bocznych młodzieniec i stanął zdziwiony pomiędzy Kergolajem i Formozą z jednej, a Kijasem i Wilczkiem z drugiej strony, nie wiedząc na razie, jak i do kogo ma się odezwać. Kundrat stał jeszcze wciąż w kącie za stołem, trzymając pod pachą paczki z perłami i brylantami.

Młodzieniec ten był to mały człowieczek, mniejszy od Kergolaja, szczupłej kompleksyi, blondyn, o bladej twarzy, z bogatą czupryną w tył zarzuconą, lecz spadającą w kędziorach, z dużemi niebieskiemi oczyma, z nosem ormiańskim, lecz kształtnym i z bardzo słodkim, chociaż może cokolwiek naiwnym wyrazem twarzy. Pomimo lat dwudziestu trzech albo czterech, nie miał jeszcze ani meszku na wąsach, ani na brodzie, a oprócz nosa, całe jego pochodzenie ormiańkie odbijało się w cerze bardzo żółtawej. Wdał się zapewnę w matką, która była córką polskiego szlachcica, nazwiskiem Burza, co był pierwszym Polakiem wybranym rajcą lwowskim w roku 1472. Mimo szczupłości wzrostu, trzymał się jednak dość żwawo, był ubrany zrycerska w kaftan łosiowy i miał mieczyk u boku i bóty wysokie z ostrogami.

Widząc jego chwilowe zakłopotanie, Kijas zwrócił się do Kergolaja i rzekł:

— Mój syn Tigranes, a mąż pani Formozy. Rycerska krew matki w nim płynie, uczy się waszego

rzemiosła, może tam kiedyś po wieloletniej służbie, wysłuży sobie choć srebrne ostrogi.

Kergolaj takim niepoczesnym kandydatem na rycerza, a jeszcze więcej tem się zadziwił, że to jest mąż Formozy, ale jako grzeczny kawaler, podał mu rękę i rzekł serdecznie, chociaż trochę protekcyonalnie:

— Witajże, przyszły rycerzu, a bądź przekonany, że nie takto trudno dobić się ostrogów. Na to i łaska królewska wystarczy; boć król i przed bitwą może pasować rycerzy, *evaginato ense creat milites, ter percutiendo.* A jeśliby pomoc starszych rycerzy mogła ci się zdać na co, to licz na nas, jak na Zawiszę.

Temi grzecznemi słowy ujął sobie widocznie Kijasa i Formozę, którzy mu wdzięcznym dziękowali uśmiechem, a Tigranes już wcale się przykleił do niego, ściskając mu rękę pokilkakrotnie i opowiadając mu zaraz swoją historyę.

Był to chłopak wymowny i śmiały, czujący wielki majątek za sobą i pragnący wyjść ze stanu mieszczańskiego, a wynieść się wyżej, być może nawet, że ta żądza wejścia pomiędzy rycerstwo całkiem go opanowała. Opowiadał bowiem z pewnym zapałem, że ukończywszy niższe szkoły w Krakowie, uczył się potem rycerskiego rzemiosła w Wiedniu, był następnie pazikiem u jakiegoś niemieckiego gaugrafa, a wreszcie przejechał całą Francyę, Hiszpanię i Włochy, a nawet brał udział w rozmaitych utarczkach; teraz się przygotowuje, aby wejść w służbę królewską, lecz jeszcze nie wie, czy zostanie przyjętym. Bardzo to pięknie i malowniczo opowiadał Tigranes, ale tymczasem trzeba było iść do wieczerzy.

Kergolaj zatem podał ramię Formozie, Kijas szedł z Wilczkiem, a Kundrat sam postępował za nimi, bo Tigranes szedł obok Francuza, usiłując dla niego być grzecznym i chcąc mu pokazać, że Lwów

w wykwintnych formach obejścia nie pozostaje za Francyą.

U Kijasa jadano kopiasto i tłusto, korzenno i pieprzno, jak wówczas było w zwyczaju, a do tego w srebrnych dzbanach było dostatkiem starej małmazyi, jaką i kardynał Fryderyk pijał chyba tylko w wielkie święta i kiedy miał przedniejszych gości u siebie. Kergolaj znał się na kuchni i na piwnicy, jadł więc smacznie i kubki do dna wychylał, a kiedy nareszcie podano poważny kielich trębowelski, pod owe czasy najwięcej szanowany ze wszystkich, to go tak przelał w swe gardło, że i sam wojewoda ruski, Mikołaj Tęczyński, najsławniejszy biba swojego czasu, lepiejby nie potrafił. Rozmawiał przytem z Formozą, śmiejąc się i żartując, ale zarazem wypytując ją zręcznie o rozmaite stosunki rodzinne, zadawał czasem Tigranesowi znienacka takie pytania, na które młodzieniec nie zaraz umiał mu odpowiedzieć; obok tego strzelał dowcipami do Kijasa i Wilczka, a jako to gdzie drwa rąbią tam trzaski lecą, tak nieraz i Kundratowi się coś oberwało. Kiedy zaś wodę podano do umycia wąsów i rąk, co wtedy było niezbędnem, bo jeszcze widelców nie znano, to Francuz ze wszystkimi już się tak serdecznie pobratał, jak gdyby się był rodził we Lwowie, a wychowywał w domu Kijasa.

Toż wyszedłszy razem ze wszystkimi do przyległej komnaty, gdzie zapalono dwie lampy oliwne, był w doskonałym humorze, uśmiechał się, wąs kręcił, nogi daleko wyżej podnosił, a przyparłszy Wilczka do ściany, rzekł do niego półgłosem:

— Słysz Wilczek, plotki bo plotki, niema co mówić. Ale że w każdej plotce jest trochę prawdy, o tem już i starzy Rzymianie wiedzieli. Wydać taką Formozę za takie nieboże stworzenie i zamknąć ją w tej kamienicy, to prawie to samo,

jakby ją zatrzasnęli w haremie, tylko że w tym haremie, jak mi się zdaje...

Ale Wilczek mu przerwał, mówiąc:

— Ot, co się mieszasz w nieswoje rzeczy! Przekonałeś się, miejże dość na tem. W dodatku zaś miej sobie za szczęście, żeś poznał taką kobietę, jakich niewiele widziałeś w swem życiu. Nie wiem ja, jak wygląda twoja Jagienka, ale ja, jeślibym już miał szukać róży w Jerycho, to wolałbym jej szukać dla Formozy, niż dla Jagienki.

Na to Kergolaj cmoknął ustami i rzekł:

— Ba! ale to dziwnie obronna forteca. Na pierwszy rzut oka zdaje mi się, że *desinit in piscem mulier Formoza superne*. Około takich dużo traci się czasu, a potem człowiek spostrzega, że gonił za wiatrem.

— A tobie smaczniejszy chleb łatwy — zawołał Wilczek, śmiejąc się głośno.

Na to Francuz wykręcił się na pięcie i właśnie się spotkał twarz w twarz z Kundratem. Zaczem palnął go po ramieniu i rzekł poufale:

— Cóż, panie Kundrat! powiedże mi, jakimto jesteś doktorem, prawa czy teologii, medycyny czy sztuk wyzwolonych?

Kundrat, nielubiący zetknięcia się z rycerzami, pod uderzeniem, choć bardzo lekkiem, prawie się do ziemi nachylił, a wyprostowawszy się napowrót, twarz trochę na stronę przechylił, bo myślał sobie: jak da byka w nos, to do św. Jura dyable daleko. Wszelako z uprzejmym odpowiedział uśmiechem:

— Jam doktór obojga prawa, do usług waszej miłości.

— Więc, panie doktorze — rzekł na to Kergolaj — jak będę miał jaki proces z tutejszymi łyczakami, to tobie się oddam w obronę.

Tymczasem Tigranes, który słuchał tej rozmowy, śmiał się w głos i mówił:

— Z łyczakami najlepszy proces na kopie i miecze. Nigdy się nie biją; zawsze dadzą za wygraną i jeszcze się dobrze okupią.

Kundrat, korzystając zręcznie z tej sposobności, odpłynął w inny kąt izby, a Francuz wziął młodzieńca pod ramię i rzekł serdecznie do niego:

— Mój młody bracie, wiedz o tem, że we mnie masz przyjaciela, a moja przyjaźń, tak mi się zdaje, coś warta, zwłaszcza dla kandydata rycerskiego rzemiosła, bom ja jeszcze nie stary, ale już od lat dwudziestu miecz noszę u boku, nigdym żadnemu wrogowi z drogi nie ustąpił, a jeszcze włos z głowy mi nie spadł. Owo więc jako przyjaciel powiem ci, że masz żonę, co jej siedzieć na tronie, a jeszcze i tamby wszystkie damy rycerskie zaćmiła swym blaskiem. Tyś się w czepku urodził — dodał, trącając go w bok — bodajbyś tylko nie zginął na szubienicy.

Ale Tigranes wcale na to głowy nie podniósł, owszem rzekł z lekceważącym uśmiechem, a z otwartością po dziecięcemu naiwną:

— Ot, co mi tam żona! Aniby mi na myśl nie było przyszło się żenić, gdyby mnie ojciec nie był wyswatał. U mnie kopia a miecz to najlepsze małżeństwo; gdyby tylko Pan Bóg dał wojnę jak najprędzej, abym się mógł na niej pokazać Przeze mnie, chociażby kobiet wcale nie było na świecie!

Na to Kergelaj spojrzał mu w twarz bardzo uważnie, widać, że jakaś myśl mu przeleciała przez głowę, jakoż powiedział już tylko, ażeby zakończyć rozmowę:

— Ej, znam ja was, panowie mężowie. Udajecie obojętnych, ale niechby się kto do waszej żony tylko przybliżył, to wy go za łeb, a potem — niechże go Pan Bóg ma w swojej opiece. Wiedz-

A tu Kijas już oczywiście nadrobił miną, bo się roześmiał, uderzył Francuza chustką po ręce i zawołał:

— A waszeć szperka jak widzę! — Poczem wstał i dodał: — A przecież na noże są szlifierze.

Zaczem Kergolaj położył mu rękę na ramieniu i rzekł znacząco:

— Słysz, panie bracie! jeśli ty masz szlifierza na takie noże, to zamknij swój handel i jedź z nim w Europę, do wielkich miast i na wielkie dwory, a ręczę ci za to, że on ci daleko więcej przyniesie, niżeli wszystkie bakalie i płótna żaglowe.

A wtedy już tamci tu weszli z drugiej komnaty, a Kergolaj i Wilczek zaraz się żegnali; Kijas zaś ściskał Kergolaja za rękę, zapowiadając mu, że go niebawem na bankiet zaprosi, ażeby też poznał towarzystwo lwowskie u niego.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Biblioteka Gliwice
Biblioteka Państwowe Liceum Pedagogiczne
BIBLIOTEKA Państwowego Liceum Pedagogicznego w GLIWICACH Nr.

SPIS RZECZY.

		Str.
Przedmowa		5
Wstęp		9
I.	Zamek Tustań	20
II.	Rusini	49
III.	Dwaj rycerze	82
IV.	Dom kupiecki	122